

ANGELFALL

OPOWIEŚĆ PENRYN O KOŃCU ŚWIATA



SUSAN EE

Aniele, stróżu mój... szeptaliśmy przez setki lat. Myliliśmy się.
Teraz to właśnie ONE okazały się naszym największym koszmarem.

Susan Ee

Angelfall

Opowieść Penryn o Końcu Świata

Angelfall

Przełożył Jacek Konieczny

Starannie przemyślane detale – np. czarny rynek części ciał aniołów – wnoszą powiew świeżości do tego postapokaliptycznego romansu, którego głównymi atutami są dobrze skonstruowane postacie, klimat i sprawne pióro autorki. Odpowiedź na wiele pytań poznamy dopiero w drugim tomie cyklu.

Ages 14– up. Publisher's Weekly August 2012

Susan Ee stworzyła nie tylko wyjątkowy postapokaliptyczny świat, ale wypełniła go niezwykłymi postaciami.

Me, My Shelf and I

„Angelfall” ma tyle zalet, że nie wiem, od której zacząć... Ten wyróżniający się debiut na pewno trafi na moją listę dziesięciu najlepszych książek roku.

The Book Pushers

OMG. Pochłonęłam tę książkę w kilka godzin i chciałam czytać dalej.

Nocturnal Book Reviews

Fabula to hitchcockowskie studium budowania napięcia. Finał przeczytałam z łomoczącym sercem.

Sift Book Reviews

ROZDZIAŁ 1

Jak na ironię, od czasu ataków zachody słońca były wyjątkowo urokliwe. Za oknem bloku, w którym się zatrzymałyśmy, niebo płonie oranżami, czerwieniami i fioletami. Wymieszane przypominają powierzchnię owocu mango. Chmury tak intensywnie rozgorzały barwami zachodzącego słońca, że niemal ogarnia mnie lęk, że i my, przyczajeni poniżej, zajmiemy się ogniem.

Czuję, jak ciepło ucieka mi z twarzy, ale teraz całą uwagę skupiam na dłoniach. Ostrożnie zasuwam nimi zamek plecaka – nie chcę, żeby zaczęły się trząść.

Wkładałam ulubione buty. Stały się moimi ulubionymi, od kiedy Misty Johnson zwróciła uwagę na urodę pionowych skórzanych pasków przyszytych w kilkucentymetrowych odstępach po bokach. Misty jest – była – cheerleaderką i słynęła z wyrobionego gustu. Jej komentarz uznałam za wyraz uznania dla mojego wyczucia smaku, mimo że buty zostały wyprodukowane przez firmę specjalizującą się w obuwiu trekkingowym, a ich główną zaletą jest wytrzymałość. Teraz są moimi ulubionymi butami, ponieważ skórzane paski idealnie nadają się do przechowywania noża.

Wsuwam kilka zaostrzonych kuchennych noży do kieszeni w wózku inwalidzkim Paige. Po krótkim wahaniu umieszczam kolejny w wózku sklepowym mamy. Kiedy nie patrzy, wtykam go między stos Biblii i puste butelki po napojach gazowanych, na koniec przykrywam go ubraniami. Mam nadzieję, że go nie zauważy.

Jeszcze przed zapadnięciem zmroku pcham wózek

inwalidzki Paige w kierunku windy. Paige spokojnie przejechałaby przez korytarz sama, ponieważ zawsze wolała tradycyjne wózki od elektrycznych, ale widzę, że czuje się bezpieczniej ze mną u steru. Oczywiście nie ma sensu korzystać z windy, no chyba że ktoś byłby gotów zaryzykować utknięcie między piętrami, kiedy znów wysiadzie prąd.

Pomagam Paige wstać i znoszę ją na plecach trzy piętra. Mama sprowadza wózek po schodach. Niepokoją mnie sterczące kości u siostry. Waży mało nawet jak na siedmiolatkę, a jej wychudzona sylwetka przeraża mnie bardziej, niż wszystko inne razem wzięte.

W holu na parterze sadzam Paige z powrotem na wózek. Odgarniam jej kosmyk czarnych włosów za ucho. Ma wysokie kości policzkowe i ciemne oczy – wyglądamy niemal jak bliźniaczki. Paige ma jednak bardziej lisią twarz i choć za dziesięć lat całkowicie upodobni się do mnie, nikt by nas nie pomylił, bo różnimy się od siebie tak bardzo jak miękkie od twardego, ciepłe od zimnego. Musi być przerażona, a i tak dostrzegam cień uśmiechu w leciutko uniesionych kącikach ust. Nawet w takiej chwili myśli o mnie, a nie o sobie. Odwzajemniam uśmiech, starając się, by wyglądał pokrzepiająco.

Wbiegam po schodach, aby pomóc mamie staszczyć wózek sklepowy. Siłujemy się z niezgrabnym kolosem, który z potwornym łoskotem podskakuje na kolejnych stopniach. Dopiero teraz doceniam fakt, że budynek jest pusty i nikt nas nie słyszy. Wózek mamy jest wypełniony pustymi butelkami, kocykami Paige, czasopismami i Bibliami, wszystkimi koszulami, które tato zostawił w szafie, kiedy się wyprowadził, oraz oczywiście największym skarbem: pudełkami ze zgniłymi jajkami. Mama wypchała sobie nimi również wszystkie

kieszenie swetra i kurtki.

Chętnie zostawiłabym wózek, ale scysja z mamą trwałaby dłużej i byłaby głośniejsza niż sprowadzenie go po schodach. Mam nadzieję, że oczekującej na nas Paige nie przydarzy się nic złego. Robię sobie wyrzuty, że nie sprowadziłyśmy wózka najpierw, zostawiając Paige w relatywnie bezpiecznym miejscu na górze, a nie w holu na parterze.

Nie dotarliśmy jeszcze do bramy prowadzącej na ulicę, a już jestem spocona i strasznie podenerwowana.

– Tylko pamiętajcie – mówię – w razie kłopotów biegnijcie w kierunku El Camino. Na wysokości Page Mill skręćcie na wzgórze. Gdyby coś nas rozdzieliło, spotkamy się na szczycie, dobrze?

Gdyby coś nas rozdzieliło, pewnie byśmy się już nigdy nie zobaczyły. Muszę jednak zachowywać pozory optymizmu, ponieważ niewiele więcej nam pozostało.

Przykładam ucho do bramy wejściowej. Cisza. Nie słyszę wiatru, ptaków, samochodów, głosów. Uchylam ciężkie drzwi i wyglądam na zewnątrz przez wąską szczelinę.

Ulice są puste, jeśli nie liczyć porzuconych samochodów tarasujących wszystkie pasy. W przygasających promieniach słońca beton i stal spłwiałały, przybierając jednolity szarawy odcień.

Dzień należy do uchodźców i gangów, w nocy wszyscy wracają do kryjówek i do świtu znikają z ulic. Ludzie boją się istot nadprzyrodzonych. Wszyscy śmiertelnicy – drapieżcy i ofiary – ulegają pierwotnym lękom i kryją się przed ciemnościami. W nowym świecie nocą zawładnęły istoty, których obawiają się nawet najgroźniejsze gangi.

A przynajmniej taki układ panuje w tej chwili. Prędzej czy później co bardziej zdesperowani zaczną korzystać z osłony

nocy, nie bacząc na zagrożenia. Mam nadzieję, że wybrałyśmy takie rozwiązanie pierwsze i będziemy jedynymi ludźmi na ulicy. Choćby z tego powodu, żebym nie musiała wysłuchiwać protestów Paige, że nie udzielamy pomocy obcym.

Mama chwyta mnie za ramię i wygląda przez drzwi. W jej zwężonych oczach kryje się strach. Rok temu odszedł tato, a ona tyle się od tego czasu napłakała, że ma trwale opuchnięte powieki. Panicznie boi się nocy, ale na to już nic nie poradzę. Zapewniam ją, że wszystko będzie dobrze, ale uspokajające kłamstwo grzęźnie mi w gardle. Pocieszenie mamy nie ma sensu.

Biorę głęboki oddech i otwieram drzwi na oścież.

ROZDZIAŁ 2

Z miejsca ogarnia mnie poczucie, że jestem widoczna jak na dłoni. Napinam mięśnie, jakby lada chwila ktoś miał mnie postrzelić.

Chwytam wózek inwalidzki Paige i wyjeżdżam na zewnątrz. Obserwuję przez chwilę niebo, potem rozglądam się wokół, niczym króliczek uciekający przed drapieżnikiem.

Cienie szybko pogłębiają się między okolicznymi budynkami, samochodami i krzewami, których nikt nie podlewał od sześciu tygodni. Na bloku po przeciwnej stronie ulicy grafficiarz namalował złowrogiego anioła z wielkimi skrzydłami i mieczem. Długa szczelina w murze przebiega zygzakiem przez jego twarz, nadając jej opętańczy wygląd. Poniżej jakiś domorośły poeta nagryzmolił: „Kto nas ustrzeże przed stróżami?”.

Wzdrygam się, słysząc terkotanie wózka sklepowego mamy, która wyprowadza go właśnie przez drzwi na chodnik. Pod naszymi stopami chrzęści rozłupane szkło. Ukrywałyśmy się w budynku dłużej, niż powinnyśmy. Ktoś porozbijał szyby na parterze.

A w drzwi wbił pióro.

Oczywiście nie wierzę, że jest to prawdziwe pióro ze skrzydła anioła, ale taka wyraźnie była intencja. Żaden z nowych gangów nie jest dostatecznie potężny ani bogaty, aby upolować anioła. Przynajmniej na razie.

Pióro zanurzone w czerwonej farbie, która ścieka po drewnianych drzwiach. Mam nadzieję, że to faktycznie farba. W ostatnich tygodniach widywałam ten symbol na aptekach i

supermarketach – gangi oznaczają w ten sposób budynki, ostrzegając samotnych uciekinierów, że wkrótce przybędą ponownie, aby splądrować resztę. Nas już na szczęście nie zastaną. Rywalizują z innymi gangami, kto oznaczy większe terytorium.

Przebiegamy do najbliższego samochodu i kucamy.

Nie muszę się oglądać, ponieważ słyszę turkotanie kół wózka mamy. Zerkam w górę i w bok. W pobliżu nie dostrzegam żadnego ruchu.

Rodzi się we mnie nadzieja – po raz pierwszy odkąd obmyśliłam ten plan. Kto wie, może dzisiejsza noc będzie należała do spokojnych. Bez gangów grasujących po ulicach, bez nadjeżdżonych szczątek zwierząt znajdujących nad ranem, bez krzyków odbijających się echem w ciemnościach.

Nabieram coraz większej pewności siebie. Przemieszczamy się od samochodu do samochodu w szybszym tempie, niż przypuszczałam.

Skręcamy w El Camino Real, główną drogę przebiegającą przez Dolinę Krzemową. Według mojego nauczyciela języka hiszpańskiego „El Camino Real” znaczy „Królewska droga”. Teraz nazwa ta wydaje się o tyle zasadna, że i lokalni możnowładcy – założyciele Google, Apple, Yahoo, Facebooka i innych podobnych firm – zapewne utknęli na niej jak wszyscy inni.

Skrzyżowania są zatarasowane porzuconymi samochodami. Jeszcze sześć tygodni temu w Dolinie Krzemowej w zasadzie nie było korków – kierowcy wykazywali się tu zawsze wielką kulturą. O realności apokalipsy przekonuje mnie jednak coś innego: chrzęst smartfonów pod naszymi butami. Tylko koniec świata mógł skłonić miłośników gadżetów do porzucenia urządzeń na ulicy. Kiedyś takie postępowanie uznano by niemal

za świętokradztwo, dziś telefony są zbędnym balastem.

Wcześniej rozważałam, czy bezpieczniej nie byłoby się poruszać bocznymi uliczkami, ale uznałam, że odsłoniętych miejsc unikają zapewne również gangi. Gdybyśmy wkroczyły na ich teren, nawet w nocy mogliby zaryzykować przejęcie wózka wypełnionego łupami. Bo niby skąd mieliby wiedzieć, że w środku znajdują się puste butelki i łachmany.

Mam akurat wyrzucić zza SUV-a, aby sprawdzić kolejny odcinek drogi, kiedy Paige wsadza głowę do środka przez uchylone drzwi i bierze coś z siedzenia.

Batonik. Nieotwarty.

Leżał w rozsypanej stercie ulotek. Najrozsądniej byłoby zabrać batonik, uciec i zjeść go później w bezpiecznym miejscu, ale – o czym przekonałam się w minionych tygodniach – żołądek potrafi czasami przejąć kontrolę nad umysłem.

Paige rozdziera opakowanie i rozłamuje batonik na trzy części. Rozpromieniona podaje nam po jednej. Jej dłoń drży z głodu i podniecenia, mimo to dla siebie zostawia najmniejszy kawałek.

Przełamuję swój i oddaję połowę Paige. Mama robi to samo. Paige posyła nam zawiedzione spojrzenie, jakbyśmy odrzuciły podarunek. Przytykam palec do ust i spoglądam na nią srogo. Ociągając się, bierze od nas po połowie kawałka.

Paige została wegetarianką w wieku trzech lat po wizycie w zoo. Choć była jeszcze dzieckiem, potrafiła skojarzyć indyka, który rozbawił ją w zoo, z mięsem na kanapkach. Nazywaliśmy ją naszą dalajlamą. Dopiero kilka tygodni temu zaczęłam ją zmuszać, aby jadła wszystko, co tylko znajdziemy. A nic lepszego od batonika nie mogliśmy jej teraz zaoferować.

Po pierwszym kęsie chrupiącej masy na naszych twarzach pojawia się uczucie ulgi. Cukier i czekolada! Kalorie i witaminy!

Z fotela w samochodzie zsuwa się, uniesiona podmuchem wiatru, kartka papieru. Przed oczami miga mi nagłówek: „Radujcie się! Pan nadchodzi! Przyłączcie się do nowego początku i jako pierwsi wstąpcie do Raju!”.

Ulotkę przygotował zapewne zwolennik jednego z nowych ruchów religijnych, które po atakach zaczęły się pojawiać jak pryszcze na przetłuszczonej skórze. Na kartkach umieszczono niewyraźne fotografie płonących miast: Jerozolimy, Mekki i Watykanu. Ktoś wyciął pojedyncze klatki z materiałów telewizyjnych i wydrukował je na domowym sprzęcie. Całość wykonano w wielkim pośpiechu.

Pochłaniam resztę batonika, nerwy nie pozwalają mi nacieszyć się jego słodyczą. Dotarliśmy niemal do Page Mill Road, która zaprowadzi nas przez mało zaludnioną okolicę ku wzgórzom, gdzie w mojej ocenie powinniśmy mieć znacznie większe szanse przeżycia.

Zapadła głęboka noc. Jest pełnia, opuszczone auta lśnią upiornie w blasku księżyca. Wokół panuje dojmująca cisza, co budzi we mnie osobliwie duży niepokój. Mimo wszystko powinnam słyszeć jakieś dźwięki – odgłos przebiegających szczurów, piski ptaków albo cykanie świerszczy. Nawet wiatr boi się poruszyć.

Pośród tej ciszy wózek mamy trzeszczy ze zdwojoną siłą. Żałuję, że nie zdążyłam jej przekonać do zostawienia tego żelastwa. Zaczyna ogarniać mnie zniecierpliwienie, jakbym coś przeczuwała. A wystarczy dotrzeć do Page Mill...

Ze zdwojoną energią popycham wózek z siostrą, lawirując między samochodami. Za plecami słyszę rżenie mamy, która z coraz większym trudem łapie powietrze. Paige zachowuje się tak cichutko, jakby wstrzymała oddech.

Coś białego opada powoli z nieba i ląduje na Paige. Siostra

chwyta to między palce i odwraca się, żeby mi pokazać. Pobladła, oczy ma okrągłe jak spodki.

W dłoni trzyma kawałek pierza. Śnieżnobiałe piórko. Podobne do tych, które wyłazą czasami z puchowej kołdry, tylko większe.

Z mojej twarzy również odpływa krew.

Czyżby spotkał nas aż taki pech?

Przecież one atakują głównie duże miasta. Dolina Krzemowa to pas niskich budynków biurowych i podmiejskich domów położonych między San Francisco i San Jose. San Francisco już padło, więc gdyby chciały przeprowadzić kolejne ataki w okolicy, wybrałyby raczej San Jose, a nie Dolinę. Nad naszymi głowami przeleciał pewnie jakiś ptak i tyle. I tyle.

Mimo to ogarnia mnie panika.

Zmuszam się, żeby spojrzeć w górę. Widzę tylko bezkresne czarne niebo.

Chwilę później coś przykuwa moją uwagę. Kolejne, większe pióro wiruje powoli obok mojej głowy.

Czuję, jak kropelki potu pokrywają moje czoło.

Ruszam pędem przed siebie.

Z tyłu wózek mamy klekocze jak szalony. Nie muszę wyjaśniać, co się stało, ani jej ponaglać. Żeby tylko któraś z nas nie upadła, żeby tylko wózek Paige się nie wywrócił. Ale przecież nie mogę się zatrzymać. Musimy znaleźć schronienie. Szybko, szybko, szybko.

Jakiś wielki ciężar niespodziewanie zgniata samochód hybrydowy, przy którym chciałam przycupnąć. Rozlega się tak straszliwy huk, że niemal wyskakuję z butów. Na szczęście w tym hałasie ginie krzyk mamy.

Widzę zarys płowych kończyn i śnieżnobiałych skrzydeł.

Anioł.

Muszę zamrugać, aby się upewnić, że jest prawdziwy.

Nigdy wcześniej nie widziałam anioła na żywo. Wszyscy pamiętamy, oczywiście, emitowane na okrągło nagranie złotoskrzydłego Gabriela, Posłańca Bożego, który padł pod gradem kul na gruzach Jerozolimy. Ale kiedy oglądało się te sceny w telewizji, choć nadawano je całymi dniami na wszystkich kanałach, można było sobie wmawiać, że nie są prawdziwe.

Teraz jednak ponad wszelką wątpliwość mam przed sobą prawdziwego anioła. Jedną z uskrzydłonych istot. Aniołów Apokalipsy. Nadprzyrodzonych istot, które starły na proch współczesny świat i wymordowały miliony, a może nawet miliardy ludzi.

Teraz jedna z tych przerażających istot wylądowała kilka metrów ode mnie.

ROZDZIAŁ 3

Niemal przewracam Paige, próbując pośpiesznie zmienić kierunek. Wślizgujemy się za ciężarówkę firmy transportowej. Nie potrafię opanować ciekawości i wyglądam zza samochodu.

Pięć aniołów nurkuje w stronę tego ze śnieżnobiałymi skrzydłami. Sądząc po ich agresywnym zachowaniu, szykują się do ataku – pięciu na jednego. W ciemnościach nie mogę dokładnie dostrzec wyglądu tych istot. Skrzydła jednego wydają się odmienne niż reszty, ale zwija je zbyt szybko, żebym zdążyła się przyjrzeć. A może mi się przewidziało? Jest wielki i góruje nad pozostałymi.

Przypadamy do ziemi. Moje ciało nieruchomieje i nie zgadza się na opuszczenie względnie bezpiecznego schronienia za oponą ciężarówki. Chyba nas nie zauważyły.

Nad roztrzaskanym samochodem hybrydowym niespodziewanie rozbłyśka jedna z wciąż działających ulicznych latarni. Włączył się prąd. Pojedynczy snop światła wydaje się oślepiający i upiorny – raczej uwydatnia kontrasty niż oświeśla. Światło pojawia się również w kilku pustych oknach, dzięki czemu nieco lepiej widzę starcie.

Skrzydła aniołów różnią się kolorem. U tego, który roztrzaskał samochód, są śnieżnobiałe. Czarne niczym noc u olbrzyma. Niebieskie, zielone, ciemnopomarańczowe i pasiaste u pozostałych.

Mają nagie, muskularne torsy. Mięśnie napinają się przy każdym ruchu. Różnią się nie tylko skrzydłami, lecz także barwą skóry. Śnieżnoskrzydły ma skórę jasnokarmelową, a czarnoskrzydły bladą jak skorupka jajka. Pozostałe – od złocistej

do ciemnobrązowej. Mogłoby się wydawać, że ich skórę powinna pokrywać duża liczba blizn – pamiątek po stoczonych bitwach – tymczasem nie jest ona w najmniejszym stopniu oszpecona. Każda nastolatka oddałaby wszystko, żeby jej partner na bal maturalny miał tak nieskazitelnie gładką skórę.

Śnieżnoskrzydły stacza się z roztrzaskanego samochodu. Mimo obrażeń ląduje w półprzysiadzie, gotowy do odparcia kolejnego ataku. Lekkością ruchów przypomina pumę – widziałam kiedyś w telewizji, jakie są zwinne.

Musi być doskonałym wojownikiem, bo choć jest ranny i walczy w pojedynkę, pozostałe anioły zachowują dużą ostrożność. Mimo muskularnych sylwetek wyglądają dość prymitywnie i niezgrabnie w zestawieniu z jego jędrnym, umięśnionym ciałem – wygląda jak jeden z pływaków startujących na igrzyskach olimpijskich. Wyraźnie jest gotów odeprzeć atak gołymi rękami, mimo że większość z jego przeciwników jest uzbrojona w miecze.

Jego miecz leży kilka metrów od samochodu – wypadł mu z dłoni podczas upadku. Podobnie jak miecze pozostałych aniołów ma dość krótkie, półmetrowe, obosieczne ostrze, świetnie przystosowane do podrzynania gardeł.

Śnieżnoskrzydły dostrzega miecz i odwraca się, aby do niego doskoczyć, ale Ciemnopomarańczowy odkopuje go z całej siły. Miecz wiruje po asfalcie, coraz dalej od właściciela. Zatrzymuje się dość szybko, więc musi być ciężki jak ołów. Śnieżnoskrzydły rezygnuje z próby odzyskania broni.

Zaczynam rozumieć, że będę świadkiem egzekucji. Wynik starcia wydaje się przesadzony, mimo to Śnieżnoskrzydły broni się zaciekle. Trafia kopniakiem Pasiastego i odpiera ciosy dwóch pozostałych. Ulega dopiero, gdy cała piątka atakuje jednocześnie.

Cztery anioły powalają go na ziemię i przytrzymują, w zasadzie na nim siadając. Dopiero wtedy dołącza do nich Mroczny Olbrzym. Przypomina Anioła Śmierci. Kto wie, może to jest Anioł Śmierci. Mam dziwne przeczucie, że oglądam ostatnie starcie z serii bitew, które stoczyli w przeszłości. Wiele musiało się między nimi wydarzyć – świadczą o tym wymowne spojrzenia i sposób, w jaki Mroczny szarpie za skrzydło powalonego anioła, rozpościerając je na ziemi. Kiwnięciem głowy daje znak Pasiastemu, który unosi miecz.

Chcę zamknąć oczy, aby nie oglądać śmiertelnego ciosu, ale nie potrafię. Zupełnie jakbym zapomniała, jak się opuszcza powieki.

– Trzeba było skorzystać z naszego zaproszenia, póki mogłeś – mówi Mroczny, przyciskając skrzydło do ziemi, aby Śnieżnoskrzydły nie mógł go zwinąć. – Nawet ja nie sądziłem, że skończysz w ten sposób.

Ponownie daje znak Pasiastemu. Ostrze opada ze świstem i odcina skrzydło.

Śnieżnoskrzydły ryczy z wściekłości. Ulica wypełnia się odgłosami furii i cierpienia.

Krew tryska na wszystkie strony, ochlapując pozostałych. Przytrzymują go z coraz większym trudem, ponieważ mokre od krwi ciało zaczyna im się wyślizgiwać. Niespodziewanie Śnieżnoskrzydły powala i odrzuca kopniakami dwóch napastników. Zwinęci toczą się po asfalcie. Dwa pozostałe anioły usiłują go przytrzymać. Zdaje się, że lada chwila się wyswobodzi.

Ale Mroczny przyciska but do pleców Śnieżnoskrzydłego, w miejscu otwartej rany.

Z piersi leżącego anioła wydobywa się syk. Jego oddech jest przepełniony bólem, ale zachowuje milczenie. Napastnicy

korzystają z okazji, aby ponownie go mocno pochwycić.

Mroczny upuszcza na ziemię odcięte skrzydło, które niczym martwe zwierzę z głuchym łoskotem ląduje na asfalcie.

Na twarzy Śnieżnoskrzydłego maluje się wściekłość. Wciąż ma zapal do walki, ale traci go równie szybko jak krew, która spływa mu po skórze i oblepia włosy.

Mroczny łapie go za drugie skrzydło i z wysiłkiem je rozkłada.

– Gdyby to zależało ode mnie, puściłbym cię wolno – stwierdza. W jego głosie pobrzmiewa szacunek dla Śnieżnoskrzydłego, tak że wydaje się mówić prawdę. – Ale każdy z nas ma do wykonania rozkazy.

Szacunek szacunkiem, ale litości nie ma.

W ostrzu miecza Pasiastego, uniesionym nad staw łączący skrzydło z ciałem, połyskuje światło księżyca.

Kulę się, oczekując kolejnego krwawego ciosu. Zza moich pleców dobiega cichutkie, przepełnione współczuciem westchnienie Paige.

Ciemnopomarańczowy wystawia głowę zza pleców Mrocznego. Patrzy prosto na nas.

Zastygam, skurczona za ciężarówką. Serce zamiera mi na sekundę, po czym zaczyna walić z potrójną szybkością.

Ciemnopomarańczowy wstaje i oddala się od towarzyszy.

Zmierza prosto w naszą stronę.

ROZDZIAŁ 4

Sparaliżowany strachem mózg przestaje działać. Jedyne, co mi przychodzi do głowy, to ściągnąć na siebie uwagę anioła, aby matka mogła odwieźć Paige w bezpieczne miejsce.

– Uciekajcie!

Matka nieruchomieje, wpatrując się we mnie przerażonym wzrokiem. Spanikowana odwraca się i ucieka, zostawiając Paige. Musiała założyć, że to ja będę pchać wózek inwalidzki siostry.

Szeroko otwarte ze strachu oczy Paige dominują nad resztą szczupłej buzi. Nagle odwraca wózek i rusza ile sił w rękach za mamą. Porusza się sprawnie, ale dużo wolniej, niż gdyby ktoś ją popychał.

Żadna z nas nie przeżyje, jeżeli nie odwrócimy w jakiś sposób uwagi aniołów. Decyzję podejmuję w ułamku sekundy. Nie mam czasu na analizę plusów i minusów.

Wybiegam zza ciężarówki i ruszam pędem prosto na Ciemnopomarańczowego.

Jakaś część mojego umysłu rejestruje dobiegający z oddali wściekły, przepełniony cierpieniem ryk. Odcięto drugie skrzydło, a to oznacza, że się spóźniłam. Tyle że dotarłam już do miejsca, gdzie leży miecz Śnieżnoskrzydłego. Nie wymyślę teraz nowego planu.

Wyrywam miecz niemal spod stóp Ciemnopomarańczowego. Chwytam go obiema rękami, spodziewając się, że będzie bardzo ciężki. Jest lekki jak piórko. Unoszę go w powietrze i ciskam w stronę Śnieżnoskrzydłego.

– Ej! – wołam ile sił w płucach.

Ciemnopomarańczowy uchyla się, zaskoczony widokiem miecza przelatującego mu nad głową. Działam w desperacji i chyba niezbyt rozsądnie, ponieważ anioł prawdopodobnie wykrwawia się właśnie na śmierć. Na szczęście rzucam celniej, niż się spodziewałam. Miecz ląduje rękojeścią w wyciągniętej dłoni Śnieżnoskrzydłego, zupełnie jakby coś go w to miejsce poprowadziło.

Bezskrzydły anioł płynnym ruchem zamachuje się na Mrocznego. Mimo straszliwych obrażeń jest zwinny i wściekły. Teraz rozumiem, dlaczego pozostałe anioły potrzebowały tak wielkiej przewagi liczebnej, aby go dopaść.

Ostrze rozcina brzuch Mrocznego. Krew tryska z rany i szybko tworzy szkarłatną kałużę na asfalcie. Pasiasty doskakuje do szefa i chwyta go, zanim tamten zdąży upaść.

Śnieżnoskrzydły próbuje odzyskać równowagę mimo braku skrzydeł. Krew spływa mu strumieniami po plecach. Ponownie zamachuje się mieczem. Rozcina nogę Pasiastego, ale ten rzuca się do ucieczki, unosząc w ramionach Mrocznego. Mimo rany nie zwalnia.

Dwa pozostałe anioły, które odskoczyły w chwili kontrataku Śnieżnoskrzydłego, ruszają biegiem za Mrocznym i Pasiastym. Chwytają rannych towarzyszy i, uderzając mocno potężnymi skrzydłami, wzbijają się w powietrze. Znikają w mroku nocy, pozostawiając na ziemi ślad z rozchlapanej krwi.

Mój plan okazał się zdumiewająco skuteczny. Wzbiera we mnie nadzieja, że matka i siostra zdążyły znaleźć bezpieczną kryjówkę.

Zaraz potem zalewa mnie wszechogarniająca fala bólu. Ciemnopomarańczowy wali mnie na odlew grzbietem dłoni. Lecę do tyłu i uderzam o asfalt. Zgniecione płuca nie są w stanie zaczerpnąć powietrza. Zwijam się w kłębek, próbując złapać

oddech.

Ciemnopomarańczowy zwraca się w stronę Śnieżnoskrzydłego, którego trudno już takim nazwać. Nieruchomieje na moment przyczajony, jakby oceniał swoje szanse w starciu z rannym. Śnieżny, pozbawiony skrzydeł i zlany krwią, ledwie trzyma się na nogach. Choć sam się chwieje, miecz trzyma nieruchomo, wycelowany w Ciemnopomarańczowego. Jego oczy wyrażają wściekłość i determinację. Prawdopodobnie tylko dzięki tym dwóm emocjom wciąż stoi na nogach.

Zakrwawiony anioł musiał się cieszyć niesamowitym uznaniem, ponieważ muskularny Ciemnopomarańczowy, choć sam nawet niedraśnięty, wsuwa miecz do pochwy. Obrzuca mnie pogardliwym spojrzeniem i rusza biegiem ulicą z rozpostartymi skrzydłami. Po kilku krokach wzbija się w powietrze.

Ledwie przeciwnik odwraca się do niego plecami, ranny anioł pada na kolana pomiędzy odciętymi skrzydłami. Krwawi naprawdę mocno. Za kilka minut zostanie z niego padlina.

W końcu udaje mi się wziąć głębszy oddech. Czuję pieczenie, kiedy powietrze wypełnia płuca. Dotlenione mięśnie nareszcie się rozluźniają. Przez chwilę się tym rozkoszuję. Rozprostowuję ciało i odwracam się, aby spojrzeć w przeciwnym kierunku.

To, co widzę, mrozi mi krew w żyłach.

Paige z mozołem jedzie ulicą. Nad jej głową niczym sęp krąży Ciemnopomarańczowy. Właśnie zaczyna pikować.

Podrywam się i pędzę na złamanie karku.

Płuca żądają tlenu, ale nie zważam na ból.

Ciemnopomarańczowy posyła mi triumfujące spojrzenie. Podmuchy powietrza wzbudzone przez uderzenia skrzydeł unoszą mi włosy.

Tak blisko, tak blisko. Trochę szybciej. Moja wina. Wkurzyłam go, a on z czystej złośliwości skrzywdzi Paige. Poczucie winy dodaje mi sił w szaleńczym wyścigu z czasem.

– Biegnij, małego, biegnij – woła Ciemnopomarańczowy.

Wyciąga ręce i chwyta Paige.

– Nie! – krzyczę, dobiegając do wózka.

Paige unosi się w górę, krzycząc moje imię: „Penryn!”.

Łapię ją za nogawkę spodni. Trzymam skrawek materiału, na którym mama naszyła żółtą gwiazdkę mającą chronić Paige przed złem.

Przez krótką chwilę pozwalam sobie uwierzyć, że zdołam ją ściągnąć na ziemię. Uścisk w klatce piersiowej lekko słabnie.

Materiał wyslizguje mi się z dłoni.

– Nie!!!

Podskakuję, ale zamiast chwycić Paige za stopę, tylko ocieram palcami o buty.

– Wypuść ją! Po co ci ona?! To tylko mała dziewczynka... – Przy ostatnich słowach głos mi się załamuje.

Zaraz potem anioł wzbija się tak wysoko, że na pewno znajduje się poza zasięgiem mojego głosu. Mimo to krzyczę, biegnąc ulicą za coraz słabszymi nawoływaniem Paige. W pewnej chwili moje serce niemal przestaje bić, sparaliżowane strachem, że anioł ją upuści.

Mijają długie minuty, a ja wciąż stoję na ulicy, patrząc na malejący punkcik wysoko na niebie.

ROZDZIAŁ 5

Długo stoję, wpatrując się w chmury, dopiero potem spuszczam wzrok i zaczynam się rozglądać w poszukiwaniu matki. Bynajmniej nie dlatego, że nie przejmuję się jej losem. Po prostu łączy nas bardziej skomplikowana relacja niż większość matek i córek. Czysta miłość, którą powinnam odczuwać, jest podszyta mrokiem i różnymi odcieniami szarości.

Nigdzie nie mogę jej dostrzec. Wózek sklepowy leży przewrócony, zawartość wysypała się na ulicę obok ciężarówki, za którą się chowałyśmy. Po krótkim wahaniu decyduję się zawołać:

– Mamo?!

Wszyscy, których mogły przyciągnąć hałasy, czają się już nieopodal i obserwują całe zajście z ciemności.

– Mamo!

Na opustoszałej ulicy panuje przenikliwa cisza. Nawet jeśli milczący obserwatorzy ukryci w ciemnych oknach widzieli, w którym kierunku pobiegła, nikt dobrowolnie nie podzielił się tą informacją. Próbuje sobie przypomnieć, czy nie została porwana przez innego anioła, ale jedyne wspomnienie, które potrafię przywołać, to bezwładne nogi Paige unoszonej z wózka inwalidzkiego. Nawet gdyby coś wydarzyło się tuż obok mnie, nie miałabym o tym pojęcia.

W cywilizowanym świecie, gdzie obowiązuje prawo, istnieją banki i supermarkety, człowiek chory na schizofrenię paranoidalną ma poważny problem z normalnym funkcjonowaniem. Ale w świecie, w którym banki i supermarkety służą gangom do torturowania, lekka paranoja

okazuje się atutem. Sama schizofrenia niekoniecznie, bo niezdolność do odróżnienia rzeczywistości od fantazji bywa uciążliwa.

Mama prawdopodobnie zdążyła gdzieś czmychnąć i będzie śledzić moje poczynania z ukrycia, dopóki nie poczuje się na tyle bezpieczna, aby opuścić kryjówkę.

Ponownie lustruję okolicę. Dostrzegam wyłącznie budynki z ciemnymi oknami oraz porzucone samochody. Gdybym przez kilka ostatnich tygodni nie wyglądała godzinami przez jedno z takich zaciemnionych okien, doszłabym teraz pewnie do wniosku, że jestem ostatnim człowiekiem na Ziemi. Mam jednak świadomość, że gdzieś niedaleko, za warstwami betonu i stali, czai się co najmniej kilka par oczu. Ich właściciele rozważają właśnie, czy warto zaryzykować opuszczenie kryjówki, aby porwać skrzydła anioła oraz inne części jego ciała, które zdołaliby odciąć.

Zdaniem Justina, który jeszcze tydzień temu był naszym sąsiadem, panuje ogólne przekonanie, że ktoś wyznaczył nagrodę za przyniesienie części ciała aniołów. Ćwiartowanie aniołów zrodziło rzekomo nową gałąź handlu. Najwyższą cenę można dostać za skrzydła, ale dłonie, stopy, skalp i inne bardziej intymne części ciała również pozwalają na zarobienie sporej sumki – jeżeli tylko ktoś potrafi udowodnić, że faktycznie pochodzą od anioła.

Moje rozmyślenia przerywa niski jęk. Natychmiast cała się naprężam, gotowa do kolejnego starcia. Czyżby zbliżał się jakiś gang?

Kolejny cichy jęk. Dochodzi nie z budynków, ale z jakiegoś miejsca dokładnie przede mną. A jedyne, co znajduje się przede mną, to leżący na brzuchu, wykrwawiający się anioł.

Czyżby wciąż żył?

Według wszystkich znanych mi relacji anioł umiera po odcięciu skrzydeł. Ale może były tak samo prawdziwe, jak przekonanie, że człowiek umiera po odcięciu ręki. Pozostawiony sam sobie po prostu wykrwawi się na śmierć.

Okazje do zdobycia kawałka ciała anioła nie zdarzają się często. Lada chwila ulica zaroi się od padlinożerców. Rozsądek nakazuje się ulotnić, póki to możliwe.

Ale jeśli anioł wciąż żyje, być może wie, dokąd zabrano Paige. Podbiegam do niego truchtem. Przepełnione nadzieją serce wali szaleńczo.

Krew spływa mu obficie po plecach i rozlewa się po asfalcie. Przewracam go bezceremonialnie, nie zastanawiając się nawet przez chwilę nad własnym bezpieczeństwem. Mimo paniki dostrzegam jego eteryczne piękno, gładki łuk klatki piersiowej. Pod siniakami i obrzękami musi się kryć prawdziwie anielska twarz.

Potrząsam nim. Nie reaguje. Przypomina marmurowy posąg greckiego boga.

Uderzam go mocno w twarz. Mruga kilkakrotnie i na moment dostrzega moją obecność. Zwalczam w sobie wszechogarniające pragnienie, aby rzucić się do ucieczki.

– Gdzie poleciecieli?

Wydaje z siebie jęk, jego powieki opadają. Uderzam go ponownie – z całej siły.

– Mów, gdzie poleciecieli! Gdzie ją zabrali?!

Jakaś część mnie nienawidzi tej nowej Penryn, którą się stałam. Nienawidzi dziewczyny, która wymierza cios konającej istocie. Ale spycham te myśli głęboko w ciemny zakamarek mojego wnętrza. Będą sobie mogły pomarudzić przy innej okazji, kiedy Paige przestanie grozić niebezpieczeństwo.

Z ust anioła wydobywa się kolejny jęk. Dociera do mnie, że

niczego się nie dowiem, jeśli nie powstrzymam krwawienia i nie zabiorę go w miejsce, gdzie nie dopadnie go żaden krwi gang. Wstrząsają nim drgawki, jego organizm pogrąża się prawdopodobnie w stanie głębokiego szoku. Przewracam go z powrotem na twarz. Tym razem zauważam, że jest niesamowicie lekki.

Podbiegam do przewróconego wózka matki. Przetrząsam stertę rzeczy, szukając czegoś, czym mogłabym go owinać. Apteczka leży na dnie wózka. Po krótkim wahaniu biorę ją do ręki. Wolałabym nie marnować cennych gaz i bandażu na anioła, który i tak umrze. Problem w tym, że bez skrzydeł wygląda niesamowicie ludzko. Daję sobie w myślach pozwolenie na zużycie kilku opatrunków.

Z powodu ogromnej ilości krwi i brudu na plecach nie potrafię ocenić głębokości i rozległości ran. Uznaję, że nie ma to znaczenia. Wystarczy, jeśli utrzymam go przy życiu do czasu, aż zdradzi mi, gdzie zabrali Paige. Owijam tors paskami materiału, zaciskając je tak mocno, jak tylko potrafię. Nie mam pojęcia, czy można kogoś zabić za mocno zawiązanym opatrunkiem, ale z tego, co pamiętam, śmierć przez wykrwawienie następuje szybciej niż z jakiegokolwiek innego powodu.

Niemal czuję na plecach wzrok niewidocznych oczu. Członkowie gangów myślą, że odcinam cenne kawałki ciała anioła. Zapewne rozważają prawdopodobieństwo, że pozostałe anioły powrócą, gdy oni będą wyrywać mi łupy. Muszę skończyć opatrywanie anioła i zabrać go z ulicy, zanim nabiorą odwagi. W pośpiechu obwiązuję go jak szmacianą lalkę.

Biegnę po wózek inwalidzki Paige. Anioł jest zdumiewająco lekki jak na swoje rozmiary – posadzenie go na wózku okazuje się łatwiejsze, niż sądziłam. W sumie nie powinnam się dziwić. Łatwiej lata się istocie ważącej trzydzieści

niż trzysta kilogramów. Świadomość, że jest silniejszy i lżejszy od ludzi bynajmniej nie zmniejsza niechęci, jaką we mnie budzi.

Podczas sadzania go na wózku odstawiam teatrzyk, stękając i chwiejąc się na nogach. Chcę, by świadkowie tej sceny pomyśleli, że anioł jest ciężki. Kto wie, może dojdą do wniosku, że jestem silniejsza i bardziej niebezpieczna, niżby to wynikało z mojej wychudłej stusześcdziesięciocentymetrowej sylwetki.

Czy to możliwe, że na jego twarzy dostrzegam cień uśmiechu?

Nawet jeśli tak, natychmiast przeradza się w grymas bólu. Próbuję wepchnąć anioła na wózek, ale jego ciało jest zbyt potężne i niespecjalnie się na nim mieści. Jakoś sobie z tym radzę.

Szybko podnoszę aksamitne skrzydła i owijam je w przeżarty przez mole koc wzięty z wózka matki. Śnieżnobiałe pióra są cudownie delikatne, zwłaszcza w porównaniu z szorstkością koca. Mimo obezwładniającej paniki mam ochotę pogłaskać miękką powierzchnię skrzydła. Gdybym wyrywała pióra pojedynczo i używała ich jako waluty, jedno skrzydło pozwoliłoby mi zapewne na zakup jedzenia na cały rok. Zakładając oczywiście, że zdołam odnaleźć matkę i Paige.

Szybko owijam oba skrzydła, nie przejmując się specjalnie tym, czy połamię pióra. Przechodzi mi przez myśl, aby zostawić jedno skrzydło na ulicy. Odciągnęłabym dzięki temu uwagę gangów ode mnie i dała im coś, o co mogłyby walczyć między sobą. Dochodzę jednak do wniosku, że potrzebuję obu skrzydeł, jeśli zamierzam nakłonić anioła do rozmowy. Biorę miecz, również lekki jak piórko, i wtykam go bezceremonialnie w boczną kieszeń wózka.

Ruszam pędem ulicą w ciemną noc, pchając przed sobą wózek z aniołem.

ROZDZIAŁ 6

Anioł umiera.

Leży na sofie z torsem owiniętym bandażami i wygląda zupełnie jak człowiek. Kropelki potu gromadzą mu się wokół brwi. Kiedy go dotykam, czuję, jak jego ciało pali gorączka.

Znajdujemy się w jednym z niezliczonych biurowców w Dolinie Krzemowej, dawnej siedzibie firmy z branży elektronicznej. Specjalnie wybrałam taki, który wchodzi w skład kompleksu kilku identycznych budynków. Gdyby ktoś postanowił przetrząsnąć któryś z biurowców w okolicy, z kilku jednakowych być może wybierze inny.

Do ominięcia naszego budynku zachęcają zwłoki leżące w holu. Martwy mężczyzna znajdował się tam, kiedy przybyliśmy. Budynek wciąż pachniał papierem i tuszem z drukarek, drewnem i pastą, co oznaczało, że proces rozkładu jeszcze się nie rozpoczął, a trup dopiero zaczynał podśmierdywać. W pierwszym odruchu chciałam szukać szczęścia gdzie indziej i dopiero kiedy zawróciłam ku wyjściu, oświeciło mnie, że inni zareagowaliby tak samo.

Główne wejście do budynku jest przeszklone, więc zwłoki widać z zewnątrz. Wystarczy wejść dwa kroki w głąb holu, a człowiek natyka się na leżącego faceta z rozchylonymi nogami i otwartymi ustami. Wybieram ten budynek na swoje tymczasowe gniazdko. Dość niska temperatura powietrza w holu sprawia, że zwłoki nie śmierdzą za mocno, niemniej wkrótce będziemy musieli zmienić lokum.

Anioł leży na skórzanej kanapie w narożnym gabinecie, który musiał należeć do jakiegoś dyrektora. Na ścianach wiszą

oprawione w ramki czarno-białe fotografie parku Yosemite, a na biurku i na półkach stoją zdjęcia kobiety i dwojga małych dzieci w identycznych strojach sportowych.

Wybrałam jednopiętrowy biurowiec, który nie wyróżnia się niczym specjalnym. Na budynku widnieje nazwa firmy: „Zygotronics”. Wystrój holu stanowią wielkie, zabawne krzesła i kanapy, głównie w złamanych fioletach i przesadnie jaskrawych żółciach. Przy boksach ze stanowiskami dla pracowników stoi dwuipółmetrowy dmuchany dinozaur. Dolina Krzemowa w ostrym stylu retro. Podejrzewam, że praca w takim miejscu sprawiałaby mi przyjemność, gdybym dopiero co skończyła studia.

Do biura przylega mała kuchnia. O mało się nie pobeczałam na widok spiżarki pełnej przekąsek. Batoniki, orzeszki, czekolady w zabawnych kształtach, do tego paczka zupek błyskawicznych sprzedawanych od razu ze styropianowymi miseczkami. Dlaczego wcześniej nie przyszło nam do głowy, żeby przetrząsać biura? Zapewne dlatego, że nigdy nie pracowałam w takim miejscu.

Nie zaglądam do lodówki, bo wiem, że nie znajdę w środku niczego nadającego się do zjedzenia. Elektrownie wciąż pracują, ale wyłączenia prądu są częste i trwają nawet po kilka dni. W zamrażalniku musi leżeć jedzenie, ponieważ wydobywa się stamtąd nieprzyjemny zapach przypominający smród zgniłych jajek, które wozila ze sobą matka. W biurowcu jest nawet prysznic, zapewne przeznaczony dla otyłych kierowników próbujących zrzucić kilka kilogramów podczas przerwy na lunch. Tak czy siak, przydaje się do spłukania krwi.

Budynek oferuje wszystkie wygody typowego domu. Z oczywistych powodów brakuje tylko rodziny, której obecność uzasadniałaby nazwanie go domem.

Biorąc pod uwagę spoczywającą na mnie odpowiedzialność i towarzyszącą temu presję, od dawna nachodzą mnie myśli, że byłabym szczęśliwsza bez rodziny. Ale to złudne myślenie. Może gdybym nie zamartwiała się tak o Paige i matkę? Mimowolnie zaczynam wyobrażać sobie, jak szalałybyśmy ze szczęścia, gdybyśmy znalazły to miejsce razem. Mogłybyśmy zatrzymać się tu na tydzień i udawać, że życie toczy się normalnie.

Czuję się zagubiona i osamotniona, skołowana i bezbronna. Zaczynam rozumieć, dlaczego ludzie wstępują do gangów po utracie bliskich.

Siedzimy w biurowcu od dwóch dni. Anioł nie umarł, ale też nie wyzdrowiał. Leży na sofie, przeпоcony, i tyle. Jestem w zasadzie pewna, że umiera. Gdyby było inaczej, już by się przebudził, prawda?

Pod umywalką znajduję apteczkę, ale plastry i większość innych środków nadaje się do opatrywania tylko drobnych skaleczeń. Przetrząsam jej zawartość i czytam opisy na opakowaniach. Buteleczka z aspiryną. Czy dobrze pamiętam, że aspiryna zmniejsza gorączkę i ból głowy? Na etykiecie znajduję potwierdzenie moich przypuszczeń.

Nie mam pojęcia, czy aspiryna pomoże aniołowi ani czy jego gorączka ma jakikolwiek związek z ranami. Kto wie, może to jego normalna temperatura ciała. Nawet jeśli z wyglądu przypomina człowieka, nie oznacza to, że nim jest.

Wracam do narożnego gabinetu z aspiryną i szklanką wody. Anioł leży na brzuchu na czarnej sofie. Pierwszej nocy próbowałam okrywać go kocem, ale go z siebie strącał. Teraz leży na kanapie w samych spodniach i butach, owinięty bandażami. Początkowo zamierzałam zdjąć mu spodnie i buty przed opłukaniem go z krwi pod prysznicem, ale uznałam, że

moją rolą nie jest dbanie o jego wygodę.

Kosmyki czarnych włosów oblepiają mu czoło. Chcę go nakłonić do przełknięcia kilku pastylek i popicia ich wodą, ale nie potrafię go obudzić. Leży na łóżku niczym rozpalony głaz i nie reaguje na żadne bodźce.

– Jeżeli nie wypijesz wody, zostawię cię tu i umrzesz.

Tak jak przez poprzednie dwa dni zabandażowane plecy łagodnie unoszą się i opadają.

Czterokrotnie wychodziłam na zewnątrz w poszukiwaniu mamy. Nie oddalałam się daleko z obawy, że anioł obudzi się podczas mojej nieobecności, a ja nie zdążę przed śmiercią wydobyć z niego informacji o losach Paige. W przeciwieństwie do dziewczynek przykutych do wózka inwalidzkiego szalone kobiety potrafią sobie poradzić na ulicy. Z poszukiwań za każdym razem wracam pośpiesznie do budynku. Na widok nieprzytomnego anioła czuję jednocześnie ulgę i frustrację.

Od dwóch dni spędzam czas głównie na siedzeniu i zjadaniu się zupkami błyskawicznymi, podczas gdy moja siostra...

Nie próbuję sobie nawet wyobrażać, co się z nią dzieje, ponieważ nie mam pojęcia, co anioły robią z ludzkimi dziećmi. Nie mogłyby uczynić z niej niewolnicy. Paige nie potrafi chodzić. Uciszam tego rodzaju myśli. Nie zamierzam roztrząsać tego, co jej grozi albo co mogło się jej przytrafić. Muszę po prostu zrobić wszystko, żeby ją odnaleźć.

Ogarniają mnie przytłaczający gniew i frustracja. Najchętniej zaczęłabym się wydzierać jak dwuletnie dziecko. Walczę z pragnieniem, aby cisnąć szklankę z wodą o ścianę, zerwać z niej półki z książkami i wykrzyczeć z głowy całą złość. Pragnienie jest tak silne, że zaczynają mi się trząść dłonie. Jeszcze chwila i wychłapię wodę ze szklanki.

Zamiast tego chlustam nią w twarz anioła. Najchętniej dodatkowo roztrzaskałabym pustą szklanę o jego głowę, ale się powstrzymuję.

– Obudź się, do cholery! No obudź się! Co oni wyprawiają z moją siostrą?! Czego od niej chcą?! Dokąd ją, u diabła, zabrali?! – krzyczę na całe gardło. Wiem, że mogę ściągnąć sobie na głowę gangi, ale mam to gdzieś.

Kopię kanapę.

Ku mojemu zaskoczeniu zaczerwienione powieki się unoszą. Anioł wpatruje się we mnie ciemnoniebieskimi oczami.

– Możesz się uspokoić? Próbuję spać.

Mówi zachrypniętym, zbolałym głosem, ale i tak zdołał nasycić słowa protekcyjnym tonem.

Padam na kolana, aby nasze twarze znajdowały się dokładnie na tej samej wysokości.

– Gdzie poleciały te anioły? Gdzie zabrały moją siostrę?

Z premedytacją zamyka oczy.

Z całej siły walę go w plecy, celując w najbardziej zakrwawioną część bandażu.

Natychmiast otwiera oczy, zaciskając zęby. Z jego ust wydobywa się syk, ale powstrzymuje okrzyk bólu. O rany, teraz wygląda na porządnie wkurzonego. Siłą woli zmuszam się, aby nie odskoczyć do tyłu.

– Nie boję się ciebie – mówię najspokojniej, jak potrafię, próbując ukryć strach. – Jesteś za słaby, żeby wstać. Niemal całkowicie się wykrwawiłeś i bez mojej pomocy już byś nie żył. Mów, gdzie ją zabrali!

– Ona już nie żyje – oświadcza z pełnym przekonaniem. Zamyka oczy, jakby zamierzał ponownie zasnąć.

Przysięgam, że moje serce przestaje bić na dobrą minutę. Palce robią się zimne, jakby przemarzły. W końcu wykonuję

bolesny wdech.

– Kłamiesz. Kłamiesz!

Nie reaguje. Chwytam stary koc, który zostawiłam na stole.

– Popatrz na mnie!

Pozwalam, aby koc się rozwinął, a jego zawartość stoczyła na podłogę. Spomiędzy fałd koca wypadają odcięte skrzydła. Zwinięte zajmują znacznie mniej miejsca, niż kiedy są rozłożone. Wydaje się, jakby pióra niemal zaniknęły. Po zetknięciu z podłogą skrzydła częściowo się otwierają, a drobny puch pęcznieje, jakby przeciągał się po długiej drzemce.

Przerażenie, które dostrzegam w jego oczach, musi być dokładnie takie samo jak przerażenie człowieka, któremu pokazano by jego amputowane nogi wytaczające się ze zjedzonego przez mole koca. Mam świadomość, że stosuję niewybaczalnie okrutne metody, ale jeśli chcę jeszcze zobaczyć Paige żywą, nie mogę sobie pozwolić na uprzejmości.

– Poznajesz?

Sama ledwo rozpoznaję swój głos. Jest chłodny i stanowczy. Głos najemnika. Głos oprawcy, który nie zawaha się posłużyć torturami.

Skrzydła straciły blask, częściowo są pokryte zakrzepłą krwią. Choć spomiędzy śnieżnobiałych piór przebijają pozostałości złotych pasemek, wiele piór się połamało. Sterczą na wszystkie strony posklejane w strąki.

– Dostaniesz je z powrotem, jeśli pomożesz mi znaleźć siostrę. Przechowałam je dla ciebie.

– Wielkie dzięki – mówi chrapliwie, przyglądając się uważnie skrzydłom. – Znakomicie zaprezentują się na ścianie w salonie.

Z jego głosu przebija gorycz, ale też coś jeszcze. Odrobina nadziei?

– Zanim ze swoimi kumplami zniszczyłeś nasz świat, pracowali tu lekarze, którzy potrafili przyszyć ucięty palec do ręki.

Nie wspominam nic o konieczności przechowywania takiego palca w niskiej temperaturze ani o tym, że operację można wykonać najpóźniej kilka godzin od wypadku. Anioł prawdopodobnie i tak wkrótce umrze, więc nie ma to większego znaczenia.

Napięcie nie znika z jego surowej twarzy, za to spojrzenie odrobinę łagodnieje, jakby nie mógł się powstrzymać od rozważania szans na odzyskanie skrzydeł.

– Nie ja je odciąłam – dodaję – ale pomogę ci je odzyskać. Pod warunkiem, że ty pomożesz mi znaleźć siostrę.

W odpowiedzi zamyka oczy. Oddycha głęboko, jak człowiek pogrążony we śnie.

Zdolność regeneracji u anioła jest niehumanitarna. Kiedy go tu przytасzczylaм, jego twarz była poczerniała, sina i nabrzmiała. Po niecałych dwóch dniach snu wygląda całkiem dobrze. Wgniecenie w miejscu złamanych żeber zniknęło. Podobnie siniaki na policzkach. Zbliżyły się liczne rany i stłuczenia na dłoniach, ramionach i klatce piersiowej.

Pozostały jedynie rany po odciętych skrzydłach. Nie potrafię ocenić, czy ich stan się poprawił, ponieważ są zasłonięte bandażami. Dalej krwawią, więc prawdopodobnie nie wygląda to dużo lepiej niż przed dwoma dniami.

Poświęcam chwilę na przeanalizowanie możliwych rozwiązań. Jeżeli go nie przekupię, będę musiała wydobyć z niego informacje torturami. Zrobiłabym wszystko, aby zapewnić rodzinie bezpieczeństwo, mam jednak wątpliwości, czy w tej sytuacji zdołam się posunąć tak daleko.

Na szczęście on nie musi znać moich rozterek.

A skoro już się obudził, powinnam zadbać, żeby mi się nie wymknął. Należałoby go jakoś unieruchomić.

ROZDZIAŁ 7

Kiedy wychodzę z narożnego gabinetu, dostrzegam, że ktoś majstrował przy martwym facecie w holu. Od czasu, gdy widziałam go po raz ostatni, stracił resztki godności.

Dowcipniś ułożył jego ręce w taki sposób, że jedną ma opartą na biodrze, a drugą przytkniętą do głowy. Długie kudłate włosy sterczą na wszystkie strony, jakby mężczyznę poraził prąd. Usta ma pomalowane szminką, a wokół szeroko otwartych oczu rozchodzą się promieniście czarne linie namalowane flamastrem. Z klatki piersiowej sterczy, niczym maszt, nóż kuchenny – nie było go tam jeszcze godzinę temu i tylko prawdziwie obłąkana osoba potrafiłaby uzasadnić, dlaczego wbiła go w martwe ciało.

Matka mnie znalazła.

Jej stan jest bardziej niestabilny, niż mogłoby się wydawać. Szaleństwo nasila się i słabnie w sposób trudny do przewidzenia lub skontrolowania. Sytuację komplikuje oczywiście fakt, że przestała zażywać leki. W dobre dni większość ludzi nie domyśliłaby się, że coś jej dolega, a mnie zżerają wtedy wyrzuty sumienia za niepotrzebny gniew i frustrację. W złe dni może się zdarzyć, że po wyjściu z pokoju znajdę zwłoki przerobione na stracha na wróble.

Muszę uczciwie przyznać, że matka nigdy wcześniej nie bawiła się zwłokami, a przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Przed końcem świata nieustannie balansowała na granicy szaleństwa i często ją przekraczała. Chorobę nasiliło odejście taty, a później ataki aniołów. Dopiero wtedy zanikła racjonalna część umysłu, która powstrzymywała ją od całkowitego

pogrążenia się w mroku.

Odrzucam pomysł, aby pochować mężczyznę, ponieważ trzeźwo myśląca część mnie podpowiada, że zwłoki to najlepszy z dostępnych środków odstraszających intruzów. Każdy rozsądny człowiek, który zajrzy przez szklane drzwi, ucieknie gdzie pieprz rośnie. W końcu teraz wszyscy bawimy się w podchody z gatunku: „Kto jest bardziej szalony i nieobliczalny”. A w tej grze moja matka to nasza tajna broń.

Idę ostrożnie w stronę łazienek, skąd dobiega szum wody puszczanej z prysznicza. Mama nuci złowieszczą melodię, którą zapewne sama wymyśliła. Dawniej śpiewała ją nam, kiedy odzyskiwała częściowo klarowność myśli. Melodia jest jednocześnie smutna i nostalgiczna. Kiedyś pewnie towarzyszyły jej słowa, ponieważ ilekroć ją słyszę, zawsze wyobrażam sobie zachód słońca nad oceanem, starożytny zamek i piękną księżniczkę, która rzuca się z murów w fale rozbijające się o skały.

Staję pod drzwiami łazienki i słucham, jak nuci. Matka najwyraźniej ma za sobą szczególnie ostry atak choroby. W przeszłości nuciła ją, opatrując nam stłuczenia i zranienia, które spowodowała w chwilach szaleństwa.

Zawsze wtedy była łagodna i autentycznie zawstydzona. Podejrzewam, że próbowała nas tą piosenką przeprosić. Oczywiście to nie wystarczało, ale zapewne w ten sposób powracała na powierzchnię rzeczywistości, dawała znać, że wydobywa się z mrocznych głębin i przebywa gdzieś bliżej normalnego świata.

Melodię tę nuciła nieprzerwanie po „wypadku” Paige. Nigdy się nie dowiedzieliśmy, co dokładnie się wydarzyło. W domu przebywały wtedy tylko matka i Paige, więc tylko one znają prawdziwą wersję wydarzeń. Matka przepłakała kilka

miesiący. Obwiniła siebie. Ja również ją obwiniłam. Bo jakżeby inaczej?

– Mamo?! – wołam przez zamknięte drzwi.

– Penryn?! – odpowiada. W tle słychać rozchlapywaną wodę.

– Wszystko w porządku?

– Tak. A u ciebie? Widziałas Paige? Nie mogę jej znaleźć.

– Nie denerwuj się, znajdziemy ją. Jak mnie odszukałaś?

– Och, tak po prostu.

Matka rzadko kłamie, ale ma zwyczaj udzielania wymijających odpowiedzi.

– Jak mnie znalazłaś, mamo?

Przez chwilę zza drzwi dobiega tylko jednostajny szum prysznicza.

– Demon mi powiedział – wyjaśnia w końcu. Przyznaje się niechętnie, jakby ze wstydem. Biorąc pod uwagę ostatnie wydarzenia, byłabym skłonna nawet jej uwierzyć, problem w tym, że nikt poza nią nie widział ani nie słyszał tego demona.

– To bardzo miłe z jego strony – zauważam. Demony są zazwyczaj obarczane odpowiedzialnością za szalone, złe czyny, których dopuszcza się matka. Rzadko kiedy zasługują na pochwałę.

– Musiałam obiecać, że coś dla niego zrobię.

Uczciwa odpowiedź. I zarazem ostrzeżenie.

Matka jest silniejsza, niż można by sądzić, a kiedy działa z zaskoczenia, potrafi wyrządzić dużą krzywdę. Przez całe życie rozmyślała nad strategiami obronnymi – jak kogoś podejść, jak ukryć się przed Obserwatorem, jak odesłać demona z powrotem do piekła, zanim ukradnie dusze jej dzieci.

Oparta o drzwi do łazienki rozmyślam, co zrobić. Demonowi bez wątpienia obiecała coś nieprzyjemnego. A

całkiem prawdopodobne, że bolesnego. Tylko kto doświadczy tego bólu?

– Wezmę kilka rzeczy i zaszyję się w narożnym gabinecie – mówię. – Nie będę wychodziła przez jakieś dwa, trzy dni, ale niczym się nie przejmuj, dobrze?

– Dobrze.

– Nie chcę, żebyś do niego wchodziła, ale zostań w budynku, OK? W kuchni znajdziesz wodę i jedzenie.

Chcę dodać, żeby uważała na siebie, ale wolę nie robić z siebie idiotki. Od kilkudziesięciu lat matka uważa na siebie, bojąc się złych ludzi i potworów, które próbowałyby ją zabić. Po atakach nareszcie je znalazła.

– Penryn?

– Tak?

– Pamiętaj, noś gwiazdki.

Ma na myśli żółte gwiazdki, które naszyła nam na ubrania. Nie pojmuję, jak mogłabym ich nie nosić. Znajdują się na wszystkich naszych ubraniach.

– Dobrze, mamó.

Mimo uwagi na temat gwiazdek odnoszę wrażenie, że odzyskała częściowo jasność umysłu. Czy jednak powinnam tak myśleć o osobie, która chwilę wcześniej zbezczeszczyła zwłoki?

Nie jestem tak bezradna jak przeciętna nastolatka.

Pewnego dnia, kiedy Paige miała dwa latka, wróciliśmy z ojcem do domu i zastaliśmy ją okaleczoną. Matka stała nad nią w bezruchu. Była w głębokim szoku. Nigdy nie odkryliśmy, co dokładnie się wydarzyło. Potem mama długo płakała i wyrwała sobie niemal wszystkie włosy z głowy. Przez wiele tygodni nie odezwała się ani słowem.

Pierwsze, co powiedziała po otrząśnięciu się, to, że muszę pójść na kurs samoobrony. Chciała, żebym nauczyła się walczyć. Nie patyczkując się zbytnio, zaprowadziła mnie do klubu wschodnich sztuk walki i zapłaciła z góry gotówką za pięć lat treningów.

W rozmowie z senseiem dowiedziała się, że istnieje wiele sztuk walki – taekwondo przygotowujące do walki na niewielkim dystansie, jujitsu do walki wręcz i escrima do walki na noże. Matka objechała całe miasto i zapisała mnie na kursy taekwondo, jujitsu i escrimy oraz kilka innych. Lekcje strzelania, lekcje łucznictwa, warsztaty survivalowe, obozy sikhijskie, samoobrona dla kobiet – wszystko, co tylko przyszło jej do głowy, wszystko, co tylko znalazła.

Ojciec dowiedział się o sprawie kilka dni później. Matka zdążyła już narobić długów na kilka tysięcy dolarów. Tacie – który i tak już posiwiiał z obawy, czy zdoła zapłacić rachunki szpitalne biednej Paige – cała krew odpłynęła z twarzy, kiedy usłyszał o wyczynach matki.

Po tym krótkim szaleństwie matce zupełnie wyleciało z głowy, że zapisała mnie na kursy. Do tematu wróciła tylko raz, dwa lata później. Pewnego dnia odkryłam jej kolekcję wycinków prasowych. Wcześniej sporadycznie widywałam, jak wycina jakiś artykuł z gazety, ale nigdy nie poświęcałam temu specjalnej uwagi. Przechowywała je w staromodnym albumie fotograficznym. Na różowej okładce widniał napis: „Pierwszy album maleństwa”. Pewnego dnia natknęłam się na niego na stole: był otwarty, jakby mnie zachęcał, abym zajrzała do środka.

Napisany grubymi literami tytuł głosił: „Dzieciobójczyni twierdzi: *Zmusił mnie do tego diabeł*”.

Przewróciłam stronę. „Matka wrzuca niemowlęta do

Zatoki. Toną na jej oczach”.

Następna strona. „Szkielety dzieci w ogrodzie. Kobieta właścicielem posesji”.

W jednym z artykułów opisano historię sześciolatniego chłopca, którego znaleziono martwego pół metra od drzwi frontowych domu. Matka zadała mu dziesięć ciosów nożem, po czym weszła na piętro i w identyczny sposób zamordowała jego siostrzyczkę.

W artykule cytowano krewnego, który twierdził, że kilka godzin przed masakrą kobieta próbowała desperacko zostawić dzieci w domu siostry, ale ta musiała wyjść do pracy i nie mogła ich przyjąć. Człowiek ów odniósł wrażenie, że matka przeczuwała zbliżającą się tragedię – zupełnie jakby dostrzegła ogarniający ją mrok. Twierdził, że kiedy wyszła z transu i zdała sobie sprawę, co zrobiła, niemal rozszarpała się na strzępy z przerażenia i bólu.

Po przeczytaniu artykułu nie potrafiłam się opędzić od myśli, co musiało przeżywać dziecko, które próbowało się wydostać z domu i sprowadzić pomoc.

Nie wiem, jak długo matka mnie obserwowała. W końcu zapytała: „Chodzisz nadal na kursy samoobrony?”.

Kiwnęłam głową.

Nie powiedziała nic więcej. Minęła mnie z naręczem drewnianych desek i książek.

Znalazłam je później na klapie od sedesu. Przez dwa tygodnie zabraniała nam ich ruszać. Miały powstrzymać demony od wyjścia z rur kanalizacyjnych. Lepiej śpię, twierdziła, kiedy diabeł nie szepcze mi do ucha przez całą noc.

Nie opuściłam ani jednego treningu.

ROZDZIAŁ 8

Z kuchni zabieram zupki błyskawiczne, batoniki, taśmę klejącą i połowę cukierków. Wrzucam je do siatki i zanoszę do narożnego gabinetu. Hałasy nie przeszkadzają aniołowi, który najwyraźniej ponownie zapadł w głęboki sen.

Wracam biegiem do kuchni – dokładnie wtedy milknie szum prysznic – łapię kilka butelek wody i migiem zanoszę je do biura. Czuję ulgę, że matka mnie znalazła, ale nie chcę się teraz z nią widzieć. Wystarczy mi świadomość, że przeżyła i znajduje się w budynku. Teraz muszę się skoncentrować na odnalezieniu Paige, a nie podołam temu zadaniu, zamartwiając się nieustannie poczynaniami matki.

Omijam wzrokiem zwłoki w holu, a jednocześnie powtarzam sobie w myślach: mama potrafi o siebie zadbać. Wślizguję się do narożnego gabinetu i zamykam drzwi na zasuwkę. Poprzedni właściciel najwyraźniej cenił sobie prywatność. Mnie to akurat odpowiada.

Dopóki anioł pozostawał nieprzytomny, byłam spokojna, ale odkąd się obudził, nie mogę się czuć bezpieczna, mimo że jest ranny i osłabiony. Tak naprawdę nie znam faktycznej mocy aniołów. Jak wszyscy, praktycznie nic o nich nie wiem.

Taśmą klejącą zwiążuję mu najpierw za plecami nadgarstki, później kostki – leży w najbardziej niewygodnej pozycji, zwinięty w precelek. Lepszego pomysłu nie mam. Przychodzi mi do głowy, żeby wzmocnić więzy szpagatem, ale taśma jest wytrzymała. Gdyby potrafił ją rozerwać, szpagat i tak niewiele pomoże. Podejrzewam, że sił starczy mu ledwie na podniesienie głowy, ale nigdy nic nie wiadomo. Z nerwów zużywam niemal

całą rolkę taśmy.

Kończę, spoglądam na jego twarz i dopiero teraz zauważam, że mi się przygląda. Krępowanie musiało go obudzić. Ma ciemnoniebieskie oczy – tak ciemne, że niemal czarne. Cofam się o krok i ogarnia mnie absurdalne poczucie winy, zupełnie jakbym została przyłapana na robieniu czegoś niestosownego. Ale przecież nie ulega wątpliwości, że anioły są naszymi wrogami. Nie ulega wątpliwości, że są moimi wrogami – dopóki przetrzymują Paige.

Mierzy mnie oskarżycielskim spojrzeniem. Odruchowo chcę go przeprosić, ale się powstrzymuję. Nie zasłużył. Zamiast tego rozkładam jedno ze skrzydeł. Z szuflady biurka wyciągam parę nożyczek i przysuwam je do piór.

– Gdzie zabrali moją siostrę?

W jego oczach błyska ślad jakiejś emocji, ale znika tak szybko, że nie potrafię rozpoznać jej natury.

– Skąd, do diabła, mam wiedzieć?!

– Bo jesteś jednym z tych śmierdzących drani.

– Ałć! To dopiero celny przytyk. – Jego głos wyraża znudzenie, a ja niemal czuję się zażenowana, że nie potrafiłam wymyślić mocniejszej obelgi. – Nie zauważyłaś, że trudno ich nazwać moimi kumplami?

– To nie żadni „kumple”. Daleko im do bycia ludźmi. To przeciekające wory zmutowanych robali, jak ty! – Jeżeli chodzi o wygląd, to on i inne anioły przypominają raczej Adonisa i to zarówno ze względu na boskie twarze, jak i prezencję. Ale w środku na pewno są pełne robali.

– Przeciekaające wory zmutowanych robali? – Unosi brwi, wyginając je w idealny łuk, jakbym właśnie oblała egzamin z miotania obelgami.

W odpowiedzi bezceremonialnie odcinam kilka piór ze

skrzydła. Śnieżnobiały puch opada powoli na moje buty. Kiedy widzę jego minę, satysfakcja przeradza się w niepokój. Wykrzywiona złością twarz przypomina, że wcześniej o mały włos wygrałby starcie z pięcioma przeciwnikami. Nawet skrępowany i pozbawiony skrzydeł bez wątpienia potrafi spiorunować wzrokiem.

– Zrób to jeszcze raz, a rozerwę cię na dwa kawałki, zanim zdążysz się zorientować!

– Mocne słowa w ustach kogoś, kto leży związany jak indyk. Jak niby chciałbyś rozerwać mnie na kawałki? Kołyszac się jak żółw przewrócony na plecy?

– Logistyka rozszarpania cię na kawałki jest prosta. Pytanie tylko: kiedy?

– Dobra, dobra. Gdybyś potrafił, już byś to zrobił.

– Niekoniecznie. Może mnie bawisz? – mówi z niezwykłą pewnością siebie, zupełnie jakby to on panował nad sytuacją. – Małpa z charakterkiem i parą nożyczek.

Rozluźnia się i opiera brodę na kanapie.

Na moje policzki wstępuje rumieniec gniewu.

– Myślisz, że to zabawa?! Dawno bym cię zabiła, gdyby nie moja siostra! – Ostatnie zdanie wypowiadam niemal krzykiem. Brutalnie odcinam kolejne pióra. Nieskazitelną uprzednio krawędzie są teraz postrzępione.

Unosi błyskawicznie głowę, a ścięgną na jego szyi tak nabrzmiewają, że zaczynam wątpić w jego słabość. Napina mięśnie ramion. Czy więzy wytrzymają?

– Penryn? – Zza drzwi dobiega głos matki. – Wszystko w porządku?

Podnoszę głowę, aby sprawdzić, czy drzwi są zamknięte.

Kiedy przenoszę spojrzenie z powrotem na kanapę, anioła już nie ma. W miejscu, gdzie powinien leżeć, widzę tylko

strzępki taśmy klejącej.

Czuję oddech na karku. Wrywa mi nożyczki z dłoni.

– Nic mi nie jest, mam – mówię zaskakująco spokojnym tonem. Gdyby weszła, naraziłaby się tylko na niebezpieczeństwo. Gdybym kazała jej uciekać, pewnie wpadłaby w panikę. Mogę być pewna tylko nieprzewidywalności jej reakcji.

Umieśnione ramię chwyta mnie od tyłu za gardło i zaczyna dusić.

Chwytam rękę oplecioną wokół szyi, z całej siły wciskam pod nią podbródek i próbuję przenieść na niego punkt ucisku. Zostało mi około dwudziestu sekund – później wyłączy się mózg albo ramię zgniecie mi tchawicę.

Kucam tak nisko, jak mogę, po czym odpycham się z całej siły. Wpadamy na ścianę. Siła uderzenia jest większa, bo anioł waży mniej niż przeciętny mężczyzna.

Słyszę sapnięcie i brzęk ramek ze zdjęciami. Ostre krawędzie muszą się wżynać w rany na plecach, sprawiając mu piekielny ból.

– Co to za hałasy? – dopytuje natarczywym głosem matka.

Ramię zaciska się brutalnie na mojej szyi, a mnie przechodzi przez myśl, że termin „anioł dobroci” musi być oksymoronem. Nie marnuję energii na walkę z ramieniem zaciskającym się na szyi, tylko gromadzę wszystkie siły na kolejne uderzenie w ścianę. Nawet gdybym straciła przytomność, przynajmniej przysporzę mu strasznych cierpień.

Tym razem jęk bólu jest wyraźniejszy. Poczulałabym pewnie satysfakcję, gdyby nie kręciło mi się w głowie.

Kolejne uderzenie w ścianę i przed oczami zaczynam widzieć ciemne plamki.

Wiem, że lada chwila stracę przytomność, ale właśnie

wtedy anioł rozluźnia uścisk. Padam na kolana, desperacko wciągając powietrze przez obolałe gardło. Głowa mi ciąży. Ostatkiem sił powstrzymuję się przed runięciem na podłogę.

– Penryn Young, otwieraj natychmiast drzwi!

Matka szarpie za klamkę. Musi wołać mnie od dłuższej chwili, ale dopiero teraz rejestruję jej słowa.

Anioł jęczy, jakby naprawdę cierpiał, ale dopiero kiedy przeczołguje się obok mnie, zaczynam rozumieć dlaczego. Spod nakłutych bandaży na plecach wypływa krew. Zerkam przez ramię na ścianę. Wystają z niej dwa wielkie gwoździe, na których wisiała oprawiona w ramkę fotografia parku Yosemite. Główki ociekają krwią.

Anioł cierpi, ale i ja przy każdym oddechu zginam się wpół w ataku kaszlu.

– Penryn?! Dobrze się czujesz?! – Mama wydaje się zaniepokojona. Mogę się tylko domyślać, co sobie wyobraża.

– Tak – charczę. – Wszystko jest OK.

Anioł wczołguje się na kanapę i z kolejnym jękiem bólu pada na brzuch. Posyłam mu złośliwy uśmiech.

– Ty... – mówi, krzywiąc się – nie zasługujesz na zbawienie.

– Jakbyś mógł mi je załatwić – odpowiadam chrapliwym głosem. – Zresztą dlaczego miałoby mi zależeć na pójściu do nieba, skoro jest pełne takich morderców i porywaczy, jak ty i twoi kolesie?

– Kto powiedział, że przybywam z nieba?

Wykrzywiona paskudnie twarz rzeczywiście pasuje raczej do istoty z piekła rodem. Szatańskie spojrzenie załamuje się w kolejnym grymasie bólu.

– Penryn?! Z kim rozmawiasz?! – pyta matka niemal oszalałym tonem.

– Z moim osobistym demonem, mamó. Nie martw się. To jakiś słabeusz.

Może i słabeusz, ale oboje wiemy, że mógłby mnie w każdej chwili zabić. Tyle że ja nie zamierzam dać mu satysfakcji i pokazać, że się boję.

– Och! – stwierdza niespodziewanie spokojnym głosem matka, jakby moja odpowiedź wszystko jej wyjaśniła. – Rozumiem. Tylko go nie lekceważ. I nie składaj obietnic, których nie możesz dotrzymać.

Z jej cichnącego głosu wnioskuję, że odchodzi korytarzem.

Chichoczę na widok skonsternowanego spojrzenia, którym anioł obrzuca drzwi. Jego wzrok zdaje się mówić: jesteś bardziej postrzelona od matki.

– Masz! – Rzucam mu rolkę bandażu z mojego zapasu. – Powinieneś czymś zatamować krew.

Płynnym ruchem łapie bandaż i przymyka oczy.

– Niby jak mam dosięgnąć pleców?

– Nie mój problem.

Z westchnieniem opuszcza rękę. Bandaż wypada na podłogę i toczy się, zostawiając za sobą wstęgę.

– Ale nie zasypiasz znowu, co?

W odpowiedzi słyszę jedynie ciche „Mmm”. Zaczyna oddychać spokojnie i miarowo, jak ktoś pogrążony w głębokim śnie.

Cholera!

Wstaję i zaczynam mu się przyglądać. Stare obrażenia zniknęły, a to oznacza, że sen ma właściwości regenerujące. Gdyby nie był poważnie okaleczony i wyczerpany, bez wątpienia sprząłby mnie na kwaśne jabłko. Nawet gdyby nie zamierzał mnie zabić. Teraz irytuje mnie, że z takim spokojem zasnął w mojej obecności. Najwyraźniej nie uważa, że jestem

dla niego poważnym zagrożeniem.

Więzy z taśmy klejącej wydawały się rozsądnym pomysłem, bo sądziłam, że jest słaby jak dziecko. Pomyliłam się. Co innego mi pozostaje?

Przetrząsam szuflady w kuchni i magazynie, ale nie znajduję niczego przydatnego. Dopiero w leżącym pod biurkiem worku ze strojem sportowym na siłownię dostrzegam staromodne zapięcie do roweru – ciężki łańcuch owinięty warstwą plastiku – z kluczykiem w zamku. Nie ma to jak tradycyjna metoda zakuwania w łańcuchy.

W gabinecie nie znajduję niczego, do czego mogłabym go przypiąć. Postanawiam wykorzystać metalowy wózek, który stoi przy drukarce. Zrzucam z niego sterty papieru i wtaczam do gabinetu. Matka gdzieś zniknęła. Uznaję, że jako osoba doświadczona w tego rodzaju sprawach, pozwala mi rozprawić się bez świadków z moim „osobistym demonem”.

Zatrzymuję wózek obok śpiącego mężczyzny. Obok anioła! Chciałam powiedzieć „anioła”. Ostrożnie, aby się nie obudził, związuję mu mocno łańcuchem nadgarstki, po czym owijam go kilkakrotnie wokół metalowej nogi wózka w ten sposób, aby nie został ani centymetr luzu. Przekręcam kluczyk i słyszę przyjemny szczęk zamka.

Łańcuch można przesuwąć w górę i w dół po nodze, ale nie sposób go z niej ściągnąć. Uznaję, że pomysł okazał się lepszy, niż sądziłam, bo anioł pozostanie na uwięzi nawet w czasie ewentualnych przenosin w inne miejsce. Gdziekolwiek pójdzie, wózek podąży za nim.

Zawijam skrzydła w koc i chowam je do dużej metalowej szafy na dokumenty stojącej przy kuchni, do której pierwszej nocy schowałam miecz anioła. Kiedy wyciągam dokumenty z szuflady i układam je na szafce, czuję się niemal jak hiena

cmentarna. Przesuwam palcami po stercie. W przeszłości każdy z nich miał jakieś znaczenie, zawierał informacje. O domu, patencie, firmie. A teraz czyjeś marzenia zalegają w opustoszałym biurze.

Po namyśle wrzucam klucz do łańcucha do szuflady.

Przebiegam truchtem przez hol i wślizguję się do gabinetu. Anioł nadal śpi albo zapadł w śpiączkę. Sama już nie wiem. Zamykam drzwi i zwijam się w kłębek w fotelu prezesa.

Powieki ciążą mi coraz bardziej. Piękna twarz anioła rozmywa się... Od dwóch dni nie zmrużyłam oka z obawy, że akurat wtedy obudzi się i umrze, a ja nie wydobędę z niego potrzebnych informacji. Pograżony we śnie przypomina księcia z bajki – zakrwawionego i skutego łańcuchem w lochu. Jako dziewczynka zawsze wyobrażałam sobie, że jestem Kopciuszkiem. Ostatnie poczynania zamieniły mnie chyba w złą wiedźmę.

Tyle tylko, że Kopciuszek nie żyła w postapokaliptycznym świecie podbitym przez mściwe anioły.

Jeszcze przed przebudzeniem przeczuwam, że coś się stało. W półśnie słyszę brzęk rozbijanego szkła. Zanim zdąży wybrzmieć, jestem już przytomna i skoncentrowana.

Jakaś dłoń zaciska mi się na ustach.

Anioł ucisza mnie szeptem delikatnym jak podmuch powietrza. Pierwszą rzeczą, jaką widzę w przyćmionym blasku księżyca, jest metalowy wózek. Anioł musiał zeskoczyć z sofy i przyciągnąć go do mnie w ułamku sekundy, gdy rozbrzmiewał odgłos tłuczonego szkła.

Zaczynam rozumieć, że jeśli – chwilowo – anioł uznał mnie za sprzymierzeńca, zagraża nam coś innego.

ROZDZIAŁ 9

W szparze pod drzwiami błyska światło.

Kiedy zasypiałam, fluorescencyjne lampy były włączone, teraz w budynku panują ciemności, jeśli nie liczyć wlewającego się przez okna światła księżyca. Źródłem migotania w szparze pod drzwiami wydaje się osoba wymachująca latarką. Albo to sprawka intruza, albo matki, która włączyła swoją latarkę, kiedy wysiadło oświetlenie. Czym dawałaby jednoznacznie sygnał obcym, że w budynku ktoś mieszka.

To nie tak, że matka jest nieświadoma zagrożeń. Bynajmniej nie jest głupia, po prostu jej osobista odmiana paranoi sprawia, że od rzeczywistych napastników bardziej boi się tych nadprzyrodzonych. Dlatego właśnie czasami uznaje, że oświetlenie ciemnego pomieszczenia i odpędzenie złych mocy jest ważniejsze niż ukrywanie się przed śmiertelnikami. Prawdziwa ze mnie szczęściara, co nie?

Anioł kocimi ruchami przemyka do drzwi, choć musi ciągnąć za sobą wózek, do którego jest przykuty. Na białych bandażach na plecach wykwitły ciemne plamy przypominające test Rorschacha. Wystarczyło mu sił na rozerwanie taśmy klejącej, ale nadal jest ranny i krwawi. Jaką mocą tak naprawdę dysponuje? Wystarczającą, aby odeprzeć atak zbirów, których desperacja skłoniła do poszukiwania zapasów w nocy?

Zaczynam żałować, że przykułam go do wózka. Ktokolwiek włamał się do budynku, z pewnością nie uczynił tego w pojedynkę – nie w nocy.

– Halo, halo?! – z ciemności dobiega figlarny męski głos. – Zastaliśmy kogoś?

W holu leży dywan, więc dopóki intruzi nie rozejdą się po budynku, nie potrafię ocenić, ilu ich jest. Teraz szacuję, że co najmniej trzech.

Gdzie podziała się mama? Czy zdążyła uciec i się schować?

Przyglądam się uważnie oknu. Niełatwo je rozbić, ale jeśli członkowie gangu sobie z tym poradzili, to i ja mogę. Na pewno jest wystarczająco duże, abym mogła przez nie wyskoczyć. No i, całe szczęście, znajdujemy się na parterze.

Napieram na szybę, oceniając, jak duży stawia opór. Stłuczenie szyby zajęłoby mi sporo czasu, a odgłos uderzeń odbiłby się echem po całym budynku.

Członkowie gangu nawołują się nawzajem. Gwiżdżą i powrzaskują, rozbijają i tłuką. Urządzili ten pokaz dla nas, abyśmy byli porządnie wystraszeni, kiedy nas w końcu znajdą. Teraz oceniam, że jest ich co najmniej sześciu.

Spoglądam ponownie na anioła. Nasłuchuje, zapewne oceniając sytuację. Ranny i przykuty do metalowego wózka nie ma praktycznie żadnych szans na ucieczkę.

Jeśli napastników przyciągną odgłosy rozbijanego szkła, na widok anioła stracą zainteresowanie wszystkim innym. Stanie się dla nich przysłowiową żyłą złota. W powstałym zamieszaniu ja i mama mogłybyśmy się niepostrzeżenie wymknąć. Ale co później? Martwy anioł nie zdradzi mi, gdzie szukać Paige.

A może gang zadowolili się zdemolowaniem budynku, ograbi kuchnię z jedzenia i odejdzie?

W ciemności rozbrzmiewa krzyk kobiety.

Matka.

Mężczyźni pokrzykują, drażnią się z nią. Wydają się rozbawieni – jak sfora psów, która zagoniła kota do narożnika.

Łapię krzesło i uderzam w okno. Ze strasznym hukiem odskakuje od szyby, ale jej nie rozbija. Chcę narobić możliwie

dużo hałasu w nadziei, że odwrócę uwagę zbirów od matki. Uderzam ponownie. I jeszcze raz. Wymachuję krzesłem jak szalona.

Matka znowu krzyczy. Nawoływania zbliżają się.

Anioł łapie za wózek i ciska nim w okno. Szkło rozpryskuje się na wszystkie strony. Kulę się, ale gdzieś z tyłu głowy kołacze mi myśl, że anioł wykonał skręt i swoim ciałem osłonił mnie przed odłamkami.

Coś uderza z impetem w zamknięte drzwi gabinetu. Zamek wytrzymuje.

Chwytam wózek i unoszę go na wysokość parapetu. Chcę pomóc aniołowi wydostać się na zewnątrz.

Drzwi otwierają się z trzaskiem. Wyłamane z zawiasów odbijają się od ściany.

Anioł posyła mi krótkie, poważne spojrzenie i mówi: „Uciekaj”.

Wyskakuję przez okno.

Ładuję i natychmiast się podrywam. Obiegam budynek, szukając tylnego wejścia lub rozbitego okna, przez które mogłabym wskoczyć do środka. W głowie kłębią mi się myśli dotyczące matki, anioła i siostry. Z trudem opanowuję pragnienie, aby wpęznąć pod jakiś krzak i zwinąć się w kłębek. Wyłączyć oczy, uszy, mózg i udawać, że wszystko przestało istnieć.

Spycham najróżniejsze przerażające, rozwrzeszczane wizje w ciemny, dźwiękoszczelny zakątek umysłu, który z każdym dniem staje się coraz bardziej zatłoczony i trudno dostępny. Kiedyś, pewnie niedługo, wszystko to przedrze się na powierzchnię i skazi moją świadomość. Być może córka upodobni się wtedy do matki. Na razie wciąż zachowuję nad sobą kontrolę.

Szybko znajduję rozbite okno. Biorąc pod uwagę, ile razy bezskutecznie sama uderzyłam w szybę, gość, który rozbił tę, musi być niezłym osiłkiem. W tej sytuacji perspektywa zakradnięcia się z powrotem do budynku nie przedstawia się optymistycznie.

Przebiegam z biura do biura, od boksu do boksu, nawołując szeptem matkę.

W korytarzu prowadzącym do kuchni natrafiam na leżącego mężczyznę. Spod rozdartej koszuli wyziera naga klatka piersiowa, a z niej sterczy sześć noży kuchennych. Tworzą okrąg, w jego środku ktoś namalował różową szminką pentagram – ostrza wyznaczają jego narożniki. Ze wszystkich ran tryska krew. Mężczyzna w szoku wpatruje się w zmasakrowaną klatkę piersiową, jakby nie potrafił uwierzyć, że właśnie jemu się to przydarzyło.

Matka jest bezpieczna.

Podziwiając jej dzieło, zaczynam się zastanawiać, czy powinnam się z tego cieszyć. Celowo ominęła serce, aby mężczyzna powoli wykrwawił się na śmierć.

Gdyby to wszystko zdarzyło się w dawnym świecie, w Świecie Przed, wezwałabym karetkę, nie zważając na fakt, że gość zaatakował moją matkę. Lekarze by go odratowali, a później miałby nieskończenie wiele czasu na rekonwalescencję w więzieniu. Ale na nasze nieszczęście żyjemy w Świecie Po.

Omijam go i zostawiam na powolną śmierć.

Kątem oka dostrzegam sylwetkę kobiety wymykającej się przez boczne wejście do budynku. Tuż przed zamknięciem drzwi spogląda na mnie. Macha gorączkowo, abym pobiegła za nią. Powinnam jej posłuchać. Robię dwa kroki w stronę drzwi, ale nie umiem zignorować jęków i trzasków towarzyszących straszliwej bijatyce, która toczy się na drugim końcu budynku.

Anioł został otoczony przez gang obscurnych, niemniej śmiertelnie niebezpiecznych ludzi.

Musi być ich co najmniej dziesięciu. Trzech leży poza okręgiem, w którym toczy się walka. Powyginani w dziwnych pozach, są nieprzytomni lub martwi. Dwóch właśnie obrywa wózkiem, którym anioł wymachuje jak wielką maczugą. Ale nawet z tego miejsca, nawet w bladym świetle księżyca wlewającym się przez szklane drzwi dostrzegam szkarłatne plamy krwi wyciekającej spod bandażu. Wózek waży pewnie z pięćdziesiąt kilogramów. Anioł wyraźnie traci siły. Napastnicy lada chwila zadadzą śmiertelny cios.

W naszym dojo trenowałam kiedyś walkę z kilkoma przeciwnikami, a ostatniego lata byłam jedną z asystentek instruktora na zaawansowanym kursie zatytułowanym „Obrona przed kilkoma napastnikami”. Problem w tym, że nigdy nie walczyłam z więcej niż trzema osobami jednocześnie. No i żadna nie zamierzała mnie naprawdę zabić. Byłabym naiwna, wierząc w szanse na zwycięstwo w starciu z siedmioma zdesperowanymi facetami, wpierana przez okaleczonego anioła. Na samą myśl o takim pojedynku dostaję niemal palpitanie serca.

Matka znów do mnie macha, zachęcając do ucieczki.

Z przeciwległej części korytarza dobiega trzask i jęk bólu. Zagłuszają na chwilę pozostałe odgłosy. Czuję, jakby z każdym ciosem zadawanym aniołowi oddalała się moja szansa na ponowne spotkanie z Paige.

Odganiem matkę gestem dłoni i mówię bezgłośnie: „Idź”.

Raz jeszcze na mnie macha, energiczniej niż poprzednio.

Potrząsam głową i ponagliam ją, aby uciekała.

Wymyka się w ciemność i znika, zamykając za sobą drzwi.

Biegnę chyłkiem do szafki na dokumenty obok kuchni. Szybko rozważam plusy i minusy użycia w starciu miecza

aniola, ale ostatecznie rezygnuję z tego pomysłu. Może udałoby mi się ciachnąć jednego przeciwnika, ale ponieważ nie trenowałam walki mieczem, szybko by mi go wytrącono.

Zamiast tego biorę skrzydła i klucz do łańcucha. Wkładam go do kieszeni džinsów i szybko rozwijam skrzydła. Mogę liczyć jedynie na to, że strach i instynkt samozachowawczy członków gangu podziałają na moją korzyść. Odbieram racjonalnej części mózgu szansę na uświadomienie mi idiotyczności planu, wbiegam szybko w pogrążony w półmroku korytarz, gdzie światło księżyca pokaże niewyraźny zarys mojej sylwetki i nic poza tym.

Członkowie gangu otoczyli anioła.

Dzielnie odpiera ataki, ale oni już wiedzą, że jest ranny i uwiązany do dziwnego, ciężkiego wózka – a skoro poczuli krew, nie dadzą za wygraną.

Krzyżuję ręce za plecami i przytrzymuję w nich skrzydła. Kołyszą się, rozjeżdżają, zupełnie jakbym próbowała przytrzymać w ten sposób drzewiec flagi. Poświęcam chwilę na ich ustabilizowanie, po czym ruszam do przodu.

Z nadzieją, że w półmroku skrzydła wyglądają realistycznie, przewracam kopniakiem stolik wraz ze stojącym na nim flakonem (o dziwo w jednym kawałku). Nieoczekiwany hałas przyciąga uwagę walczących.

Na chwilę zapada cisza. Wpatrują się w moją niewyraźną sylwetkę. Zanoszę prośby do wszystkiego, co święte i nieświęte, aby wzięli mnie za Anioła Śmierci. W lepszym oświetleniu zobaczyliby szczupłą nastolatkę próbującą utrzymać za plecami wielkie skrzydła, ale jest ciemno, a oni być może dostrzegą tę jedną istotę, która zmrozi im krew w żyłach.

– No i co my tu mamy? – mówię rozbawionym, mam nadzieję, tonem. – Michał, Gabriel, musicie to zobaczyć! –

wołam za siebie, jakby było nas więcej. Michał i Gabriel to jedyne znane mi imiona aniołów. – Tym małpom chyba się uroiło, że mogą zaatakować jednego z nas.

Mężczyźni zamierają wpatrzeni we mnie.

Wstrzymuję oddech. Różne warianty dalszego rozwoju sytuacji przetaczają się przez głowy wszystkich obecnych niczym kulka na ruletce.

Wtedy dzieje się coś naprawdę fatalnego.

Prawe skrzydło zaczyna się chwiać i lekko opada. Próbuje je pośpiesznie wyprostować, ale w tym celu muszę się poruszyć, co tylko pogarsza sytuację, ponieważ skrzydło podskakuje kilka razy w górę i w dół.

W trakcie trwającej całą wieczność sekundy, potrzebnej mężczyznom na przetrawienie nowych informacji, mój anioł wznosi oczy ku niebu. Przypomina nastolatka komentującego grymasem twarzy jakąś totalną żenadę. Niektórzy nie mają za grosz wdzięczności.

Milczenie przerywa anioł. Unosi wózek i zamachuje się nim na trzech gości stojących tuż przed nim. Roztrąca ich jak kręgle.

Trzej pozostali ruszają na mnie. Odrzucam skrzydła i rzucam się w prawo. Cała sztuka walki z wieloma przeciwnikami polega na tym, aby unikać starcia ze wszystkimi jednocześnie. Tylko na filmach przeciwnicy czekają na swoją kolej, aby dokopać bohaterowi. W prawdziwym świecie rzuciliby się na was jednocześnie jak wataha wilków.

Tańczę w półkolu wokół nich, dopóki ten znajdujący się najbliżej nie zasłania dwóch pozostałych. Obiegnięcie koleżki zajmuje im tylko sekundę, ale akurat tyle czasu potrzebuję na wymierzenie siarczystego kopniaka w krocze. Mężczyzna zwija się wpół, i choć najchętniej skorzystałabym z zaproszenia i

wpakowała mu kolano w twarz, pierwszeństwo mają jego kumple.

Zwinnie przesuwam się obok unieruchomionego przeciwnika, przez co pozostali dwaj muszą go znowu obiegać. Podcinam nogę zgiętemu wpół mężczyźnie, a on zwała się na mięśniaka numer dwa. Trzeci rzuca się na mnie. Padamy na podłogę, walcząc o to, kto wyląduje na górze.

Kończę na dole. Jest ode mnie cięższy o pięćdziesiąt kilogramów, ale na szczęście w przeszłości wielokrotnie ćwiczyłam walkę w parterze.

Mężczyźni zazwyczaj inaczej walczą z kobietami niż z innymi mężczyznami. Przeważającą większość takich starć rozpoczyna atak mężczyzny na kobietę od tyłu, co niemal natychmiast prowadzi do pozycji leżącej z kobietą na dole. Każda dobrze wyszkolona kobieta powinna wiedzieć, jak się wtedy obronić.

Zaczyna się szamotanina, a ja uwalniam jedną nogę. Zapieram się nią o podłogę, przekręcam udo i przewracam napastnika na bok.

Pada na plecy. Zanim zdąży się połapać w sytuacji, przywalam mu obcasem w krocze.

Natychmiast się podrywam i kopię go w głowę. Cios jest tak silny, że głowa odlatuje w tył i odbija z powrotem.

– Nieźle.

Anioł stoi w księżycowej poświacie za zakrwawionym wózkiem.

Wokół niego leżą jęczący napastnicy. Niektóre ciała są nieruchome. Trudno powiedzieć, czy mężczyźni żyją. Anioł kiwa głową z uznaniem, jakby zobaczył coś, co mu się spodobało. Mam sobie za złe, że jego uznanie sprawia mi satysfakcję.

Jeden z mężczyzn wstaje z wysiłkiem i pędzi w stronę drzwi. Trzyma się za głowę, jakby w każdej chwili miała mu odpaść. Jakby na sygnał, trzej inni również wstają i kuśtykają za nim, nie oglądając się. Reszta leży na podłodze i dyszy.

Słyszę cichy śmiech. To anioł.

– Wyglądałaś idiotycznie ze skrzydłami – mówi. Z rozciętej wargi cieknie krew, podobnie z rany nad okiem. Mimo to wygląda na odprężonego, a jego twarz rozjaśnia uśmiech.

Drżącą dłonią wygrzebuję z kieszeni kluczyk do zapinki rowerowej i rzucam go aniołowi. Łapie go w locie.

– Chodźmy stąd – mówię zaskakująco spokojnym głosem, choć cała dygocę od adrenaliny, która wydzielila się podczas walki.

Anioł odpina łańcuch, przeciąga się i wyłamuje sobie palec. Zdiera dzinsową kurtkę z jęczącego mężczyzny i rzuca ją w moją stronę. Z wdzięcznością ją zakładam, mimo że jest z dziesięć numerów za duża.

Anioł wraca do narożnego gabinetu, tymczasem ja szybko zawijam jego skrzydła w koc. Biegnę do szafki na dokumenty, zabieram miecz i wracam do holu. Zjawiamy się tam jednocześnie. Anioł niesie mój plecak. Przypinam do niego koc, a ponieważ mnie obserwuje, staram się nie zaciągać pasków zbyt mocno. Zakładam plecak. Żałuję, że nie mam drugiego, choć ze względu na poranione plecy i tak nie mógłby go nieść.

Na widok miecza jego twarz rozpromienia się w cudownym uśmiechu – jakby zobaczył starego przyjaciela, a nie ładny kawałek metalu. Na widok tego wybuchu nieskrępowanej radości robi mi się słabo. Już straciłam nadzieję, że kiedykolwiek coś takiego zobaczę. Ulgę przynosi mi sama świadomość, że coś takiego wydarzyło się w mojej obecności.

– Przez cały czas miałaś mój miecz?

– Teraz należy do mnie – odpowiadam ostrzejszym tonem, niż wymaga tego sytuacja. Jego radość jest tak ludzka, że na chwilę zapomniałam, czym naprawdę jest. Wbijam sobie paznokcie w dłoń, aby nigdy więcej nie zdradzić się z myślami.

– Do ciebie? Marzenia – mówi. Naprawdę chciałabym, żeby jego słowa przestały brzmieć tak cholernie ludzko. – Masz pojęcie, jak wiernie mi służyła przez lata?

– Służyła? Nie jesteś chyba z tych, co nadają imiona samochodom i kubkom do kawy, prawda? To nieożywiony przedmiot. Nie dajmy się zwariować.

Wyciąga rękę po miecz. Cofam się. Nie zamierzam mu go oddać.

– I co zrobisz? Będiesz o nią walczyć? – pyta. Wygląda, jakby miał się zaraz roześmiać.

– Do czego jest ci potrzebny?

Wzdycha, jakby rozmowa go męczyła.

– A jak myślisz? Żeby się podeprzeć.

Zapada milczenie, czekamy na moją decyzję. Prawda jest taka, że odkąd pozbył się więzów, nie potrzebuje miecza, żeby mnie pokonać. Oboje wiemy, że mógłby go sobie po prostu zabrać.

– Uratowałam ci życie – zauważam.

Unosi brwi.

– Powiedzmy.

– Dwukrotnie.

W końcu opuszcza rękę, którą wyciągnął po miecz.

– Nie zamierzasz mi oddać miecza, prawda?

Chwytam wózek inwalidzki Paige i wpycham miecz do kieszeni z tyłu oparcia. Dopóki będzie wolał nie tracić sił na kłótnie ze mną, powinnam dążyć do utrzymania kontroli nad sytuacją. Albo naprawdę jest wykończony, albo pozwala mi

nieść swój miecz, jakbym była jego giermkiem. Z lekkiego uśmiešku na jego twarzy wnioskuję, że chodzi o to drugie.

Odwracam wózek Paige i wyprowadzam go na zewnątrz.

– Wątpię, żebyś go potrzebowała – stwierdza. Ma zmęczony głos. Założę się, że chętnie by się zgodził, gdybym mu zaproponowała przejażdżkę na wózku.

– Nie ja go potrzebuję, ale moja siostra.

Milczy, kiedy wychodzimy w noc, a ja wiem, że jego zdaniem Paige nigdy nie zobaczy tego wózka.

Niech idzie w diabły!

ROZDZIAŁ 10

Dolina Krzemowa leży mniej więcej pół godziny jazdy samochodem od lasów porastających wzgórza. Do San Francisco można dojechać autostradą w czterdzieści pięć minut. Uznałam, że drogi będą zatarasowane porzuconymi samochodami i pełne zdesperowanych uchodźców, dlatego kierujemy się na wzgórza, gdzie będzie i mniej ludzi, i więcej kryjówek.

Jeszcze kilka tygodni temu na niższych wzniesieniach w swoich trzypokojowych domach letniskowych o wartości dwóch milionów dolarów albo w bajkowych rezydencjach o wartości dziesięciu milionów dolarów mieszkali bogacze. Trzymamy się od takich zabudowań z daleka, wychodzę bowiem z założenia, że najprawdopodobniej koczują tam już jakieś nieciekawe typy. Wybieramy mały domek gościnny na tyłach jednej rezydencji. Nieefektowny domek gościnny, na który nikt nie zwróci uwagi.

Anioł podąża za mną w milczeniu, co mi odpowiada. Od opuszczenia biurowca nie odzywał się zbyt często. Mamy za sobą długą noc. Kiedy docieramy do chatki, ledwie trzyma się na nogach. Wchodzimy do środka i natychmiast zrywa się burza.

Dziwna sprawa z tym aniołem. Pod pewnymi względami jest zdumiewająco wytrzymały. Został pobity, okaleczony i od kilku dni krwawi, mimo to potrafił walczyć jednocześnie z kilkoma napastnikami. Nie wygląda na zmarzniętego, choć nie ma koszuli ani kurtki. Za to chodzenie sprawia mu wyraźną trudność.

Rozgaszczamy się w chacie, za oknem leje. Anioł zdejmuje buty. Stopy ma pokryte pęcherzami, w niektórych miejscach niemal zdarte do żywego mięsa. W ogóle są jakieś takie różowe i

delikatne, jakby wcześniej nieczęsto ich używał. Może tak właśnie było. Gdybym miała skrzydła, pewnie większość czasu spędzałabym w powietrzu.

Przetrząsam plecak i znajduję małą apteczkę. W środku mam kilka opakowań opatrunków. Przypominają plastry, ale są większe i wytrzymalsze. Podaję mu wszystkie. Otwiera jedno i wpatruje się w zawartość, jakby widział coś takiego pierwszy raz na oczy.

Najpierw ogląda je od wierzchniej strony, która jest o jeden odcień jaśniejsza od jego skóry, potem patrzy na stronę z wacikiem, za chwilę znów na tę brązową. Przykłada opatrunek do oka, jakby to była opaska pirata, i robi groźną minę.

Usta wykrzywia mi ćwierćuśmiech. Sama nie wierzę, że potrafię się nadal uśmiechać. Zabieram mu opatrunek.

– Daj, nauczę cię. Pokaż stopę.

– W świecie aniołów to dość śmiała propozycja. Zanim pokażę komuś stopy, oczekuję najpierw zaproszenia na kolację, wina i zajmującej konwersacji.

Taka uwaga wymaga błyskotliwej odpowiedzi.

– Jak sobie chcesz – rzucam.

No dobrze, nie dostanę w tym roku Nagrody dla Mistrzyni Ciętej Riposty.

– Mam ci pokazać, jak się tego używa, czy nie? – pytam opryskliwie. Na nic więcej mnie w tej chwili nie stać.

Wyciąga nogę. Zacerwienione plamy na piętach i dużych palcach wymagają uwagi. Na jednej pięcie ma przebity pęcherz.

Spoglądam na skromny zapas opatrunków. Na jego stopy musiałabym zużyć wszystkie i liczyć na to, że moje wytrzymają. Kiedy delikatnie zalepiam plastrem pęknięty pęcherz, w głowie słyszę cichy głosik: „Nie będziecie podróżować dłużej niż kilka dni. Po co marnować na niego cenne zapasy?”.

Anioł wydłubuje sobie z ramienia kolejny odłamek szkła. Wyciągał je przez całą drogę z biurowca, ale wciąż znajduje następne. Gdyby nie osłonił mnie swoim ciałem, też byłabym nafaszerowana odłamkami rozbitej przez niego szyby. Mam w zasadzie pewność, że nie zrobił tego celowo, tak czy inaczej, odruchowo jestem mu wdzięczna.

Ostrożnie oczyszczam sterylnym wacikiem pęcherz z ropy i krwi, choć zdaję sobie sprawę, że gdyby miał się czymkolwiek zarazić, to prędzej od głębokich ran na plecach, a nie kilku pęcherzy na stopach. Na myśl, że utracił skrzydła, moje dłonie stają się delikatniejsze.

– Jak masz na imię? – pytam odruchowo.

Nie potrzebuję tego wiedzieć. Tak naprawdę nie chcę wiedzieć. Przypisanie imienia do jego osoby mogłoby sugerować, że stoimy po tej samej stronie. A to przecież nigdy nie będzie prawda. Równie absurdalne byłoby stwierdzenie, że zostaniemy przyjaciółmi. To nieprawdopodobne. Kto normalny zaprzyjaźnia się z katem?

– Raffe.

Pytaniem o imię chciałam go tylko odciągnąć od rozmyślań, że zamiast skrzydeł musi używać stóp. Ale kiedy już je wypowiedział, zabrzmiało zupełnie naturalnie.

– Raffe – powtarzam powoli. – Ładnie brzmi.

Jego wzrok łagodnieje, jakby uśmiechnął się pod niezmiennie kamienną maską. Z jakiegoś powodu czuję ciepło rozlewające się po moich policzkach.

Odkasłuję, żeby przełamać napięcie.

– Raffe: to brzmi jak Ranny... Fe. Przypadek?

Tym razem naprawdę się uśmiecha, a kiedy to robi, mam ochotę lepiej go poznać. Muszę przyznać, że jest nieziemskim przystojniakiem, o jakim śni każda dziewczyna.

Tyle że nie jest facetem. I jest zbyt nieziemski. Zresztą nie zapominajmy, że ta dziewczyna śni teraz wyłącznie o jedzeniu, dachu nad głową i zapewnieniu bezpieczeństwa swojej rodzinie.

Przyciskam wokół opatrunek, aby się później nie odlepił. Wciąga gwałtownie powietrze do płuc, ale nie potrafię określić, czy z bólu, czy z rozkoszy. Staram się nie odrywać wzroku od opatrunku.

– Nie zapytasz, jak mam na imię?

Natychmiast żałuję, że to powiedziałam. Zabrzmiało, jakbym chciała z nim poflirtować. Czego oczywiście nie robię. Jakżebym mogła. No ale przynajmniej tyle, że nie zadałam pytania rozchichotanym głosem.

– Znam twoje imię – mówi, po czym zaczyna idealnie naśladować głos mojej matki: – Penryn Young, otwieraj natychmiast drzwi!

– Całkiem nieźle. Zupełnie jakbym ją słyszała.

– Na pewno znasz stare porzekadło, że poznając czyjeś imię, zdobywamy nad nim władzę.

– A to prawda?

– Niekiedy. Zwłaszcza w kontaktach międzygatunkowych.

– W takim razie dlaczego zdradziłeś mi swoje?

Odchyła się i niefrasobliwie, po łobuzersku wzrusza ramionami.

– To jak na ciebie mówią, jeśli nie znają twojego imienia?

Chwilę milczy, po czym odpowiada:

– Gniew Boży.

Puszczam jego stopę i cofam powoli dłoń, uważając, aby nie zaczęła drżeć. Jednocześnie uświadamiam sobie, że gdyby ktoś nas teraz zobaczył, mógłby pomyśleć, że składam aniołowi hołd. On siedzi na krześle, a ja klękę u jego stóp ze spuszczonego wzrokiem. Szybko wstaję i spoglądam na niego z

góry. Biorę głęboki oddech, prostuję ramiona i mówię mu prosto w oczy:

– Nie boję się ani ciebie, ani twoich pobratymców, ani twojego boga.

Jakaś częśćka mnie kuli się ze strachu przed uderzeniem pioruna, co ani chybi zaraz nastąpi. Ale nic się nie dzieje. Nawet szalejąca na zewnątrz burza nie wzmacnia mojej deklaracji teatralnym akompaniamentem grzmotu. Co ani odrobinę nie zmniejsza moich obaw. Jestem mrówką na polu bitwy toczonej przez bogów. Nie czas na słuchanie podszeptów dumy czy ego. Szanse na przeżycie są również niewielkie. Mimo to nie potrafię się powstrzymać. Za kogo oni się uważają? Może i jesteśmy mrówkami, ale to pole bitwy jest naszym domem i mamy prawo tu żyć.

Wyraz jego twarzy zmienia się tylko nieznacznie, chwilę później znów ogłądał znajomą maskę boskiej obojętności. Nie wiem, jak to zinterpretować, ale moja szaleńcza deklaracja bez wątpienia wywarła na nim jakieś wrażenie. Nawet jeśli go tylko rozbawiła.

– Nie wątpię, Penryn. – Wypowiada moje imię, jakby kosztował nowego owocu. Jakby obracał go w ustach i sprawdzał, czy mu smakuje. Pewna intymność pobrzmiewająca w jego głosie budzi we mnie obrzydzenie.

Rzucam mu resztę opatrunków na kolana.

– Teraz już wiesz, jak się nimi posługiwać. Witaj w moim świecie.

Odwracam się do niego plecami, aby podkreślić, że się go nie boję. Przynajmniej tak to sobie tłumaczę. Zmiana pozycji ma również tę praktyczną korzyść, że dłoniom szukającym w plecaku jedzenia mogą pozwolić na lekkie drzenie.

– A tak w ogóle, to po co tu jesteście? – pytam. – Łatwo się

domyślić, że nie wpadliście na przyjacielską pogawędkę. Dlaczego chcecie nas zlikwidować? Czym sobie zasłużyliśmy na eksterminację?

Wzrusza ramionami.

– Nie mam pojęcia.

Odwracam się i spoglądam na niego zdumiona.

– Słuchaj, nie ja rozdaję karty – tłumaczy. – Gdybym znał się na marketingu, wcisnąłbym ci zmyśloną historyjkę, która zabrzmiałaby wiarygodnie. Ale w istocie wszyscy błądzimy po omacku. I czasami natrafiamy na coś przerażającego.

– I tyle? Niemożliwe, żebyś wiedział tak mało.

Nie wiem, co chciałabym usłyszeć, ale na pewno nie to.

– Zawsze wiemy za mało.

I proszę, trafiłam na anioła, który wyznaje filozofię życiową doświadczonego żołnierza. Jednego mogę być pewna – nie wyciągnę od niego zbyt wielu odpowiedzi.

Na kolację zjadamy zupkę błyskawiczną i dwa batoniki. Na deser – małe czekoladki zrabowane z biura. Chętnie napaliłabym w kominku, ale wylatujący z komina dym byłby jednoznacznym sygnałem, że w chatce ktoś mieszka. Podobnie jest ze światłem. W plecaku niosę dwie latarki, ale ponieważ najprawdopodobniej mama zwabiła do biurowca gang swoją, chrapiemy po ciemku suchy makaron i zjadamy potwornie słodkie batoniki.

Anioł pożera swoją porcję tak szybko, że gapię się na niego jak zahiplotyzowana. Nie wiem, kiedy jadł coś po raz ostatni, ale na pewno nie w ciągu ostatnich dwóch dni, które spędził ze mną. Domyślam się również, że jego niezwykle zdolności regeneracyjne wymagają masy kalorii, dlatego, choć nie dysponujemy dużymi zapasami, oferuję mu połowę swojej porcji. Gdyby nie przespał poprzednich dwóch dni, potrzebowałby jeszcze więcej jedzenia.

Moja ręka z jedzeniem zastyga w powietrzu na tyle długo, że sytuacja robi się niezręczna.

– Nie chcesz? – pytam.

– To zależy, dlaczego dajesz mi jedzenie.

Wzruszam ramionami.

– Czasami kiedy błądzimy po omacku, wpadamy na jakiś dobry pomysł.

Wpatruje się we mnie jeszcze przez chwilę, po czym bierze jedzenie.

– Tylko nie licz na dodatkową porcję czekolady – mówię. Wiem, że powinnam oszczędzać czekoladę, ale nie potrafię się powstrzymać i zjadam więcej, niż zaplanowałam. Eksplozja słodczy w ustach przynosi ukojenie, którego teraz tak trudno zaznać. Mimo to pozwalam sobie na zjedzenie najwyżej połowy zapasów. Resztę wpycham na dno plecaka, aby mnie nie kusiło.

Tęsknota za słodczymi musi być widoczna na mojej twarzy, ponieważ anioł pyta:

– Dlaczego jej po prostu nie zjesz? Jutro znajdziemy coś innego.

– Reszta jest dla Paige.

Zapinam plecak stanowczym gestem, ignorując jego zamyślane spojrzenie.

Chciałabym wiedzieć, gdzie podziła się matka. Zawsze podejrzewałam, że jest inteligentniejsza od ojca, choć to on miał tytuł inżyniera. Problem w tym, że zwierzęcy spryt staje się bezużyteczny, kiedy jej umysłem rządzą szaleńcze instynkty. Mimo że matka jest odpowiedzialna za niektóre z najgorszych chwil w moim życiu, mam nadzieję, że znalazła schronienie i coś do zjedzenia na kolację.

Wkładam rękę do plecaka i wyciągam ostatnią styropianową miseczkę z zupką błyskawiczną. Otwieram drzwi i

kładę ją na progu.

– Po co to robisz?

Musiałabym wyjaśniać zawilości osobowości matki, a nie mam na to ochoty.

– Nieważne.

– Dlaczego zostawiasz jedzenie na deszczu?

Skąd wie, że to jedzenie? W takich ciemnościach nie mógł zobaczyć, co trzymałam w ręce.

– Aż tak dobrze widzisz po ciemku?

Milczy przez chwilę, jakby się zastanawiał, czy powinien zaprzeczyć.

– Niemal równie dobrze jak za dnia.

Notuję to sobie w pamięci. Ta drobna informacja może mi kiedyś uratować życie. Nie wiadomo, jak przebiegną moje spotkania z innymi aniołami. Może próbowałabym zakraść się do ich gniazda pod osłoną nocy, a trudno o gorszy moment na odkrycie, że anioły doskonale widzą w ciemności.

– No więc dlaczego wystawiasz cenne jedzenie na dwór?

– Na wypadek, gdyby matka była w okolicy.

– Nie weszłaby do środka?

– Może by weszła. A może nie.

Kiwa głową, jakby rozumiał, ale to oczywiście niemożliwe. Kto wie, może z jego punktu widzenia wszyscy ludzie wydają się niespełna rozumu.

– Proponuję, żebyś zabrała jedzenie do środka, a ja ci po prostu powiem, jeśli pojawi się w pobliżu.

– A skąd będziesz wiedział, że jest w pobliżu?

– Usłyszę ją – wyjaśnia. – Pod warunkiem, że deszcz nie będzie zbyt głośny.

– Masz aż tak znakomity słuch?

– Co?

– Ha, ha – śmieję się szyderczo. – Takie informacje mogą znacząco zwiększyć szanse na uratowanie siostry.

– Nie wiesz nawet, gdzie jest ani czy żyje – zauważa tak rzeczowym tonem, jakbyśmy rozmawiali o pogodzie.

– Ale wiem, gdzie ty jesteś, i domyślam się, że zamierzasz wrócić tam, gdzie przebywają pozostałe anioły. Choćby po to, żeby się na nich zemścić.

– Ach, więc to jest twój plan? Nie zdołałaś ze mnie wydobyć informacji, kiedy byłem słaby i bezbronny, więc wpadłaś na genialny pomysł, żeby pójść za mną do gniazda żmij i uratować siostrę? Zdajesz sobie sprawę, że to równie błyskotliwy plan, jak próba przekonania tamtych mężczyzn, że jesteś aniołem?

– Jak sytuacja się zmienia, trzeba improwizować.

– Sytuacja zmieniła się tak bardzo, że straciłaś nad nią jakąkolwiek kontrolę. Idąc tą drogą, niechybnie zginiesz, więc posłuchaj lepiej mojej rady i uciekaj w przeciwnym kierunku.

– Nic nie rozumiesz. Tu nie chodzi o podejmowanie logicznych, przemyślanych decyzji. Nie mam wyboru. Paige to bezbronne dziecko. Jest moją siostrą. Jediną rzeczą godną rozważenia jest metoda ratunku, a nie czy w ogóle powinnam to robić.

Odchyła się i obrzuca mnie badawczym spojrzeniem.

– Ciekawe, co cię ostatecznie zabije: lojalność czy upór.

– Ani to, ani to, jeśli mi pomożesz.

– Dlaczego niby miałbym to zrobić?

– Uratowałam ci życie. Dwukrotnie. Jesteś mi coś winien. W niektórych kulturach przez resztę życia byłbyś moim niewolnikiem.

W ciemności trudno dostrzec jego minę, ale w jego cierpkich słowach pobrzmiewa sceptycyzm:

– Przyznaję, zabrałaś mnie z ulicy, kiedy byłem ranny. W normalnych okolicznościach kwalifikowałoby się to jako uratowanie życia, ale ponieważ twoim zamiarem było uwięzienie mnie i poddanie przesłuchaniu, trudno to nazwać ratunkiem. A jeżeli już przywołujesz partacką próbę przyjścia mi z „odsieczą” podczas walki z tymi mężczyznami, przypominam, że gdybyś nie wepchnęła mnie na wielkie gwoździe sterczące ze ściany, a później nie przykuła do wózka, nie doszłoby do tej sytuacji. – Wydaje z siebie stłumiony chichot: – Nie mogę uwierzyć, że ci idioci o mały włos nie kupili tej maskarady.

– No właśnie nie kupili.

– Tylko dlatego, że schrzaniłaś sprawę. Na twój widok o mało co nie wybuchnąłem śmiechem.

– To rzeczywiście byłoby zabawne, gdyby nie chodziło o nasze życie.

– A więc rozumiesz, że mogłaś zginąć? – pyta poważnym głosem.

– Tak samo jak ty.

Na dworze szumi wiatr, szeleszczą liście. Otwieram drzwi i podnoszę kubek z zupką. Co tam, mogę mu uwierzyć, że usłyszałby matkę. Poza tym lepiej nie ryzykować, że ktoś inny zobaczy jedzenie i wejdzie do chaty.

Wyciągam bluzę z plecaka i zakładam ją na tę, którą już mam na sobie. Temperatura szybko spada. W końcu zadaję pytanie, którego tak bardzo się obawiałam:

– Co oni robią z dziećmi?

– A porwano więcej?

– Widziałam, że robiły to uliczne gangi. Zawsze liczyłam, że zostawią Paige w spokoju ze względu na jej niesprawne nogi. Teraz przyszło mi do głowy, że mogli sprzedawać te dzieci aniołom.

– Nie wiem, co robią z dziećmi. Twoja siostra to pierwszy przypadek, z którym się zetknąłem.

Mówi to z takim spokojem, że przechodzą mnie ciarki.

Deszcz bębni o szyby. Poruszana podmuchami wiatru gałąź drapie o szybę.

– Dlaczego te anioły na ciebie napadły?

– To nieelegancko pytać ofiarę przemocy, dlaczego została zaatakowana.

– Wiesz, co mam na myśli.

Wzrusza ramionami.

– Anioły to agresywne istoty.

– Zauważyłam. Dawniej sądziłam, że są urocze i życzliwe.

– Skąd ten pomysł? Nawet w Biblii jesteśmy przedstawieni jako zwiastuny złych wieści, zdolne do niszczenia całych miast. To, że czasami kogoś wcześniej ostrzegaliśmy, nie świadczy jeszcze o altruizmie.

Mam więcej pytań, ale najpierw muszę ostatecznie wyjaśnić pewną kwestię.

– Potrzebujesz mnie.

Wybuchają śmiechem.

– Niby dlaczego?

– Musisz wrócić do swoich koleś, żeby sprawdzić, czy da się jeszcze przyszyć skrzydła. Wiem, że w to wierzysz. Zdradziło cię spojrzenie, kiedy wspomniałam o tej możliwości w biurze. Problem w tym, że na miejsce musisz dojść na piechotę. A nigdy wcześniej nie podróżowałaś pieszo, prawda? Potrzebujesz przewodnika, kogoś, kto potrafi znaleźć jedzenie, wodę i bezpieczne miejsce na nocleg.

– Nazywasz to jedzeniem?

W blasku księżyca widzę, jak rzuca pusty styropianowy kubek w stronę kosza na śmieci. W tych ciemnościach niewiele

widzę, ale sądząc po dźwięku, zaliczył trafienie za trzy punkty.

– No widzisz? Sam byś się nie domyślił. Istnieje masa rzeczy, których przenigdy nie skojarzyłybyś z jedzeniem. Poza tym potrzebujesz osoby, która odwróci od ciebie podejrzenia. Nikt nie weźmie cię za anioła, jeśli będziesz podróżował w towarzystwie człowieka. Zabierz mnie ze sobą. Pomogę ci dotrzeć do domu, jeżeli ty pomożesz mi znaleźć siostrę.

– Oczekujesz, że wprowadzę konia trojańskiego do naszego gniazda?

– Bynajmniej. Nie zamierzam ratować świata, tylko moją siostrę. Taka odpowiedzialność zupełnie mi wystarczy. Poza tym, czego się boisz? Taka kruszyna jak ja miałaby zagrozić rodzajowi anielskiemu?

– A jeśli jej tam nie będzie?

Zanim odpowiem, muszę przełknąć gulę w gardle.

– Wtedy przestanę zawracać ci głowę.

Cień jego sylwetki zwija się na kanapie.

– Prześpijmy się, póki jest ciemno.

– Czyli nie mówisz nie?

– Nie mówię również tak. Teraz pozwól mi się wyspać.

– To kolejny argument za: jeżeli będziemy podróżować razem, zawsze jedna osoba może czuwać w nocy.

– W pojedynkę łatwiej się zasypia.

Bierze poduszkę i przyciska ją do ucha. Przewraca się jeszcze raz na bok, po czym nieruchomieje, a jego oddech robi się głęboki i miarowy. Wygląda, jakby już spał.

Wzdycham i idę do sypialni. Im bardziej się do niej zbliżam, tym powietrze robi się chłodniejsze. Zaczynam mieć wątpliwości, czy chcę tam spędzić noc.

Otwieram drzwi. Teraz już rozumiem, dlaczego w chacie jest tak zimno. Okno w sypialni jest rozbite, na łóżko leją się

strugi deszczu. Jestem tak zmęczona, że mogłabym spać na podłodze. W komodzie znajduję złożony koc. Jest wyziębiony, ale suchy. Zamykam drzwi do sypialni, w której hula wiatr, i wracam na palcach do salonu. Kładę się na drugiej sofie i zawijam w koc.

Anioł wygląda na pogrążonego we śnie. Podobnie jak pierwszej nocy jest półnagi. Bandaże muszą zapewniać jakąś osłonę przed chłodem, ale chyba niewielką. Ciekawe, czy on w ogóle marznie. Wysoko w powietrzu musi być przeraźliwie zimno. Być może tolerancja na niskie temperatury jest podobną formą adaptacji co niska waga, która pomaga aniołom wzbijać się w powietrze.

Ale to wszystko zgadywanki, a dodatkowo marne usprawiedliwienie przywłaszczenia sobie jedyne go koca. Akurat tej nocy wyłączył się prąd, a więc nie działa ogrzewanie. W rejonie zatoki San Francisco temperatury rzadko spadają poniżej zera, ale noce potrafią być naprawdę chłodne. A dziś jest chyba jedna z nich.

Zasypiam, wsłuchując się w miarowy oddech anioła i deszcz bębniący o szyby.

Śnię, że płynę wpław przez Antarktykę otoczona górami lodowymi. Białe wieże są majestatyczne i zdradliwie piękne.

Słyszę wołającą mnie Paige. Szamocze się w wodzie, kaszle, z trudem utrzymuje na powierzchni. Może przebierać wyłącznie rękami, więc wkrótce straci siły. Próbuję za wszelką cenę do niej dopłynąć, ale lodowata woda spowalnia moje ruchy. Dygoczę, tracąc niemal całą energię. Paige woła moje imię. Z tak dużej odległości nie widzę jej twarzy, ale słyszę, że woła przez łyzy.

– Jestem tu! Nie bój się! Zaraz przy tobie będę – próbuję krzyknąć, ale z gardła wydobywa się zachrypnięty szept, tak cichy, że sama ledwo go słyszę. Czuję się bezradna. Nie jestem w stanie pocieszyć siostry nawet słowami.

Chwilę później słyszę warkot motorówki. Pędzi w moim kierunku, rozpychając unoszące się na wodzie bloki lodu. Łódką steruje matka. Wolną ręką wyrzuca za burtę cenne zapasy potrzebne do przeżycia. Lodowatą wodę rozpryskują puszki z zupą i fasolą, kapoki i koce, a nawet buty i paczki z opatrunkami. Wpadają między podskakujące bryły lodu.

– Powinnaś jeść więcej jajek, kochanie – mówi matka.

Łódź płynie prosto na mnie i ani trochę nie zwalnia. Może nawet przyśpiesza. Staranuje mnie, jeżeli się nie odsunę.

Paige woła mnie z oddali.

– Nadchodzę! – odpowiadam, ale z moich ust ponownie wydobywa się chrapliwy szept. Próbuję płynąć w jej stronę, ale mięśnie tak bardzo mi przemarzły, że wymachuję rękami bez żadnego efektu. Wymachuję rękami i cała się trzęsę. Wprost na mnie pędzi łódź matki.

„Ciii... Spokojnie” – mówi uspokajający głos w mojej głowie.

Czuję, jak ktoś odsuwa poduszki sofy, do których przylgnęłam plecami. Zalewa mnie fala ciepła. Z miejsca, gdzie wcześniej znajdowały się poduszki, wysuwają się powoli i obejmują mnie prężne ramiona. Nawet w półśnie rozumiem, że tuli mnie mężczyzna o skórze gładkiej niczym dotyk pióra i mięśniach z aksamitnej stali. Jego ręce rozpuszczają lód w moich żyłach i odpędzają senny koszmar.

– Ciii – szepcze mi do ucha chropowaty głos.

Zanurzam się w kokonie ciepła i pozwalam, aby szum kropel deszczu rozpryskujących się na dachu ukołysał mnie

ponownie do snu.

Źródło ciepła zniknęło, ale przestałam się trząść. Zwijam się w kłębek, szukając resztek ciepła pozostawionego na poduszkach przez ciało, którego już tam nie ma.

Otwieram oczy i natychmiast tego żałuję. Oślepia mnie jasność poranka. Raffe leży na sofie, przyglądając mi się swoimi ciemnoniebieskimi oczami. Przełykam ślinę. Czuję się skrępowana i na pewno koszmarnie wyglądam. No pięknie! Świat chyli się ku upadkowi, matka, jeszcze bardziej szalona niż zwykle, krąży po ulicach opanowanych przez gangi, siostrę porwały mściwe anioły, a ja się przejmuję tłustymi włosami i nieświeżym oddechem.

Zrywam się z sofy i odrzucam koc z większą energią niż to potrzebne. Łapię przybory toaletowe i ruszam w stronę jednej z łazienek.

– Znakomicie mi się spało. Dziękuję, że zapytałaś – mówi anioł, leniwie przeciągając samogłoski. Trzymam dłoń na klamce do łazienki, kiedy dodaje: – Jeżeli cię to interesuje, odpowiedź brzmi tak.

Nieruchomieję. Boję się odwrócić.

– Tak?

Tak – to on tulił mnie przez całą noc? Tak – wie, że sprawiło mi to przyjemność?

– Tak, możesz ze mną pójść – wyjaśnia takim tonem, jakby już tego żałował. – Zabiorę cię do gniazda.

ROZDZIAŁ 11

W kranach jest woda, ale tylko zimna. Zastanawiam się, czy mimo wszystko nie wziąć prysznica, bo trudno przewidzieć, kiedy nadarzy się podobna okazja. Rezygnuję na myśl o strumieniach lodowatej wody oblewających moje ciało.

Postanawiam umyć się starannie myjką do naczyń. Dzięki temu nie muszę zdejmować wszystkich ubrań jednocześnie, więc mniej zmarznę.

Zgodnie z przewidywaniami woda jest lodowata. Powracają strzępy koszmaru sennego, a to z kolei przywołuje wspomnienie kojącego ciepła. Najwyraźniej anioły mają wrodzoną potrzebę opiekuńczości, a obudził ją w nim widok mojego dygocącego z zimna ciała – coś podobnego do odruchu, który każe pingwinom zbijać się w gromadę na mrozie. Bo cóż innego mogłoby nim kierować?

Ale teraz nie mam ochoty o tym rozmyślać – bo niby do jakich wniosków miałabym dojść? – więc spycham to wspomnienie do ciemnego, zatłoczonego zakątka mózgu.

Wychodzę z łazienki i spoglądam na anioła. Raffe ma na sobie tylko czarne spodnie i buty. Wygląda, jakby dopiero co przebrał się po wyjściu spod prysznica. Bandaże zniknęły. Kiedy klęka na drewnianej podłodze, przed oczami kołyszają mu się kosmyki mokrych włosów. Rozłożył koc, w który były zawinięte skrzydła.

Gładzi dłonią pióra, nastrasza te zgniecione i wyrywa połamane. Domyślam się, że taki przegląd skrzydeł to czynność, którą anioł przeprowadza codziennie. Jego dotyk jest delikatny i uważny, ale wszystkie czynności wykonuje z kamienną twarzą, z

której trudno cokolwiek wyczytać. Zniszczone przeze mnie końcówki skrzydeł wyglądają paskudnie.

Ogarnia mnie absurdałne pragnienie przeproszenia go za wszystko, co zrobiłam. Tylko z jakiego konkretnie powodu miałoby mi być przykro? Że jego pobratymcy zaatakowali nasz świat i go zniszczyli? Że w swojej brutalności odcięli mu skrzydła i zostawili na pastwę lokalnych dzikusów, którzy posiekaliby go na kawałki? Dzikusami może i jesteśmy, ale tylko dlatego, że sami nas takimi uczynili. Wcale nie jest mi przykro – napominam się w myślach. Zgniecenie skrzydeł wroga w kocu przeżartym przez mole to nie powód do wyrzutów sumienia.

Mimo to zwieszam głowę i ruszam przed siebie na palcach, jakby mi było przykro.

Obchodzę go łukiem, żeby nie zauważył mojej przepraszającej postawy. Teraz doskonale widzę jego nagie plecy. Przestał krwawić. Pomijając miejsca, z których wyrastały skrzydła, reszta ciała się zagoiła – stłuczenia, opuchlizna i rany zniknęły.

Rany po skrzydłach przypominają dwa pionowe pasy mielonego mięsa. W miejscu, gdzie miecz rozciął ścięgna i mięśnie, widoczny jest postrzępiony wał skóry. Robi mi się niedobrze na myśl, że napastnik musiał rozciąć stawy, oddzielając kości od reszty ciała. Powinnam zapewne zaraz na początku zaszyć rany, ale wtedy zakładałam, że anioł umrze.

– Nie powinnam zszyć tych ran? – pytam z nadzieją, że odpowie przecząco. Nie jestem mięczakiem, ale zszywanie kawałków skóry byłoby, delikatnie mówiąc, niezbyt przyjemnym doświadczeniem.

– Nie – odpowiada, nie podnosząc wzroku. – Same się zagoją.

– Dlaczego to tak długo trwa? Reszta zagoiła się natychmiast.

– Rany zadane mieczem anioła goją się dłużej. Jeżeli będziesz kiedyś próbowała zabić anioła, ugodź go anielskim mieczem.

– Zmyślasz. Dlaczego miałbyś mi coś takiego powiedzieć?

– Może dlatego, że się ciebie nie boję.

– Może powinienes.

– Mój własny miecz nie wyrządziłby mi krzywdy. A innym nie byłabyś zdolna władać.

Ostrożnie wrywa kolejne złamane pióro i układa je na kocu.

– Niby dlaczego?

– Trzeba uzyskać zgodę, aby użyć anielskiego miecza. W przeciwnym razie będzie ważył tonę i go nie podniesiesz.

– Ale przecież ty nie udzieliłaś mi zgody.

– Zgodę uzyskuje się nie od anioła, ale od miecza. Już sama prośba potrafi wprowadzić niektóre miecze w paskudny humor.

– Akurat.

Przesuwa dłonią po piórach, szukając złamanych. Dlaczego mam poczucie, że nie żartuje?

– Nie prosiłam miecza o pozwolenie, a bez problemu go uniosłam.

– To dlatego, że zamierzałaś rzucić go mnie, abym mógł się bronić. Najwyraźniej potraktowała to jako prośbę i udzieliła ci zgody.

– Że niby umie czytać w myślach?

– Na pewno potrafi odczytywać intencje. Czasami to robi.

– Taaa... No dobra. – Daję za wygraną. W przeszłości nasłuchiwałam się wielu zwariowanych historii. Najlepsza strategia to płynąć z prądem i nie sprzeciwiać się osobie opowiadającej

dziwactwa. To bezcelowe, a czasami nawet groźne. Przynajmniej jeśli chodzi o moją mamę. Muszę przyznać, że Raffe ma jeszcze bujniejszą wyobraźnię.

– No więc... mam ci zabandażować te plecy?

– Po co?

– Żeby nie doszło do zakażenia – wyjaśniam, grzebiąc w plecaku w poszukiwaniu apteczki.

– To mi nie grozi.

– Nie możesz się niczym zarazić?

– Powinienem być odporny na wasze drobnoustroje.

Moją uwagę zwracają słowa „powinienem” i „wasze”. O aniołach nie wiemy niemal niczego. Każda informacja może się okazać przydatna. Przynajmniej wtedy, kiedy ponownie się zorganizujemy i stawimy opór.

Uświadamiam sobie, że mam niecodzienną możliwość zdobycia informacji o aniołach bezpośrednio u źródła. Wbrew temu, co przywódcy gangów wmawiają całej reszcie, kawałki aniołów zawsze odcinano z martwych lub konających osobników. Jestem tego pewna. Nie wiem, jak mogłabym wykorzystać wiedzę na temat aniołów, ale nie zaszkodzi się dowiedzieć tego i owego.

„Ciekawe, co by na to powiedzieli Adam i Ewa”.

Ignoruję ostrzegawczy głos, który rozbrzmiewa w mojej głowie.

– A więc... macie jakąś odporność czy coś w tym stylu? – pytam możliwie najbardziej obojętnym tonem, jakby mi nie zależało na usłyszeniu odpowiedzi.

– Tak czy inaczej, bandaż wydaje się dobrym pomysłem – odpowiada, dając mi wyraźnie do zrozumienia, że przejrzał mnie na wylot. – Jeżeli ukryję rany, będę mógł udawać człowieka.

Wyrywa kolejne złamane pióro i z wahaniem odkłada je na

rosnący stos.

Zużywam resztę bandażu na opatrzenie ran. Jego skóra przypomina w dotyku stal pokrytą warstwą aksamitu. Obchodzę się z nim nieco bardziej bezceremonialnie, niż trzeba, ponieważ pomaga mi to ukryć drżenie rąk.

– Postaraj się nie wykonywać gwałtownych ruchów, bo znów zaczniesz krwawić. Bandaże nie są zbyt grube i szybko nasiąkną.

– Nie ma problemu – mówi. – Niewykonywanie gwałtownych ruchów na pewno będzie dziecinnie łatwe, kiedy zaczniemy uciekać przed napastnikami.

– Mówię poważnie. Zużyłam ostatnie opatrunki. Te muszą wystarczyć na dłużej.

– Może znajdziemy jakieś po drodze?

– Może.

Tak naprawdę pozostają nam domowe apteczki, ponieważ sklepy zostały splądrowane przez gangi albo oznaczone jako ich terytorium.

Napełniamy wodą moją manierkę. W biurowcu zabrakło mi czasu na spakowanie prowiantu. Zapasy w plecaku to dość przypadkowa kolekcja. Wzdycham, żałując, że nie zdążyłam zabrać więcej jedzenia. Poza jednym kubkiem z zupką błyskawiczną dysponujemy jedynie garścią małych czekoladek, które przechowuję dla Paige. Dzielimy się makaronem z zupki – wypada po dwa gryzy na osobę. Domek opuszczamy wczesnym przedpołudniem. Na początek zaglądamy do głównej rezydencji.

Liczę na znakomicie zaopatrzoną kuchnię, ale wystarczy rzut oka na pootwierane szafki, rozsiane na morzu granitu oraz nierdzewnej stali, i wiem, że musimy się zadowolić szukaniem resztek. W rezydencji mieszkali dawniej zamożni ludzie, ale w czasie kataklizmu nawet bogacze nie dysponują walutą, za którą

można kupić jedzenie, dlatego albo sami zjedli całe zapasy przed opuszczeniem domu, albo zabrali je ze sobą. Przeglądam szufladę za szufladą, szafkę za szafką, ale nie znajduję nic poza okruchami.

– To jest jadalne?

Raffe stoi w łuku drzwi do kuchni, otoczony framugą w śródziemnomorskim stylu. Idealnie pasuje do otoczenia. Przybrał niewymuszoną pozę arystokraty przyzwyczajonego do luksusu. Kontrastuje z nią nieco przedmiot, jaki trzyma w wyciągniętej ręce – plastikowa torebka z suwakiem wypełniona karmą dla kotów.

Wkładam dłoń do torebki i wyciągam kilka czerwonych i żółtych kostek. Wrzucam je sobie do ust. Łatwo się rozkruszają i mają lekko rybi posmak. Udaję, że to chrupki. Przeżuwam je i połykam.

– To żaden przysmak, ale nas nie zabije.

Nic lepszego do jedzenia nie znajdujemy, za to w garażu natrafiamy na kilka użytecznych przedmiotów. Plecak, który można nosić jak worek marynarski, co idealnie pasuje do naszych potrzeb, bo anioł dopiero za jakiś czas będzie mógł założyć coś na plecy, i kilka chłopięcych śpiworów – zwiniętych i gotowych do spakowania. Brakuje namiotu, ale znajdujemy latarki i kilka zapasowych baterii. Zgrabny nóż myśliwski musiał kosztować więcej niż jakikolwiek, który sama kupiłam. Oddaję swój aniołowi, a ten zatrzymuję.

Brudne ciuchy wymieniam na czyste. Przywłaszczamy sobie również kilka innych ubrań. Znajduję bluzę, która całkiem nieźle pasuje na Raffego. Ponieważ czarne spodnie i wysokie skórzane buty zdradzają jego tożsamość, każę mu je wymienić na dżinsy i pionierki.

Na szczęście w rezydencji znajduje się kilka sypialni

pełnych męskich ubrań w różnych rozmiarach. Musiała tu kiedyś mieszkać rodzina z dwoma nastoletnimi chłopakami. Teraz jedynymi śladami ich istnienia są szafy z ubraniami i śpiwory w garażu. Najbardziej martwi mnie, czy buty, jakie znalazłam dla Raffego, będą odpowiednio dopasowane. Pęcherze zdążyły się zagoić, ale nawet superszybka regeneracja nie zapobiegnie nieustannemu powstawaniu nowych.

Moja troska o niego wynika wyłącznie z faktu, że utykając, zacznie mnie spowalniać, przekonuję sama siebie w myślach. Zadowolam się tym wyjaśnieniem.

– No, w tym stroju wyglądasz niemal jak człowiek – mówię.

Tak naprawdę wygląda jak superprzystojny mistrz olimpijski. To naprawdę niepokojące, jak blisko mu do ideału ludzkiej istoty. Może się mylę, ale czy anioł należący do legionu eksterminującego ludzkość nie powinien być ucieleśnieniem zła?

– Jeżeli tylko na plecach nie pojawią się plamy krwi, powinni wziąć cię za człowieka. Aha, tylko nie pozwól, żeby ktokolwiek cię podniósł. Jeśli się przekonają jaki jesteś lekki, od razu się połapią.

– Nie pozwolę, aby ktokolwiek poza tobą niósł mnie w ramionach.

Odwraca się i wychodzi, zanim zdążę przeanalizować ostatnią uwagę. Poczucie humoru to kolejna rzecz, której się nie spodziewałam u aniołów. Zwłaszcza tak kiepskie poczucie humoru.

Rezydencję opuszczamy w południe. Znajdujemy się na niewielkiej ślepej uliczce dochodzącej do Page Mill Road. Jezdnia jest ciemna i śliska po nocnym deszczu. Niebo zakrywa

gruba warstwa grafitowych chmur, ale przy odrobinie szczęścia dotrzemy na wzgórze i znajdziemy jakieś ciepłe schronienie przed kolejną ulewą.

Plecaki leżą na wózku inwalidzkim Paige. Jeżeli zamknę oczy, mogę sobie niemal wyobrazić, że to ją popycham przed sobą. Nucę pod nosem i dopiero po chwili uświadamiam sobie, że jest to oczyszczająca melodia matki.

Stawiam jedną stopę za drugą, starając się ignorować nadmierną lekkość wózka i kroczącego obok bezskrzydłego anioła.

W dalszej części zaułka mijamy sporo porzuconych samochodów. Odcinek przy autostradzie tarasują dwa auta skierowane w stronę wyjazdu. W pierwszych dniach wszyscy próbowali dojechać do autostrady i opuścić miasto. Nie jestem pewna, gdzie zamierzali się udać. Oni chyba też do końca nie wiedzieli, ponieważ autostrada jest zakorkowana w obu kierunkach.

Chwilę później zauważamy pierwsze zwłoki.

ROZDZIAŁ 12

W kałuży krwi leżą mężczyzna, kobieta i około dziesięcioletnia dziewczynka – dziecko na skraju lasu, dorośli pośrodku drogi. Dziewczynka musiała się rzucić do ucieczki, gdy jej rodzice zostali zaatakowani, albo schowała się podczas ataku i została schwytana po wyjściu z kryjówki.

Zginęli niedawno, o czym świadczy jasnoczerwony odcień krwi na poszarpanych ubraniach. Przelykam ślinę i robię wszystko, aby karma dla kotów pozostała w żołądku.

Głowy są nienaruszone, a twarz dziewczynki na szczęście zasłaniają włosy. Pozostałe części ciała zmasakrowano. Fragmenty klatek piersiowych zostały objedzone do kości, które sterczą teraz na zewnątrz pokryte resztkami mięsa. Brakuje części rąk i nóg. Nie mam odwagi, aby przyjrzeć się zwłokom z bliska. Robi to Raffe.

– Ślady po zębach – stwierdza, przyklękawszy na asfalcie przy ciele mężczyzny.

– Jakie zwierzęta wchodzą w grę?

Zastanawia się chwilę nad odpowiedzią.

– Dwunożne o płaskich zębach.

Żołądek podchodzi mi do gardła.

– Chcesz powiedzieć, że to byli ludzie?

– Być może. Zęby nietypowo ostre, ale z kształtu ludzkie.

– Niemożliwe – mówię, choć wiem, że to nieprawda. Człowiek robi wszystko, by przetrwać. Coś mi jednak nie pasuje. – Straszne marnotrawstwo. Jeżeli ktoś posunąłby się już do kanibalizmu, nie odgryzłby kilku kęsów i zostawił reszty.

Tyle że nie chodzi o kilka kęsów. Kiedy zmuszam się do

dokładnego obejrzenia zwłok, widzę, że są na wpół zjedzone. Tak czy inaczej, dlaczego ten ktoś zostawiłby połowę?

Raffe przygląda się miejscu, gdzie powinna się znajdować noga dziewczynki.

– Kończyny zostały dosłownie wyrwane ze stawów.

– Wystarczy – mówię i robię dwa kroki w tył. Przebiegam wzrokiem otoczenie. Znajdujemy się na otwartym polu. Ogarnia mnie lęk, jaki musi odczuwać mysz spoglądająca w niebo, po którym krążą jastrzębie.

– Miejmy nadzieję, że ktokolwiek to zrobił, nadal rządzi tą okolicą – mówi. Wstaje, wpatrzony w drzewa.

– Dlaczego?

– Bo nie będzie głodny.

To ci dopiero pocieszenie.

– Jesteś obrzydliwy, wiesz?

– Ja? Moi bracia tego nie zrobili.

– Niby dlaczego nie? Macie takie same zęby.

– Ale nie jesteśmy zdesperowani – stwierdza, zupełnie jakby desperacja ludzi nie miała nic wspólnego z aniołami. – Ani obłąkani.

Właśnie wtedy dostrzegam rozbite jajko.

Leży obok drogi nieopodal dziecka. Żółtko zbrązowiało, a białko się ścięło. Dociera do mnie fala smrodu siarki. Znam ten odór, ponieważ matka od dwóch lat ma obsesję na punkcie zgniłych jaj – tak właśnie śmierdziały moje ubrania, poduszka i włosy. Obok rozbitego jajka leży bukiet dzikich ziół. Rozmaryn i szalwia. Matka musiała się zachwycić ich urodą albo jej szaleństwo przybrało odcień bardzo czarnego humoru.

Ale z tego wynika tylko tyle, że przechodziła tędy wcześniej. Tylko tyle. Nie potrafiłaby pokonać całej rodziny.

Mogłaby dopaść dziesięciolatkę wychodzącą z ukrycia po

tym, jak jej rodzice zostali zamordowani...

Po prostu przechodziła tędy i natknęła się na ciała. I tyle.

Naprawdę tylko tyle.

– Penryn?

Orientuję się, że Raffe mówi do mnie od jakiegoś czasu.

– Co?

– Czy to mogły być dzieci?

– Czy to mogły być dzieci?

– Napastnicy – wyjaśnia powoli. Najwyraźniej przegapiłam kawałek rozmowy. – Jak już wspomniałem, ślady po zębach są za małe, żeby mogli je zostawić dorośli.

– To musiały być zwierzęta.

– Zwierzęta z płaskimi zębami?

– Tak – stwierdzam bardziej stanowczo, niż bym chciała. – To wydaje się bardziej logiczne niż dziecko mordujące całą rodzinę.

– Ale nie bardziej logiczne niż gang zdziczałych dzieciaków.

Próbuję dać mu do zrozumienia spojrzeniem, że oszalał, ale w moich oczach widać prawdopodobnie tylko lęk. Wyobraźnia podsuwa mi obrazy tego, co mogło się tu wydarzyć.

Raffe mówi coś o konieczności unikania dróg i podróżowaniu przez porośnięte lasem wzgórza. Kiwam odruchowo głową i ruszam za nim w stronę drzew.

ROZDZIAŁ 13

W Kalifornii rosną głównie rośliny zimozielone, niemniej jesienią z drzew spada dostatecznie dużo liści, aby na ziemi powstał z nich gruby kobierzec. Każdemu krokowi towarzyszy szelest. Nie wiem, jak wygląda sytuacja w innych częściach świata, ale na naszych wzgórzach opowieść o myśliwym przemierzającym bezszelestnie las można włożyć między bajki. Po pierwsze, jesienią w każdej części lasu zalegają opadnięte liście. Po drugie, wiewiórki, jelenie, ptaki i jaszczurki robią tyle hałasu, że wydają się dużo większymi stworami.

Na nasze szczęście deszcz zmoczył liście, dzięki czemu nie szeleszczą tak pod stopami, z drugiej jednak strony nie jestem w stanie prowadzić wózka po mokrym wzgórzu.

Liście wkręcają się w szprychy i coraz trudniej jest mi pchać to ustrojstwo. Żeby zmniejszyć jego ciężar, przypinam miecz do plecaka i zakładam go sobie na plecy. Worek rzucam Raffemu. Wózek nadal ślizga się na mokrych liściach, ściąga go w dół, kiedy wędrujemy w poprzek zbocza. Tempo marszu spada, zaczynamy się wlec. Raffe nie kwapi się z pomocą, ale na szczęście nie wygłasza sarkastycznych komentarzy.

W końcu znajdujemy wygodną ścieżkę, która biegnie mniej więcej w odpowiednim kierunku. Jest dość równa i pokrywa ją znacznie cieńsza warstwa liści. Problem w tym, że deszcze zamieniły ziemię w błoto. Nie mam pojęcia, jak wózek poradzi sobie w tych warunkach, poza tym wołałabym go nie zabrudzić. Składałam go zatem i niosę. To rozwiązanie sprawdza się przez chwilę. Jest mi ciężko i niewygodnie. Wcześniej przenosiłam wózek co najwyżej jedno, dwa piętra po schodach.

Szybko staje się jasne, że w ten sposób daleko nie zajdę. Nawet gdyby Raffe zaofiarował pomoc – czego nie robi – nie wytrzymałabym długo, taszcząc na rękach metalowo-plastikowy ciężar.

Rozkładałam wózek. Zapada się w błocie, które zachłannie wsysa koła. Po zaledwie kilku metrach jest tak ubłocony, że koła przestają się kręcić.

Biorę do ręki patyk i oczyszczam je z błota. Muszę wielokrotnie powtarzać tę czynność. Za każdym razem błoto szybciej oblepia koła. Kiedy wybieram je patykiem, przypomina glinę. W końcu po zaledwie kilku obrotach koła blokują się na dobre.

Stoję, oczy pieką mnie od łez. Jak uratuję Paige bez jej wózka?

Poradzę sobie, nawet gdybym musiała nieść ją na plecach. Najpierw muszę ją znaleźć. Mimo to jeszcze przez chwilę stoję z poczuciem porażki i zwieszoną głową.

– Wciąż masz jej czekoladę – zauważyła cieplejszym głosem Raffe. – Reszta to kwestia logistyki.

Nie podnoszę wzroku, ponieważ do oczu wciąż napływają mi łzy. Przesuwam palcami po skórzanym oparciu, żegnając się z wózkiem Paige, i go zostawiam.

Wędrujemy przez godzinę. W pewnym momencie Raffe przerywa milczenie:

– Czy rozczulanie się nad sobą rzeczywiście poprawia ludziom samopoczucie?

Porozumiewamy się szeptem od czasu, gdy natknęliśmy się na zwłoki.

– Nie rozczulam się nad sobą – odpowiadam.

– Oczywiście, że nie. Taka dziewczyna jak ty? Podróżująca w towarzystwie takiego półboskiego wojownika jak ja? Nad czym miałabyś się rozczulać? Porzucenie wózka inwalidzkiego nie mogłoby ci w tych okolicznościach zaprzętać uwagi.

Niemal potykam się o leżącą gałąź.

– Robisz sobie żarty, czy co?

– Nigdy nie żartuję na temat mojego statusu półboskiego wojownika.

– O. Mój. Boże – mówię na głos, zapominając o szeptaniu.

– Ależ z ciebie nadęte ptaszysko. Owszem, możesz się pochwalić niezłymi mięśniami, ale nie zapominaj, że ptaszysko to zwykła jaszczurka, której wyewoluowały skrzydła. Tym właśnie jesteś.

Krztusi się ze śmiechu.

– Ewolucja... – mówi i nachyla się, jakby chciał mi zdradzić jakiś sekret. – Powinnaś wiedzieć, że idealną postać mam od początku czasu.

Przysunął się tak blisko, że jego oddech pieści moje ucho.

– Nie żartuj! Ta wielka głowa tylko zawadza ci w lesie. Lada chwila zaklinujesz się między drzewami. I będę musiała cię uratować. – Posyłam mu znużone spojrzenie. – Znowu.

Przyśpieszam kroku, aby uniknąć ciętej riposty, którą bez wątpienia zaraz usłyszę.

Ale tak się nie dzieje. Czyżby pozwolił, aby do mnie należało ostatnie słowo?

Zerkam przez ramię. Raffe wygląda na bardzo z siebie zadowolonego. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że podstępem poprawił mi humor. Próbuję z tym walczyć, ale jest za późno.

Naprawdę czuję się trochę lepiej.

Jeżeli dobrze pamiętam, Skyline Boulevard to arteria przecinająca las i dochodząca od południa do San Francisco albo jego okolic. Aby dotrzeć do Skyline, musimy się wspiać jeszcze wyżej. Choć Raffe nie zdradził dokładnej lokalizacji gniazda, zmierzamy konsekwentnie na północ. A to oznacza, że przejdziemy przez San Francisco. A zatem jeśli wejdziemy na wzgórze, skróćmy w Skyline i ruszymy w stronę miasta, na gęsto zaludnione tereny wkroczymy dopiero na obrzeżach San Francisco.

Odkąd zdałam sobie sprawę, że powinnam zgromadzić jak najwięcej informacji o aniołach, chętnie zapytałabym Raffego o mnóstwo rzeczy. Powstrzymuje mnie strach przed kanibalami. Rozmowy ograniczamy do minimum i porozumiewamy się wyłącznie szeptem.

Podejrzewałam, że dotarcie do Skyline zajmie nam cały dzień, ale cel osiągamy już wczesnym popołudniem. I całe szczęście, bo nie sędzę, abym dała radę zjeść kolejny posiłek złożony z karmy dla kotów. Zostało nam mnóstwo czasu do zmroku na przeszukanie domów wzdłuż Skyline i znalezienie czegoś do jedzenia. Domy leżą tu w znacznie większej odległości od siebie niż na przedmieściach, są za to równomiernie rozmieszczone wzdłuż drogi. Większość skrywa się za sekwojami, co znacznie ułatwi dyskretne poszukiwania.

Zastanawiam się, jak długo powinniśmy czekać na matkę i czy zdołam ją w ogóle odnaleźć. W razie problemów miała się udać na wzgórze. Problem w tym, że nie ustaliłyśmy szczegółów. Ale nastały takie czasy, że pozostaje mi tylko nadzieja na szczęśliwe zakończenie.

Skyline to pięknie położona droga, biegnąca wzdłuż grzbietów łańcucha górskiego oddzielającego Dolinę Krzemową od oceanu. Z tej dwupasmowej autostrady rozciąga się widok

zarówno na dolinę, jak i wybrzeże. To pierwsza droga od czasu ataków, która nie wygląda nienaturalnie tak opustoszała. Nienaturalnie na otoczonej sekwojami, wypełnionej aromatem eukaliptusów jezdni wyglądałyby samochody.

Niedługo po wejściu na Skyline dostrzegamy pojazdy ustawione w poprzek drogi. Tarasują przejazd i bez wątpienia nie znalazły się tam przypadkowo. Zaparkowano je pod kątem dziewięćdziesięciu stopni, a zapora ma szerokość kilku samochodów – zapewne na wypadek, gdyby komuś przyszło do głowy się przez nią przedrzeć. W okolicy musi żyć grupa niechętnie nastawiona do obcych.

Anioł rozgląda się uważnie. Przechyla głowę jak pies, który usłyszał jakiś dźwięk dobiegający z oddali. Wysuwa podbródek, wskazując na drogę przed nami i pobocze po lewej stronie.

– Czają się gdzieś tam i obserwują nas – szepcze.

Nie widzę niczego poza pustą drogą biegnącą przez las.

– Skąd wiesz?

– Słyszę ich.

– Jak daleko? – szepczę. Jak daleko się czają i jak daleko sięga twój słuch.

Zerka na mnie w taki sposób, jakby wiedział, co mam na myśli. Chyba nie dysponuje równie rozwiniętą umiejętnością czytania w myślach? Wzrusza ramionami i odwraca głowę z powrotem w stronę drzew.

Na próbę wyzywam go w myślach od najgorszych. Kiedy nie reaguje, wyobrażam sobie przypadkowe sceny, licząc na to, że go rozbawię. Z jakiegoś powodu moje myśli biegną ku nocy, kiedy śniłam, że zamarzam w lodowatej wodzie, a on mnie tulił. Tym razem, kiedy po przebudzeniu przewracam się na drugi bok, on wciąż leży przy mnie. Z jakiegoś powodu mam na sobie tylko...

Stop! Myślę o bananach, pomarańczach i truskawkach – przerażona, że naprawdę odczyta, co się dzieje w mojej głowie. Ale on nadal obserwuje las i w żaden sposób nie daje po sobie poznać, że potrafi czytać w myślach. To dobra wiadomość. Zła jest taka, że nie potrafi również odczytać ich myśli. Ja sama nie słyszę, nie widzę ani nie wyczuwam niczego, co wskazywałoby na groźbę zasadzki.

– Co słyszysz? – szepczę.

– Dwoje szepczących ludzi – wyjaśnia.

Przestaję zadawać pytania i idę za nim.

Las tworzą w tym miejscu same sekwoje. Na ziemi nie leżą liście, więc poruszamy się bezszelestnie. Las zapewnia nam dokładnie to, czego potrzebujemy – gruby dywan miękkiego igliwia, które tłumi odgłos naszych kroków.

Chcę zapytać, czy głosy przybliżają się, ale wolę się nie odzywać bez potrzeby. Spróbujemy obejść ich terytorium, ale jeśli chcemy dotrzeć do San Francisco, główny kierunek marszu musi pozostać ten sam.

Raffe puszcza się biegiem w dół zbocza. Ruszam za nim bez wahania, przekonana, że coś usłyszał. Chwilę później ja również je słyszę.

Psy.

Ze wzmagającego się szczekania wynika, że biegną prosto na nas.

ROZDZIAŁ 14

Ruszamy sprintem, w równym stopniu ześlizgując się po igliwiu, co po nim zbiegając. Czy psy należą do ludzi przyczajonych przy drodze? A może to dzika sfora? W tym drugim wypadku wystarczyłoby wdrapać się na drzewo i zaczekać, aż sobie pójda. Ale w pierwszym... Nie potrafię sobie nawet tego wyobrazić. Musieliby dysponować wystarczającymi zapasami jedzenia, żeby wyżywić siebie i zwierzęta. A kto dysponuje dziś takim bogactwem i jak je zdobył?

Wyobraźnia podsuwa mi rodzinę, która padła ofiarą kanibali. Umysł wyłącza się, kontrolę przejmuje instynkt.

Ze szczekania wynika, że psy się do nas zbliżają. Autostrada została daleko w tyle, więc nie wskoczymy do żadnego samochodu. Jedyne rozwiązanie to drzewo.

Jak oszalała rozglądam się za takim, na które moglibyśmy się wspiąć. Bez rezultatu. W odróżnieniu od innych drzew sekwoje się nie rozgałęziają. Rosną prosto w górę, a gałęzie co prawda rozchodzą się prostopadle do pnia, ale wysoko nad ziemią. Musiałabym być co najmniej dwukrotnie wyższa, żeby do którejś dosięgnąć.

Raffe podskakuje, próbując chwycić się gałęzi. Choć potrafi się odbić wyżej niż jakikolwiek człowiek, to wciąż za mało. Sfrustrowany uderza pięścią w pień. Podejrzewam, że nigdy wcześniej nie musiał do niczego doskoczyć. Po co skakać, skoro można polecieć?

– Wejdź mi na ramiona – mówi.

Szczekanie staje się coraz głośniejsze. Nie potrafię określić, ile psów nas ściga, ale to sfora, a nie jedno czy dwa zwierzęta.

Raffe chwyta mnie w tali i unosi. Jest silny. Na tyle silny, że podsadza mnie na wysokość swoich ramion. Nawet stamtąd nie sięgam do najniższej gałęzi. Udaje mi się ją chwycić, kiedy odpycham się stopami od jego ramion. Mam nadzieję, że cienki konar utrzyma mój ciężar.

Podpiera moje stopy dłońmi i wypycha je do góry, aż w końcu wdrapuję się na gałąź, która kołysze się, ale wytrzymuje mój ciężar. Rozglądam się za inną gałęzią, którą mogłabym odłamać i podać Raffemu, zanim jednak zdążę cokolwiek zrobić, on rzuca się do ucieczki. O mały włos nie wołam za nim, ale w ostatniej chwili gryzę się w język. Tylko zdradziłabym swoją kryjówkę.

Odprowadzam go wzrokiem, aż znika w dolnej części zbocza. Teraz kolej na mnie, by wyładować frustrację. Co on wyrabia? Gdyby został jeszcze chwilę pod drzewem, być może zdołałabym wciągnąć go jakoś na górę. A przynajmniej pomogłabym mu walczyć z psami, rzucając w nie czymś z gałęzi. Nie dysponuję niczym, co mogłoby posłużyć za pocisk, ale każda rzecz rzucona z tej wysokości potrafiłaby wyrządzić krzywdę.

Uciekł, żeby odciągnąć ode mnie psy, czy żeby samemu się ratować? Czy zrobił to, żeby mnie ochronić?

Ponownie uderzam pięścią w drzewo.

Sześć psów dobiega do drzewa, powarkując. Dwa zatrzymują się i obwąchują ziemię wokół pnia, ale reszta rusza za Raffem. Chwilę później para maruderów rusza za sforą.

Konar, na którym siedzę, chyli się niebezpiecznie ku ziemi. Na tej wysokości gałęzi jest tak niewiele i są tak cienkie, że gdyby ktokolwiek stojący pod drzewem zadarł głowę, natychmiast by mnie zobaczył. Dolne gałęzie mają liście tylko na czubkach, nie mogę zatem liczyć, że stworzą zasłonę.

Chwytam rękami wyższy konar i zaczynam się wspinać. Gałęzie stają się coraz mocniejsze i grubsze, ale muszę pokonać sporą wysokość, żeby liście mnie zasłoniły.

Słyszę skowyt psa i wiem, że go dopadły. Kulę się i przywieram do gałęzi, próbując odgadnąć, co się wydarzyło.

Poniżej coś masywnego przedziera się przez las. Tym czymś okazuje się kilku mężczyzn. Pięciu. Mają na sobie ubrania maskujące i trzymają karabiny w sposób świadczący o tym, że potrafią się nimi posługiwać.

Jeden z nich daje sygnał ręką i pozostali rozchodzą się na boki. Ci mężczyźni nie przypominają amatorów jeżdżących co niedzielę do lasu, żeby postrzelać do królików i wypić piwo. Są zorganizowani. Wyszukani. Niebezpieczni. Poruszają się ze swobodą i pewnością siebie sugerującą, że znają się od dłuższego czasu. Nie pierwszy raz wybrali się na polowanie.

Przechodzą mnie ciarki na myśl, co paramilitarna grupa zrobiłaby ze schwytanym aniołem. Chcę krzyknąć, żeby odwrócić ich uwagę od Raffego i dać mu szansę na ucieczkę, ale cały czas słyszę warczenie i skowyt psów. Raffe wciąż walczy o życie, a moje okrzyki tylko by go zdekoncentrowały. A wtedy oboje zostalibyśmy pojmani.

Jeżeli zginę, zgaśnie również wszelka nadzieja dla Paige. Poza tym nie zamierzam oddawać życia za anioła, niezależnie od tego, ile jego szalonych decyzji przypadkowo ratuje mi życie. Czy skorzystałby z okazji, gdyby to on mógł się wspinać na drzewo po moich ramionach?

W głębi serca wiem, że to nieprawda. Gdyby zależało mu tylko na ratowaniu własnej skóry, zostawiłby mnie z tyłu przy pierwszej okazji. Jak mówi stary dowcip, nie musiałby przegonić niedźwiedzia – wystarczy, że byłby szybszy ode mnie. A to przyszkolony by mu bez trudu.

Kulę się, słysząc zatrważające warknięcie psa dopadającego ofiarę. Mężczyźni nie powinni się zorientować, że Raffe jest aniołem, chyba że zedrą z niego koszulę albo rany na plecach otworzą się i zaczną krwawić. Problem w tym, że jeśli pogryzą go psy, tożsamość zdradzą całkowicie zagojone w ciągu jednego dnia rany. Oczywiście pod warunkiem, że pozostanie tak długo przy życiu. Jeżeli mamy do czynienia z kanibalami, będzie miał większe problemy.

Nie wiem, co robić. Muszę jakoś pomóc Raffemu, a jednocześnie pozostać przy życiu i nie popełnić żadnego głupstwa. Najchętniej skuliłabym się i zasłoniła uszy dłońmi.

Zdecydowana komenda ucisza psy. Mężczyźni znaleźli Raffego. Coś mówią, ale nie rozpoznaję słów. Jak należało się spodziewać, ich ton nie jest przyjazny. Nie pada zbyt wiele słów, a Raffe chyba milczy.

Kilka chwil później pod drzewem przebiegają psy. Te same dwa sumienne osobniki obwąchują pień, po czym dołączają do reszty. Po nich nadchodzą mężczyźni.

Przewodzi ten, który wcześniej wydawał polecenia gestem ręki. Za nim idzie Raffe.

Ma ręce związane na plecach. Z ran na twarzy i nodze płynie krew. Patrzy prosto przed siebie. Uważa, aby nie spojrzeć w moją stronę. Dwaj mężczyźni podążają zaraz za nim. Trzymają mu dłonie na ramionach, jakby tylko czekali, aż się wywróci, a oni będą mogli pociągnąć go w górę zbocza. Pozostali dwaj idą z tyłu. Mają strzelby ustawione pod kątem czterdziestu pięciu stopni i rozglądają się w poszukiwaniu celu. Jeden z nich niesie torbę Raffego.

Nie widzę niebieskiego koca ze skrzydłami. Raffe miał go przywiązanego do plecaka. Czyżby zdążył ukryć skrzydła, zanim dopadły go psy? Jeżeli tak, być może zyskał kilka dodatkowych

godzin życia.

Raffe żyje. Powtarzam to sobie w myślach, aby nie dopuścić do siebie innych, niepokojących wizji. Będę bezużyteczna, jeżeli sparaliżują mnie rozmyślania o tym, jaki los może spotkać anioła, Paige albo matkę.

Oczyszczam umysł. Zapominam o wszystkich możliwych wariantach wydarzeń. Na razie nie dysponuję wystarczającą ilością informacji, aby sformułować jakikolwiek plan. Muszę polegać na instynkcie.

A on podpowiada mi, że Raffe należy do mnie. Ja pierwsza go znalazłam. Jeżeli te zamroczone testosteronem pawiany chcą z niego coś uszczknąć, muszą poczekać, aż doprowadzi mnie do gniazda.

Głosy milkną w oddali, a ja zaczynam schodzić. Mam do pokonania długą drogę. Pilnuję, aby przed wypuszczeniem gałęzi z rąk, znaleźć stabilne oparcie dla stóp. Ostatnie, czego mi trzeba, to zwichnięta kostka. Igliwie łagodzi impet zeskoku. Ląduję bezpiecznie.

Biegnę w dół zbocza po śladach Raffego. Pięć minut później trzymam w rękach owinięte kocem skrzydła. Musiał cisnąć zawiniątko w krzaki, ponieważ jest tylko częściowo ukryte. Przypinam koc do plecaka i ruszam biegiem za mężczyznami.

ROZDZIAŁ 15

Jednym z głównych problemów są psy. To naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Nawet jeśli w czasie pogoni pozostaną niewidoczna dla ludzi, psy na pewno mnie wyczują. Mimo to biegnę. Nie mogę się martwić o wszystko jednocześnie. Niespodziewanie ogarnia mnie lęk, że zgubię trop. Zwiększam prędkość z truchtu do szybkiego biegu.

Kiedy ich doganiam, jestem tak zdyszana, że niemal nie mogę chwycić tchu. Aż dziw, że nie słyszą mojego sapania.

W pierwszej chwili odnoszę wrażenie, że zbliżają się do kilku zrujnowanych baraków. Dopiero kiedy przyglądam im się dokładniej, widzę, że są w dobrym stanie – przypominają rudery tylko dlatego, że ich ściany obstawiono gałęziami, a cały kompleks przykryto maskującą siatką. Leżące na siatce gałęzie celowo porozkładano w taki sposób, jakby w naturalny sposób odłamały się z drzew. Założę się, że z powietrza polana niczym nie wyróżnia się na tle reszty lasu. Założę się, że z powietrza w ogóle nie widać budynków.

Pod koronami sekwoi otaczających polanę stoją karabiny maszynowe. Wszystkie wycelowane w niebo.

Mieszkańcy obozowiska najwyraźniej nie darzą sympatią aniołów.

Raffe i pięciu myśliwych dołączają do grupy ludzi w ubraniach maskujących. W obozie przebywają również kobiety, ale nie wszystkie są ubrane w mundury. Niektóre wydają się wręcz nie pasować do tego miejsca. Kryją się po kątach, zaniedbane i wystraszone.

Na szczęście jeden z mężczyzn zagania psy do specjalnego

baraku. Kilka zwierzaków i tak nieustannie szczeka, więc nawet gdyby któreś zaczęło ujadać z mojego powodu, nikt nie zwróci na to uwagi.

Sprawdziwszy, czy nikt mnie nie obserwuje, zdejmuję plecak i ukrywam go w dziupli. Przychodzi mi do głowy, żeby zabrać ze sobą miecz, ale rezygnuję. Mieczami posługują się tylko anioły. Najgorsze, co mogłabym zrobić, to skierować podejrzenia w tym kierunku. Kładę owinięte w koc skrzydła obok plecaka i zapamiętuję lokalizację drzewa.

Znajduję miejsce pozwalające na wygodną obserwację sporej części kompleksu. Kładę się na grubej warstwie liści, chroniącej mnie przed błotem, ale mimo to czuję przenikające przez bluzę chłód i wilgoć. Przyrzucam się liśćmi oraz igliwem. Szkoda, że nie dysponuję czymś w rodzaju stroju maskującego. Na szczęście ciemnokasztanowe włosy wtapiają się w podszycie lasu.

Raffe, popchnięty, pada na kolana pośrodku kompleksu.

Z tak dużej odległości nie słyszę, co mówią, ale domyślam się, że mężczyźni dyskutują nad losem Raffego. Jeden z nich nachyla się i mówi coś do niego.

Błagam, tylko nie każcie mu zdjąć koszuli.

Desperacko próbuję wymyślić, jak mogłabym go uwolnić i samej nie stracić życia. Wiem, że za dnia nic nie wskóram, ponieważ po okolicy kręci się tuzin facetów z palcami na spustach karabinów. O ile jakiś niespodziewany atak aniołów nie odwróci ich uwagi, pozostaje mi nadzieja, że Raffe dożyje do zmroku, a ja zdołam jakoś do niego dotrzeć.

Cokolwiek Raffe powiedział mężczyznom, musiało ich przynajmniej chwilowo usatysfakcjonować. Pomagają mu wstać i zabierają do najmniejszego budynku pośrodku kompleksu. Dwa pozostałe budynki nie przypominają domów mieszkalnych,

ale mogłyby pomieścić co najmniej po trzydzieści osób. Ten stojący między nimi, do którego zaprowadzono Raffego, wydaje się o połowę mniejszy. Domyślam się, że jeden służy jako sypialnia, drugi – przestrzeń wspólna, a ten mniejszy jako magazyn.

Leżę, starając się zapomnieć o ciągnącym od ziemi chłdzie i wilgoci. Żeby tak słońce szybciej zaszło. Być może ci ludzie obawiają się ciemności tak bardzo jak uliczne gangi. Być może chodzą spać zaraz po zapadnięciu zmroku.

Po, jak się wydaje, długim czasie, a w istocie zapewne po około dwudziestu minutach, w odległości zaledwie półtora metra ode mnie przechodzi chłopak w mundurze. Trzyma strzelbę przy piersi pod kątem czterdziestu pięciu stopni i rozgląda się uważnie po lesie. Sprawia wrażenie gotowego do walki. Leżę nieruchomo, kiedy mnie mija. Jestem zaskoczona, że nie towarzyszy mu pies. Ciekawe, dlaczego nie używają ich do patrolowania kompleksu?

Żołnierze przechodzą obok mnie co kilka minut, więc cały czas muszę zachowywać czujność. Patrole są na tyle regularne, że po dłuższej chwili potrafię dokładnie przewidzieć, kiedy się pojawią.

Godzinę po tym, jak Raffego zaprowadzono do centralnego budynku, wyczuwam zapach mięsa i cebuli, czosnku i warzyw. Pod wpływem tych cudownych aromatów zaczyna mnie ścisnąć w żołądku tak mocno, jakbym miała skurcze.

Modłę się w myślach, aby to nie był zapach gotowanego Raffego.

Ludzie schodzą się do budynku po prawej stronie. Nie słyszę żadnego sygnału, co oznacza, że spożywają obiad o ustalonej godzinie. W kompleksie mieszka więcej osób, niż sądziłam. Z lasu wychodzą wyraźnie zmęczeni żołnierze,

głównie mężczyźni, poruszający się w grupkach dwu-, trzy- i pięcioosobowych. Nadchodzą ze wszystkich kierunków. Przed nastaniem nocy większość ludzi znika w budynku po lewej.

Niemal całkowicie zdrętwiałam od chłodu ciągnącego od ziemi, a biorąc pod uwagę, że od rana zjadłam tylko odrobinę kocięj karmy, nie czuję się przygotowana do podjęcia akcji ratunkowej.

W żadnym budynku nie pali się światło. Społeczność jest ostrożna i wyraźnie dobrze maskuje się w nocy. W kompleksie panuje cisza. Z polany dobiega wyłącznie cykanie świerszczy, co jest zdumiewające, biorąc pod uwagę liczbę mieszkańców. No ale przynajmniej żadne krzyki nie dobiegają z budynku, w którym przebywa Raffé.

Po zapadnięciu zmroku czekam jeszcze godzinę.

Kiedy mija mnie wartownik, wiem, że drugi znajduje się dokładnie po przeciwnej stronie kompleksu.

Po odliczeniu do stu podnoszę się i biegnę w stronę centralnego budynku, starając się zachowywać możliwie najciszej.

Nogi mam tak wyziębione i zdrętwiałe, że wydają się być ze spizu, ale lęk przed schwytaniem pozwala im się szybko rozgrzać. Muszę nadłożyć drogi, bo przemykam od cienia do cienia – do celu zmierzam zygzakiem. Rozwieszony nad kompleksem baldachim ułatwia mi zadanie, pokrywając cały obszar nieregularną siatką cieni.

Przywieram plecami do skrytej w cieniu ściany kantyny. Po prawej jeden z wartowników porusza się miarowym krokiem, drugi w oddali obchodzi kompleks z przeciwnej strony. Ich kroki brzmią głucho i powolnie, jakby byli znudzeni. To dobry znak. Gdyby cokolwiek ich zaniepokoiło, ich kroki stałyby się szybsze, bardziej nerwowe. Taką przynajmniej mam nadzieję.

Wychylam się, szukając wzrokiem na ścianie środkowego budynku tylnego wejścia, ale światło księżyca pada od drugiej strony i nie dostrzegam nawet zarysu okna.

Przebiegam przestrzeń między budynkami i chowam się w cieniu.

Przystaję, nasłuchując. Nikt nie podnosi alarmu, wokół panuje cisza. Przywieram plecami do ściany, wstrzymując oddech. Nie słyszę żadnych odgłosów, nie widzę żadnego ruchu. Poza paraliżującym strachem nic nie podpowiada mi, że powinnam przerwać akcję. Ruszam dalej.

Na tylnej ścianie budynku odnajduję drzwi i dwa okna. Zaglądam przez jedno, ale w środku panuje ciemność. Opieram się pokusie, aby zapukać w szybę i sprawdzić, czy Raffe odpowie. Ktoś może mu przecież towarzyszyć.

Nie mam pomysłu, jak sobie poradzić, gdybym natknęła się na kogoś w budynku. Na kursach samoobrony nie uczą zakradania się od tyłu i dyskretnego duszenia, co akurat w tych okolicznościach byłoby całkiem przydatne.

Przypominam sobie jednak, że regularnie wygrywałam ze znacznie większymi sparingpartnerami. Powtarzam to sobie w myślach, aby nie ulec paraliżującej panice.

Biorę głęboki oddech i możliwie najciszej szepczę: „Raffe?”.

Moje zadanie byłoby znacznie łatwiejsze, gdybym uzyskała wskazówkę, w którym pomieszczeniu się znajduje. Nie słyszę żadnej odpowiedzi. Ani stukania w szybę, ani stłumionego nawoływania, ani szurania krzesła. Powraca straszliwa myśl, że Raffe nie żyje. Bez niego nigdy nie odnajdę Paige. Bez niego zostanę sama. Karczę się – tego rodzaju myślenie nie prowadzi do niczego dobrego.

Z największą ostrożnością przysuwam się do drzwi i

przykładałam do nich ucho. Absolutna cisza. Naciskam klamkę na wypadek, gdyby akurat były otwarte.

W tylnej kieszeni spodni noszę zestaw wytrychów. Znalazłam je w pokoju jakiegoś nastolatka w pierwszym tygodniu poszukiwania jedzenia w domach. Szybko zrozumiałam, że przy otwieraniu zamka robi się znacznie mniej hałasu niż przy wybijaniu szyby, a kiedy człowiek unika spotkań z ulicznymi gangami, dyskrecja to klucz do sukcesu. Z tego powodu przez ostatnie dwa tygodnie uprawiałam się w otwieraniu zamków.

Klamka ustępuje bez oporu.

Mieszkańcy obozu muszą być pewni siebie. Uchylam minimalnie drzwi i zamieram. Ponieważ nie słyszę żadnych odgłosów, wślizguję się do środka. Przystaję, dając oczom czas na przystosowanie się do jeszcze większych ciemności. Jedynym źródłem światła jest cętkowana poświata księżycowa wlewająca się przez okna z drugiej strony budynku.

Zaczynam się przyzwyczajać do funkcjonowania w przyćmionym świetle księżyca – najwyraźniej będzie to stały element mojego życia. Znajduję się w przedpokoju, w którym jest czworo drzwi. Jedne, otwarte, prowadzą do łazienki. Pozostałe są zamknięte. Ściskam w dłoni nóż, zupełnie jakbym mogła odbić nim kulę wystrzeloną z karabinka półautomatycznego. Przykładałam ucho do pierwszych drzwi po lewej stronie. Cisza. Już mam położyć rękę na klamce, kiedy zza ostatnich drzwi dobiega mnie cichy szept.

Po krótkim wahaniu podchodzę do nich i przykładałam ucho. Czy to moja wyobraźnia, czy naprawdę usłyszałam coś brzmiącego jak „Penryn, uciekaj!”?

Uchylam drzwi.

– Dlaczego mnie nigdy nie słuchasz? – pyta cicho Raffe.

Wślizguję się do środka i zamykam za sobą drzwi.

– Ależ nie dziękuj, że przyszedłam cię uratować.

– Wcale mnie nie ratujesz, tylko dajesz się złapać.

Raffe siedzi na środku pokoju przywiązany do krzesła. Jego twarz jest pokryta zakrzepniętą krwią, która wciąż wypływa z rany na czole.

– Poszli spać – mówię. Podbiegam do krzesła i przykładam nóż do sznura krępującego nadgarstki.

– Wcale nie.

Pewność, z jaką wypowiada te słowa, uruchamia alarm w mojej głowie, ale zanim zdążę choćby pomyśleć „zasadzka”, oślepia mnie światło latarki.

ROZDZIAŁ 16

Nie mogę ci pozwolić na przecięcie więzów – oświadcza zza latarki niski głos. – Mamy ograniczone zapasy liny.

Ktoś wyciąga mi z ręki nóż i popycha brutalnie na krzesło. Latarka gaśnie. Muszę kilka razy zamrużyć, żeby ponownie przyzwyczaić wzrok do przyćmionego blasku księżyca. Zanim jestem w stanie cokolwiek zauważyć, ktoś wiąże mi ręce za plecami.

Jest ich trzech. Jeden sprawdza więzy Raffego, drugi stoi oparty o framugę, jakby akurat wpadł w odwiedzin. Napinam mięśnie, aby sznur krępujący ręce był później jak najbardziej poluzowany, ale gość uwijający się za moimi plecami zaciska go naprawdę mocno. Tak mocno, że chyba lada chwila skruszy mi nadgarstki.

– Wybacz nam te ciemności – mówi mężczyzna oparty o framugę – ale staramy się unikać intruzów.

Wszystko – od władczego tonu po swobodną postawę – świadczy wyraźnie, że jest przywódcą grupy.

– Naprawdę byłam aż tak niezdarna? – pytam.

Mężczyzna nachyla się w moją stronę. Jego głowa znajduje się teraz dokładnie na wysokości mojej.

– Wręcz przeciwnie. Wartownicy nic nie zauważyli, a otrzymali rozkaz, żeby cię wypatrywać. Tak więc poszło ci całkiem nieźle.

W jego głosie słyszę pochwałę.

Raffe wydaje niski pomruk, który przypomina warknięcie psa.

– Wiedzieliście o mnie? – pytam.

Mężczyzna ponownie się prostuje. W bladej poświacie księżycy nie widzę szczegółów, ale bez wątpienia jest wysoki i barczysty. Włosy ma ostrzyżone krótko, po wojskowemu – w porównaniu z nimi Raffe wydaje się rozczochrany i niechlujny. Ma wyraźnie zarysowany kontur twarzy. Kiwa głową, mówiąc:

– Nie mieliśmy pewności, ale zawartość plecaka sprawiała wrażenie połowy zapasów podróżującej pary. Miał kuchenkę turystyczną, ale brakowało zapalek, kubków i garnków. Znaleźliśmy za to dwie miski i dwie łyżki. I tym podobne. Domyśliliśmy się, że ktoś inny niesie drugą połowę. Nie przypuszczałem tylko, że ten ktoś będzie próbował go uwolnić. A zwłaszcza, że okaże się dziewczyną. Bez urazy. Zawsze byłem postępowy. – Wzrusza ramionami. – Ale czasy się zmieniły. A nasz obóz jest pełen facetów. – Kolejne wzruszenie ramionami. – To wymaga sporej odwagi. Albo jest oznaką desperacji.

– Zapominasz o braku oleju w głowie – warczy Raffe. – To ja cię interesuję, nie ona.

– Skąd takie przekonanie? – pyta przywódca.

– Potrzebujesz mężczyzn, których da się wyszkolić na żołnierzy, a nie takiego chuchra jak ona.

Przywódca odchyła się z rękami skrzyżowanymi na piersi.

– Z czego wnioskujesz, że szukamy kandydatów na żołnierzy?

– Potrzebowałeś pięciu facetów i sfory psów, żeby schwytać jednego gościa – mówi Raffe. – W tym tempie będziesz potrzebować trzech armii, żeby zrealizować swoje zamiary, jakiegolwiek one są.

Przywódca kiwa głową.

– Widzę, że masz doświadczenie wojskowe.

Unoszę zaintrygowana brwi, zastanawiając się, jak

dokładnie wyglądało pojmanie Raffego.

– Na widok wycelowanych w ciebie luf karabinów nie drgnęła ci nawet powieka – kontynuuje przywódca.

– Może wcale nie jest tak dobry, za jakiego się uważa, skoro tak łatwo dał się pojmać – wtrąca mężczyzna pilnujący Raffego. Ten nie daje się podpuścić.

– A może należy do jednostki specjalnej i został przeszkolony do radzenia sobie w najtrudniejszych sytuacjach – mówi przywódca. Milknie, czekając na potwierdzenie lub zaprzeczenie ze strony mojego towarzysza. Światło księżyca jest dostatecznie silne, abym dostrzegła, że wpatruje się w Raffego z wielkim napięciem, jak wilk śledzący ruchy zająca. A może jak zając wypatrujący wilka. Ale Raffe milczy.

– Głodna? – zwraca się do mnie przywódca.

Mój żołądek wybiera akurat tę chwilę na wydanie donośnego burknięcia. W innych okolicznościach byłoby to nawet zabawne.

– Chodźcie, przynieśmy im coś do jedzenia.

Mężczyźni wychodzą.

Próbuję uwolnić nadgarstki z więzów.

– Wysoki, sympatyczny brunet. Czego więcej może chcieć dziewczyna?

Raffe reaguje na mój żart pogardliwym prychnięciem:

– Zrobili się znacznie sympatyczniejsi, odkąd się pojawiłaś. Wcześniej nie proponowali mi nic do jedzenia.

– Naprawdę są niebezpieczni czy po prostu przewrażliwieni?

– Każdy, kto przywiązuje cię do krzesła i grozi bronią, jest niebezpieczny. Czy naprawdę muszę wyjaśniać takie oczywistości?

Czuję się jak dziewczynka, która zrobiła coś głupiego.

– A tak w ogóle, to co tu robisz? – pyta. – Ryzykowałem, że rozszarpie mnie sfora psów, a ty zamiast uciekać, pakujesz się w sam środek obozu! Twoim zdolnościom oceny sytuacji przydałaby się szczypta zdrowego rozsądku.

– Najmocniej przepraszam, to się już nie powtórzy.

Zaczynam żałować, że nas nie zakneblowali.

– Nie pamiętam, żebyś kiedykolwiek powiedziała coś bardziej rozsądnego.

– Co to za ludzie?

Superczuły słuch bez wątpienia umożliwił Raffemu poznanie ich zamiarów.

– A co? Zamierzasz się zaciągnąć?

– Wolę działać w pojedynkę.

Choć jest najpiękniejszą istotą, jaką w życiu widziałam, z zaschniętymi strugami krwi na twarzy wygląda dość groteskowo. Przez chwilę wyobrażam go sobie jako klasycznego upadłego anioła przybywającego, by wydrzeć człowiekowi duszę.

– Wszystko w porządku? – pyta niespodziewanie. Zdumiewająco łagodnym głosem.

– Tak, nic mi nie jest. Zdajesz sobie sprawę, że musimy się stąd wydostać przed wchodem słońca? Do tego czasu się połapią.

Taka ilość krwi i zagojone rany? Żaden człowiek nie zdrowieje tak szybko.

Drzwi otwierają się, a woń gorącej potrawy doprowadza mnie niemal do szaleństwa. Od czasu ataków nie głodowałam, choć też nie miałam okazji przybrać na wadze.

Przywódca stawia naprzeciw mnie krzesło i przysuwa miskę tuż pod mój nos. Pod wpływem aromatu mięsa i warzyw zaczyna mi burczeć w brzuchu.

On nabiera pełną łyżkę i zatrzymuje ją w połowie drogi do moich ust. Siłą woli tłumię pomruk rozkoszy, całkowicie niestosowny w tych okolicznościach. Pryszczaty żołnierz przystawia krzesło do Raffego i również nabiera łyżkę potrawy.

– Jak ci na imię? – pyta przywódca. Jest coś intymnego w tonie jego głosu, zwłaszcza że zamierza mnie za chwilę nakarmić.

– Przyjaciele nazywają mnie Gniew – odpowiada poza kolejnością Raffe. – A wrogowie mówią do mnie Błagam Mój Litość. A tobie jak na imię, wojaku?

Na dźwięk szyderczego tonu Raffego z niewiadomego powodu oblewam się rumieńcem.

Ale przywódca nie wydaje się wytrącony z równowagi.

– Abidiasz West. Możecie mówić do mnie Abi.

Łyżka oddala się o kilka milimetrów.

– Abidiasz. Co za biblijne imię – zauważa Raffe. – Abidiasz ukrywał proroków przed prześladowaniami. – Wpatruje się w łyżkę zawieszoną przed jego twarzą.

– No proszę, specjalista od Biblii – komentuje Abi. – Szkoda, jednego już mamy. – Przenosi wzrok na mnie. – A tobie jak na imię?

– Penryn – odpowiadam szybko, zanim Raffe zdąży otworzyć usta i wygłosić jakiś sarkastyczny komentarz. – Penryn Young.

Wolę nie zrażać ich do siebie, przede wszystkim ze względu na to, że zamierzają nas nakarmić.

– Penryn – powtarza imię szeptem, jakby chciał je wypowiedzieć po swojemu. Czuję zawstydzenie, że Raffe jest świadkiem tej części rozmowy, choć nie bardzo wiem dlaczego.

– Kiedy ostatni raz jadłaś prawdziwy posiłek, Penryn? – pyta Abi. Trzyma łyżkę poza zasięgiem moich ust.

Przełykam ślinę.

– Jakiś czas temu.

Uśmiecham się zachęcająco. Pozwoli mi wreszcie zjeść zawartość łyżki?

Wkłada ją do swoich ust i potrawka znika. Mój żołądek na znak protestu wydaje burknięcie.

– Tak z ciekawości, Abi... – mówi Raffe. – Co to za mięso?

Rozglądam się po twarzach żołnierzy. Głód jakby nagle osłabł.

– Musiałbyś upolować mnóstwo zwierząt, żeby wyżywić tylu ludzi – ciągnie Raffe.

– Miałem was właśnie zapytać, na jakie zwierzęta sami polowaliście – odpowiada Abi. – Facet twojej postury musi potrzebować mnóstwa protein do utrzymania masy mięśniowej.

– Co sugerujesz? – pytam. – To nie my napadamy na ludzi, jeżeli to chciałeś powiedzieć.

Abi spogląda na mnie surowo.

– Skąd o tym wiesz? Ani razu nie wspomniałem o atakach na ludzi.

– Błagam, tylko nie patrz tak na mnie. – Prezentuję firmową minę zdegustowanej nastolatki. – Chyba nie pomyślałeś, że potrafiłabym zjeść człowieka? Co za obrzydlistwo!

– Na drodze widzieliśmy rodzinę – mówi Raffe. – Na wpół zjedzoną.

– Gdzie? – pyta Abi. Wygląda na zaskoczonego.

– Niedaleko stąd. Jesteś pewny, że to nie twoja sprawa albo któregoś z twoich ludzi? – Raffe poprawia się na krześle, jakby chciał przypomnieć Abiemu, że jego ludzie nie należą do najprzyjemniejszych.

– Nikt ode mnie tego nie zrobił. Nie musieliby.

Dysponujemy wystarczającymi zapasami i siłą ognia, żeby zapewnić wszystkim bezpieczeństwo. Poza tym sami padliśmy ofiarą ataku. W zeszłym tygodniu dorwali dwoje naszych. Wyszkolonych mężczyzn uzbrojonych w karabiny. Jak sądzicie, dlaczego na was polowaliśmy? Normalnie nie ścigamy obcych. Chcielibyśmy po prostu ustalić, kto za tym stoi.

– No nie my – mówię.

– Och, nie sędzę, żebyś to była ty.

– On też tego nie zrobił, Abi – zapewniam. Jego imię brzmi obco. Ale dość przyjemnie.

– Skąd mogę mieć pewność?

– Musimy udowadniać swoją niewinność?

– Świat się zmienił.

– A ty kim jesteś? Szeryfem Nowego Porządku? Najpierw aresztujesz, a dopiero potem zadajesz pytania? – mówię zaczepnie.

– Co byś zrobił, gdybyś ich złapał? – pyta Raffe.

– Moglibyśmy wykorzystać ludzi, którzy są, nazwijmy to w ten sposób, nieco mniej cywilizowani od nas. Oczywiście należałoby przedsięwziąć odpowiednie środki bezpieczeństwa. – Abi wzdycha. Pomysł wyraźnie mu się nie podoba, ale wydaje się pogodzony z myślą, że pewne rozwiązania są konieczne.

– Nie rozumiem – wtrącam. – Do czego miałbyś wykorzystać bandę kanibali?

– Oczywiście poszczułbym ich na aniołów.

– To jakieś wariactwo – wzdycham.

– Może nie zauważyłaś, ale cały świat zwariował. Kto się nie przystosuje, zginie.

– Chcesz się przystosowywać, posyłając szaleńców na szaleńców?

– Posyłając wszystko, co może ich zbić z tropu,

zdekoncentrować, a może nawet zdegustować, jeżeli to w ogóle możliwe. Wszystko, co przyciągnie ich uwagę i pozwoli nam się zorganizować – wyjaśnia Abi.

– Zorganizować w co? – pyta Raffe.

– W armię zdolną przegnać ich z naszego świata.

Ciarki przechodzą mi po plecach.

– Zbierasz armię? – Za wszelką cenę staram się nie spoglądać na Raffego. Od jakiegoś czasu niby mimochodem gromadziłam informacje o aniołach na wypadek, gdyby okazały się kiedyś przydatne, niemniej sądziłam, że nadzieja na zorganizowany ruch oporu upadła wraz z Waszyngtonem i Nowym Jorkiem.

Tymczasem w sercu obozu, o którego istnieniu anioły nie mają prawa się dowiedzieć, siedzi teraz Raffe. Gdyby anioły poznały plany Abiego, stłumiłyby bunt w zarodku. Kto wie, ile czasu musiałoby upłynąć, zanim pojawiłby się kolejny ruch oporu.

– Wolimy myśleć o sobie jako o armii, ale przyznaję, że ze względu na znacznie mniejsze siły od przeciwnika na razie stanowimy ruch oporu. Teraz rozbudowujemy szeregi – prowadzimy rekrutację i się organizujemy. Mimo to zaplanowaliśmy już coś dużego. Coś, czego anioły szybko nie zapomną.

– Zamierzacie przeprowadzić kontratak?

Ta myśl wprawia mnie w osłupienie.

– Zamierzamy przeprowadzić kontratak.

ROZDZIAŁ 17

Jak dużych zniszczeń potrafilibyście dokonać? – pyta Raffe.

Skóra mi cierpie na myśl, że jako jedyny człowiek w pokoju wiem, że Raffe jest naszym wrogiem.

– Dostatecznie dużych, żeby zmanifestować nasze intencje – mówi przywódca ruchu oporu. – Bynajmniej nie aniołom. Nie obchodzi nas, co pomyślą. Zwracamy się do ludzi. Chcemy im zakomunikować, że istniejemy, że jesteśmy zjednoczeni, że nie pozwolimy się podporządkować.

– Atak na anioły jako strategia rekrutacyjna?

– Anioły są przekonane, że już wygrały. Co gorsza, ludzie też tak myślą. Musimy ich przekonać, że wojna dopiero się zaczęła. To jest nasz dom. Nasza ziemia. Nie pozwolimy jej zagarnąć żadnym przyjezdnym.

W głowie kłębią mi się sprzeczne myśli. Kto jest wrogiem w tym pokoju? Po czyjej stronie? Na wszelki wypadek wpatruję się w podłogę, unikając wzroku Raffego i Abiego.

Gdyby Abi wyczuł moje wahanie, mógłby zacząć podejrzewać Raffego. Gdyby z kolei Raffe dostrzegł moje rozterki, nie mogłabym oczekiwać, że ponownie mi zaufa. Mój Boże, jeśli wkurzę Raffego, pewnie zerwie umowę, ucieknie i pójdzie do gniazda beze mnie!

– Boli mnie głowa – mówię jęklwym głosem.

Na dłuższą chwilę zapada cisza. Abi niewątpliwie analizuje sytuację. Jestem pewna, że lada chwila krzyknie: „Mój Boże, to anioł!”.

Ale nie. Wstaje i kładzie miskę z potrawką na swoim

krześle.

– Dokończymy rozmowę rano – oświadcza.

Prowadzi mnie po kilku schodkach na ukrytą w cieniu antresolę z łóżkiem, której wcześniej nie zauważyłam. Drugi mężczyzna czyni to samo z Raffem.

Kładę się niezdarnie na boku z nadgarstkami związanymi na plecach. Abi przysiada na antresoli i wiązuje mi nogi. Mam ochotę zażartować, że na takie spoufalanie pozwalałam zazwyczaj facetom, którzy zabiorą mnie najpierw na kolację i do kina, ale się powstrzymuję. Jako dziewczyna przetrzymywana w obozie pełnym uzbrojonych mężczyzn w świecie bezprawia powinnam jak ognia unikać erotycznych aluzji.

Pod głowę wsuwa mi poduszkę. Z twarzy odgarnia włosy i zakłada je za ucho. Ma ciepłe, delikatne palce. Powinnam być wystraszona, ale nie jestem.

– Nic ci się nie stanie – uspokaja. – Wartownicy dostali wyraźny rozkaz, że mają zachowywać się jak dżentelmeni.

Najwyraźniej nie trzeba czytać w myślach, aby się domyślić, że mnie to niepokoiło.

– Dziękuję – mówię.

Abi i jego ludzie zabierają miski z jedzeniem i wychodzą. Rozlega się trzask zamykanego zamka.

– „Dziękuję”? – pyta Raffe.

– Zamknij się. Jestem wykończona. Muszę się przespać.

– Najpierw musisz zdecydować, po czyjej jesteś stronie.

– Powiesz im?

Wolę mówić półsłówkami na wypadek, gdyby ktoś podsłuchiwał. Mam nadzieję, że rozumie, co mam na myśli. Gdybyśmy dotarli z Raffem do gniazda, dysponowałby informacjami na temat ruchu oporu. Jeżeli podzieli się nimi z pozostałymi aniołami, a one zduszą powstanie w zarodku,

zostanę judaszem rodzaju ludzkiego.

Milczymy przez dłuższą chwilę.

A jeśli nic nie powie, to sam zostanie judaszem dla swoich braci?

– Po co tu przyszłaś? – pyta, ostentacyjnie zmieniając temat. – Oboje wiemy, że powinnaś była uciec. Dlaczego tego nie zrobiłaś?

– Głupia jestem, co nie?

– Wyjątkowo.

– Ja... nie potrafiłam.

Chciałabym zapytać, dlaczego ryzykował życie, aby mnie uratować, skoro jego bracia nieustannie mordują ludzi. Ale nie potrafię. Nie w tych okolicznościach, nie teraz. Nie w sytuacji, gdy ktoś może podśłuchiwać.

Leżymy w milczeniu, słuchając cykania świerszczy.

Dużo później, kiedy zapadam w odrętwienie, w ciemności rozlega się jego szept:

– Wszyscy poza wartownikami poszli spać.

Natychmiast się budzę.

– Masz jakiś plan?

– Jasne. A ty nie? To ty przybyłaś mi na pomoc.

Księżyc zmienił położenie na niebie i wpadająca przez okno poświata osłabła. W pokoju jest jednak na tyle jasno, że widzę cień jego sylwetki wstającej z łóżka. Podchodzi i zaczyna mnie uwalniać z więzów.

– Jak to, u licha, zrobiłeś?!

– Kiedy już przypuścisz szturm na gniazdo, pamiętaj, że sznury nie wystarczą do skrępowania aniołów.

Ostatnie słowo wypowiada szeptem.

Zapomniałam, o ile jest silniejszy od człowieka.

– Mam rozumieć, że już dawno mogłeś się uwolnić? Do

niczego mnie nie potrzebujesz. Dlaczego nie uwolniłeś się wcześniej?

– Miałbym przegapić okazję do wprawienia ludzi o tak małych rozumkach w stan kompletnego osłupienia?

Delikatnie rozplątuje więzy i stawia mnie na nogi.

Nie daję się nabrać na wymijającą odpowiedź.

– Aha, rozumiem. Wolisz uciekać w nocy, a nie za dnia. Nie przegonisz pocisków, prawda?

Jak większość ludzi po raz pierwszy zetknęłam się z aniołami za pośrednictwem puszczanego na okrągło nagrania zestrzelenia Archanioła Gabriela. Spokoju nie daje mi myśl, że gdybyśmy zaraz na wstępie nie zabili ich przywódcy, anioły mogłyby okazać nam mniejszą wrogość. A przynajmniej wydaje mi się, że go zabiliśmy. Pewności nie ma, ponieważ nie znaleziono ciała. Przynajmniej tak mówią. Legion skrzydlatych mężczyzn unoszących się w powietrzu za jego plecami rozpiechnął się równie szybko jak spanikowany tłum ludzi, znikając na zasnutym dymem niebie. Ciekawe, czy Raffe należał do tego legionu.

Teraz marszczy brwi. Wyraźnie nie ma ochoty na rozmowę o krzywdzie, jaką pociski mogą wyrządzić aniołom.

Posyłam mu triumfujący uśmiech. „Nie jesteś aż tak idealny, na jakiego wyglądasz”.

Podchodzę do drzwi i przykładam do nich ucho.

– Czy ktoś jeszcze znajduje się w budynku?

– Nie.

Naciskam klamkę, drzwi są zamknięte.

Raffe wzdycha.

– Wolałbym uniknąć pokazu nadludzkiej siły i wzbudzenia podejrzeń, ale...

Sięga po klamkę. Powstrzymuję go.

– W takim razie powinieneś się cieszyć, że tutaj jestem.

Z tylnej kieszeni wyciągam cienki napinacz i wytrych. Żołnierz, który obszukał mnie przed skrepowaniem, zanadto się śpieszył. Szukał broni palnej i pękatych noży, a nie drucików.

– A to co?

Zabieram się do otwierania zamka. Miło, że mogę go zaskoczyć umiejętnością, której nie posiadają anioły.

Klik.

– *Voilà*.

– Gaduła, ale zdolna. Kto by pomyślał!

Otwieram usta, aby odpowiedzieć mu ripostą, ale w ten sposób tylko potwierdziłabym jego osąd. Wybieram milczenie.

Wymykamy się na korytarz i przystajemy przy tylnych drzwiach.

– Słyszysz wartowników?

Nasłuchuje przez chwilę. Pokazuje na godzinę jedenastą i piętą. Czekamy.

– Co tam jest? – Wskazuję na zamknięte drzwi.

– Nie mam pojęcia. Może zapasy?

Ruszam w tamtą stronę. Oczami wyobraźni widzę już sarninę albo nawet broń palną.

Łapie mnie za ramię i potrząsa głową.

– Nie bądź zachłanna. Jeżeli ograbimy ich podczas ucieczki, raczej nam nie odpuszczą. W miarę możliwości powinniśmy unikać kłopotów.

Oczywiście ma rację. Zresztą tylko idiota trzymałby broń w tym samym miejscu co więźniów. Na myśl o sarninie zaczyna mi lecieć ślinka. Ech, trzeba było wytargować tę potrawkę, póki była szansa.

Kilka chwil później Raffe daje mi znak głową i wymykamy się w noc.

Ruszamy biegiem. Serce łomocze mi w piersi. Przebieram nogami najszybciej, jak potrafię. Z ust bucha para. Las wabi nas zapachem ziemi i drzew. Szumiące na wietrze gałęzie tłumią odgłos naszych kroków.

Raffe mógłby biec znacznie szybciej, ale trzyma się blisko mnie.

Księżyc znika za chmurami, las pogrąża się w ciemności. Kiedy wpadamy pod korony drzew, zwalniam, aby nie zderzyć się z jakimś pniem.

Sapię tak głośno, że strażnicy muszą mnie chyba słyszeć. Zastrzyk adrenaliny związany z odzyskaniem wolności słabnie i znów ogarniają mnie strach oraz zmęczenie. Przystaję, zginam się wpół i próbuję złapać oddech. Raffe kładzie mi rękę na plecach i lekkim popchnięciem zachęca do dalszego marszu. Sam się nawet nie zziątał.

Wskazuje na las. Kręcę głową i wyciągam rękę w kierunku przeciwnej strony obozu. Musimy się dostać do dziupli, gdzie ukryłam jego skrzydła. Mój plecak można by ostatecznie spisać na straty, ale nie skrzydła czy miecz. Namysłą się chwilę, po czym kiwa głową. Nie jestem pewna, czy zrozumiał moje intencje, ale wiem, że nie potrafiłby zapomnieć o swoich skrzydłach. Podobnie jak ja o małej Paige.

Okružamy obóz, zagłębiając się możliwie daleko w las. Uważamy jednak, aby nawet na chwilę nie stracić z oczu budynków. Światło księżyca przygasło, a sam obóz jest w większej części ukryty pod koronami drzew, więc łatwo zgubić drogę. Niechętnie, bo niechętnie, ale muszę polegać na wzroku Raffego.

Sama nie potrafię iść szybciej, nie wpadając na gałęzie albo

nie tracąc równowagi. Droga przez ciemny las zabiera nam masę czasu, a jeszcze więcej znalezienie dziupli.

W końcu rozpoznaję drzewo, w którym ukryłam nasze skarby, ale dosłownie w tej samej chwili słyszę za plecami charakterystyczny trzask odbezpieczanej broni.

Wyrzucam ręce w powietrze, zanim pada komenda: „Stój!”.

ROZDZIAŁ 18

Zarwałem przez was noc, więc jutro czyścicie latryny.

Abi najwyraźniej nie jest rannym ptaszkiem i nawet nie próbuje ukryć, że wolałby spędzić czas w łóżku, niż zajmować się nami.

– Czego od nas chcesz? – pytam. – Powiedziałam już, że to nie my zabiliśmy tych ludzi.

Wróciliśmy do punktu wyjścia – Raffe i ja siedzimy przywiązani do krzeseł w celi, którą zaczynam traktować jak własny pokój.

– Teraz chodzi raczej o to, czego nie chcemy. A nie chcemy, żebyście zdradzili komuś naszą liczebność, nasze położenie i uzbrojenie. Widzieliście obóz, więc nie możemy was wypuścić do czasu przeprowadzenia akcji.

– A kiedy to nastąpi?

– W bliskiej przyszłości – wymijająco wzrusza ramionami.

– Ale raczej niedługo.

– Nie mamy tyle czasu.

– To my zdecydujemy, ile będziecie go mieli – mówi strażnik, który nas schwytał. Nazywa się Boden, a przynajmniej takie imię widnieje na jego mundurze. Istnieje oczywiście możliwość, że zabrał ten mundur martwemu żołnierzowi. – Zrobicie wszystko, czego zażąda od was ruch oporu. W przeciwnym razie wszyscy będziemy skazani na piekło, które zgotowały nam te popier...

– Jim, wystarczy – przerywa mu Abi. W jego głosie słychać znużenie, z czego wnioskuję, że pocziwy Jim, a pewnie także inni, wygłaszali identyczne deklaracje z żarliwością

charakterystyczną dla neofitów milion razy.

– To prawda – przyznaje Abi. – Założyciele ruchu oporu zakładali, że taka chwila nadejdzie. Poinstruowali nas, gdzie powinniśmy się udać, aby przetrwać. Zmobilizowali nas do działania w czasie, gdy świat rozpadał się na naszych oczach. Ruchowi oporu zawdzięczamy wszystko. To nasza największa nadzieja na przetrwanie tej masakry.

– Czyli istnieje więcej niż jeden obóz? – pytam.

– To sieć gniazd pokrywająca cały świat. Dopiero od niedawna zdajemy sobie sprawę z istnienia innych. Próbuje się organizować, koordynować działania.

– Cudownie – mówi Raffe. – Czy to oznacza, że musimy zostać tu tak długo, aż zapomnimy o ruchu oporu?

– Wręcz przeciwnie, dzielcie się tą informacją z innymi – odpowiada Abi. – Świadomość, że istnieje ruch oporu, da innym nadzieję i odbuduje poczucie wspólnoty. Będzie nam to bardzo potrzebne.

– A nie obawiasz się, że kiedy wieść o waszym istnieniu się rozejdzie, anioły po prostu was zniszczą? – pytam.

– Te gołąbki nie dobrałyby się do naszego obozu nawet, gdyby zleciały się tu całym rozćwierkanym stadem – stwierdza szyderczo Boden. Aż poczerwieniał na twarzy. Wygląda na gotowego do walki. – Niech tylko spróbują!

Niepokoi mnie widok zbielełych palców dłoni ściskającej karabin.

– Od czasu pierwszych ataków kanibali musieliśmy zatrzymać w obozie sporą liczbę ludzi – wyjaśnia Abi. – Jesteście jedynymi, którym udało się wydostać. A przecież i dla was znalazłoby się tu miejsce. Moglibyście liczyć na posiłki i wsparcie przyjaciół, na życie wzbogaczone o sens i cel. W tej chwili jesteśmy podzieleni. Na litość boską, anioły doprowadziły

do tego, że się nawzajem zjadamy! Nie stawimy im oporu, dopóki sami okładamy się po głowach i jesteśmy gotowi zabić za puszkę karmy dla psów. – Z poważną miną nachyla się w naszą stronę. – Ten obóz to dopiero początek. Jeśli chcemy mieć jakąkolwiek szansę na odebranie świata aniołom, wszyscy musimy się zabrać do roboty. Chętnie skorzystalibyśmy z pomocy takich ludzi jak wy. Ludzi zdeterminowanych, o umiejętnościach potrzebnych tym, którzy chcą zostać największymi bohaterami ludzkości.

Boden prycha z wyższością:

– No nie przesadzajmy. Obleźli obóz szerokim łukiem jak jakieś młotki. Nie wyglądają na specjalnie bystrych.

Nie mam pojęcia, o jakie młotki mu chodzi, ale jak słusznie zauważył, daliśmy się złapać idiocie.

Nie zostaję wysłana do czyszczenia latryn. Tego zaszczytu dostępuje Raffé – ja pomagam przy praniu. Wątpię, czy dobrze na tym wyszłam. Nigdy wcześniej nie musiałam tak ciężko harować. Świat naprawdę się skończył, skoro praca fizyczna jest w Stanach Zjednoczonych tańsza od pracy maszyn. Z wypraw do lasu mężczyźni wracają w strasznie ubrudzonych dżinsach i koszulach. Z bielizną też jest sporo roboty.

W ciągu dnia kilka razy mam ochotę zwymiotować, ale powstrzymuję się. Korzystam z okazji i uczę się tego i owego od innych kobiet.

Po długim, podszytym nieufnością milczeniu robią się rozmowne. Dwie przebywają w obozie zaledwie od kilku dni. Nie potrafią uwierzyć, że nikt nie wyrządził im jeszcze krzywdy ani ich nie molestował. Przyciszone głosy i czujne spojrzenia świadczą o napięciu, które nie pozwala im się odprężyć nawet

podczas plotkowania.

Kiedy tak wypruwamy z siebie bebechy – a dokładniej rzecz biorąc, nadwyrężamy ręce i plecy – dowiaduję się, że Abi jest bezsprzecznym faworytem wszystkich kobiet. Bodena i jego kolesi lepiej omijać z daleka. Abi rządzi obozem, ale nie całym ruchem oporu. Pojawiają się podobno głosy, przynajmniej wśród kobiet, że Abi byłby świetnym przywódcą ogólnoswiatowego ruchu oporu.

Myśl, że istnieje człowiek, któremu przeznaczone byłoby przewodzić ludzkości w tych mrocznych czasach, dodaje mi skrzydeł. Pociąga mnie pomysł uczestniczenia w czymś dobrym, słusznym, kierowanym przez ludzi, którzy zostaną bohaterami.

Problem w tym, że mam inne plany. Moim celem jest uwolnienie siostry. Moim celem jest uchronienie matki przed zagrożeniami i znalezienie dla niej bezpiecznego miejsca. Moim celem jest znalezienie jedzenia i dachu nad głową dla mojej rodziny. Dopóki nie zrealizuję tych celów, nie pozwolę sobie na zaangażowanie w istotniejsze z punktu widzenia całej ludzkości wojny u boku bogów i romantycznych bohaterów.

A w tej chwili moim celem jest usunięcie plam z wielkich prześcieradeł, których szerokość i długość o kilkadziesiąt centymetrów przewyższa mój wzrost.

Jakaś kobieta martwi się o męża, który „bawi się w żołnierza”, choć jako programista od dwudziestu lat sporadycznie wstawał od komputera. Użala się nad swoim golden retrieverem zamkniętym w psiarni z pozostałymi zwierzętami.

Okazuje się, że większość psów to w istocie pupile mieszkańców obozu. Żołnierze próbują je wytresować na groźne, agresywne psy wartownicze – jak te, które ścigały Raffego – ale to wymaga czasu. W przeszłości ktoś te psy

nieustannie rozpieszczał i bawił się z nimi, co utrudnia wyszkolenie ich na bezwzględnych morderców. Zostawione same sobie, najchętniej by się łąsiły i uganiały za wiewiórkami.

Dolores zapewnia mnie, że jej pies Punio należy właśnie do kategorii pieszczołów. Jej zdaniem większość psów jest w siódmym niebie, odkąd trafiły do lasu. Kiwam głową z większym zrozumieniem, niż mogłaby przypuszczać. To wyjaśnia, dlaczego wartownicy nie korzystają z pomocy psów. Trudno patrolować teren, kiedy czworonożny partner ugania się za gryzoniami i ujada przez całą noc. Na szczęście zdarzają się i takie korzystne dla nas zbiegi okoliczności.

Próbuję niby przypadkowo skierować rozmowę na temat istot, które częściowo zjadły podróżnych na drodze. Kobiety reagują nieufnymi spojrzeniami i wystraszonymi minami. Jedna wykonuje na piersi znak krzyża. No pięknie. Skutecznie wszystkich uciszyłam.

Biorę do ręki ubrudzoną parę spodni i zanurzam ją w mętnej wodzie. Wykonujemy pracę w milczeniu.

Choć jesteśmy z Raffem więźniami, nikt nas nie pilnuje. A dokładniej rzecz biorąc, nikomu nie polecono nas pilnować. Wszyscy wiedzą, że jesteśmy nowi, w związku z tym wspólnie mają na nas oko. Aby nikt nie zauważył błyskawicznie gojących się ran na głowie Raffego, z samego rana przylepiliśmy mu na czoło dwa opatrunki. W razie problemów planujemy wyjaśnić, że rany na głowie zawsze obficie krwawią, przez co wydawały się większe, niż były w rzeczywistości, ale nikt nie porusza tego tematu.

Raffe wraz z innymi mężczyznami kopie dół obok przenośnych toalet. Jako jeden z niewielu nie zdjął koszuli. Wyraźnie widoczny pas suchego materiału wokół klatki piersiowej zdradza znajdujące się pod spodem bandaże, ale nikt

tego nie zauważa. Fachowym okiem oceniam stopień zabrudzenia jego koszuli. Mam nadzieję, że kto inny dostanie ją do prania.

Ściana wokół latryny lśni w promieniach słońca. Zdumiewa mnie identyczny wygląd prostokątnych skrzynek, z których mężczyźni wznoszą ścianę. Rozpoznaję je dopiero po chwili: to obudowy komputerów. Mężczyźni ustawiają je na sobie i łączą cementem.

– Ano właśnie... – kiwa głową Dolores, kiedy widzi, na co patrzę. – Mój mąż zawsze nazywał swoje gadzety „ceglami”, kiedy stawały się przestarzałe i wychodziły z użycia.

Komputery rzeczywiście wyszły na dobre z użycia. Kiedyś były szczytowym osiągnięciem technologicznym ludzkości, a teraz, dzięki aniołom, budujemy z nich ściany latryn.

Wracam do szorowania spodni na tarce.

Na lunch czekamy całe wieki. Już mam iść po Raffego, kiedy dostrzegam zmierzającą w jego kierunku długonogą kobietę o włosach w kolorze miodu. Jej sposób poruszania się, głos i przechylona głowa działają na mężczyzn jak magnes. Odwracam się i ruszam w stronę kantyny, jakbym nie zauważyła, że idą razem na lunch.

Biorę miskę potrawki z sarniny oraz piętke chleba i błyskawicznie je pożeram. Kilka osób marudzi, że codziennie musi jeść to samo, ale ja nałykałam się w ostatnich dniach tyle suszonego makaronu z zupek błyskawicznych i kociej karmy, że potrafię w pełni docenić smak świeżego mięsa i warzyw z puszki.

Z zasłyszanych rano rozmów wiem, że część jedzenia została znaleziona w okolicznych domach, ale większość pochodzi z magazynu, którego lokalizacja jest utrzymywana w tajemnicy. Ruch oporu zupełnie nieźle radzi sobie z żywieniem

swoich ludzi.

Zaraz po lunchu rozglądam się za Abim. Od rana zamierzałam podjąć kolejną próbę prześlągnięcia go, żeby nas wypuścił. W świetle dnia obóz nie przypomina siedliska zła, więc liczę na to, że Abi zrozumie moje pragnienie wyruszenia na ratunek siostrze. Oczywiście nie potrafiłabym powstrzymać Raffego przed poinformowaniem naszych wrogów o istnieniu obozu, ale raczej nie robi tego przed przybyciem do gniazda. Liczę na to, że do tego czasu obóz przeniesie się w inne miejsce. To kiepskie usprawiedliwienie, ale chwilowo musi wystarczyć.

Abi jest otoczony mężczyznami, którzy z wielką ostrożnością wynoszą jakieś skrzynki z pomieszczeń w magazynie, do których chciałam zajrzeć wczoraj w nocy. Do załadowania każdej skrzynki na pakę ciężarówki potrzeba dwóch osób.

Wszyscy nieruchomieją, gdy jedna ze skrzynek wyslizguje się mężczyźnie z ręki.

Przez kilka sekund ich twarze ogarnia przerażenie. Wymieniają spojrzenia, jakby się upewniali, że wciąż żyją, po czym ruszają ze skrzynką w stronę ciężarówki.

Najwyraźniej w magazynie trzymają coś znacznie bardziej wybuchowego od sarniny i broni palnej.

Próbuję podejść do Abiego, ale drogę zagraża mi wielka klatka piersiowa w mundurze. Podnoszę wzrok i widzę patrzącego na mnie z niechęcią Bodena. To on pojmał nas wczoraj w nocy.

– Wracaj do pralni, kobieto.

– Żartujesz sobie? W którym wieku się urodziłeś?

– W tym. Nastały nowe czasy, laleczko. Pogódź się z tym, zanim wepchnę ci to do gardła. – Opuszcza znacząco wzrok na moje usta. – Głęboko i mocno.

Emanuje z niego pożądanie. I pragnienie użycia siły.

Czuję ukłucie strachu w sercu.

– Muszę pogadać z Abim.

– Jak każda laska w obozie. Chcesz pogadać z Abim? Tu go masz! – Chwyta się wymownie za krocze i potrząsa dłonią, jakby witał się ze swoim fiutem. Pochyla się, przysuwając do mnie twarz. Obscenicznie wywraca językiem. Znajduje się tak blisko, że czuję padające na mnie kropelki potu.

Krew odpływa mi z twarzy. Mam wrażenie, jakby uszło ze mnie powietrze, ale jednocześnie wzbiera we mnie ogromna fala gniewu.

Mam przed sobą ucieleśnienie tego wszystkiego, co zmuszało mnie do czołgania się od samochodu do samochodu, przesiadywania w kryjówkach i drżenia przy każdym dźwięku, do chowania się w cieniu niczym zwierzę. Wszystkiego, co wzbudzało we mnie paraliżujący lęk, że ktoś taki dopadnie mnie, moją siostrę, moją matkę. Mam przed sobą ucieleśnienie istoty, która korzystając ze swojej przewagi fizycznej, poważyla się porwać moją siostrę, bezbronną, kochaną dziewczynkę. Mam przed sobą ucieleśnienie wszystkiego, co stoi między mną a siostrą.

– Co powiedziałeś?

To mówi dziewczyna, która w przeszłości była dobrze wychowana, a teraz uprzejmie daje mu szansę na zrehabilitowanie się.

– Powiedziałem, że...

Dostaje nasadą dłoni w nos. Nie uderzam samą ręką – cios wyprowadzam z bioder, a w zamachu uczestniczy całe ciało.

Czuję, że rozkwaśliłam mu nos, a ponieważ znów zaczął obscenicznie wywijać językiem, przygryza go sobie, kiedy siła odrzucająca jego głowę do tyłu zmusza go do zaciśnięcia zębów.

Z języka tryska krew.

Przyznaję, jestem wkurzona, ale moje działania nie są całkowicie bezmyślne. Może i często gadam coś bez zastanowienia, ale nigdy nie wszczynam bójki, nie zasięgnąwszy najpierw rady rozumu. W tym wypadku uznałam, że odniosę zwycięstwo, jeśli zaatakuję pierwsza. Tego rodzaju oprychy stosują zazwyczaj taktykę zastraszania, oczekując, że słabszy przeciwnik skuli się i wycofa.

Kalkulowałam w ten sposób: jest ode mnie masywniejszy i o trzydzieści centymetrów wyższy, ma za sobą przeszkolenie wojskowe. Gdybym była facetem, pewnie pozwolono by nam walczyć. Kiedy natomiast dziewczyna uderza wielkiego, górującego nad nią faceta, ludzie zakładają, że działa w samoobronie. Dokoła kręci się masa napakowanych facetów, więc w ciągu dziesięciu sekund ktoś na pewno przerwie starcie.

W ten sposób wygram, niewiele ryzykując: po pierwsze, zwrócę na siebie uwagę Abiego, co i tak zamierzałam zrobić, po drugie, upokorzę Kapuścianą Głowę, bo wszyscy zobaczą, jaki z niego brutal, po trzecie, pokażę, że nie warto ze mną zadzierać.

Nie wzięłam jednak pod uwagę, jak wielką krzywdę Boden potrafi wyrządzić w ciągu dziesięciu sekund.

Najpierw przez chwilę wpatruje się we mnie w osłupieniu, które szybko ustępuje miejsca wzbierającej furii.

Zaraz potem wali mnie w twarz z siłą tarana.

Następnie rzuca się na mnie.

Ląduję na plecach, desperacko łapiąc ustami powietrze mimo potwornego bólu, który rozprzestrzenia się po mojej twarzy i płucach. Kiedy Boden siada na mnie okrakiem, wiem, że zostały mi jakieś dwie sekundy. Może jakiś szybkonogi, rycersko usposobiony żołnierz zdąży przed czasem? Może Raffe już pędzi, żeby ściągnąć ze mnie tego goryla.

Boden chwytą mnie jedną ręką za bluzę, a drugą odprowadza do następnego ciosu. A zatem muszę jeszcze przeżyć kolejne uderzenie. Później już na pewno ktoś nas rozdzieli.

Chwytam mały palec dłoni, która trzyma mnie za bluzę, i wykręcam go najsilniej, jak potrafię.

Mało kto wie, że za małym palcem u ręki zawsze podążają dłoń, nadgarstek, ręka i reszta ciała. W przeciwnym razie w którymś z tych miejsc dojdzie do złamania. Boden podrywa się i, zaciskając zęby z bólu, obraca ciało w ślad za palcem.

Dostrzegam otaczający nas tłum.

Wcześniej zaczęłam już podejrzewać, że w obozie mieszkają najbardziej ślamazarni żołnierze na świecie. Myliłam się. Zdumiewająca liczba ludzi zbiegła się zewsząd w rekordowo krótkim czasie. Problem w tym, że zachowują się jak dzieciaki na szkolnym podwórku – śledzą przebieg bójki, ale nie mają najmniejszego zamiaru jej przerywać.

Zaskoczenie okazuje się kosztowne. Boden wbija mi łokieć w lewą pierś.

Ból jest tak straszliwy, że lada chwila będzie po mnie. Zwijam się w kłębek, na ile to możliwe pod stukilową górą mięśni, ale to nie ratuje mnie przed siarczystym policzkiem, który wymierza mi otwartą dłonią.

Teraz dodatkowo mnie obraził, ponieważ gdybym była mężczyzną, uderzyłby mnie zaciśniętą pięścią. Świetnie. Jeżeli ograniczy się do wymierzania policzków, a ja i tak przegram walkę, wszyscy uznają mnie za popychadło.

Gdzie się podział Raffe, kiedy go potrzebuję? Kątem oka dostrzegam go w rozmazanym rzędzie twarzy. Z pełną powagą pisze coś na banknocie, a następnie podaje go mężczyźnie, który zbiera pieniądze od wszystkich dookoła.

Uświadamiam sobie sens tej sceny. Ludzie obstawiają wynik walki!

Co gorsza, ci nieliczni, którzy kibicują mnie, bynajmniej nie obstawiają wygranej. Krzyczą, żebym wytrzymała tylko minutę. Najwyraźniej nikt nie postawił na moje zwycięstwo, tylko że wytrwam przez chwilę.

A ja się spodziewałam rycerskości.

ROZDZIAŁ 19

Blokuję dwa kolejne ciosy Bodena, który wciąż siedzi na mnie okrakiem. Ciosy przyjmuję na przedramiona. Są już tak stłuczone, że na pierwszej warstwie siniaków pojawia się kolejna.

Pozbawiona nadziei na ratunek muszę na serio zaangażować się w walkę. Odrzynam tyłek i nogi od ziemi jak gimnastyczka i oplatom nogami szeroki kark Bodena, wbijając mu kostki w gardło. Szarpię nogami w dół, tymczasem reszta ciała unosi się w górę.

Odrzucony do tyłu Boden otwiera szeroko oczy.

Spłeceni przechylamy się niczym bujany fotel. On ląduje na plecach z nogami wokół mojej talii, a ja niespodziewanie siedzę na górze, wyprostowana, zaciskając mu kostki na gardle.

Zaraz po wylądowaniu na ziemi, walę go pięściami w krocze.

Teraz to on zwija się z bólu.

Wiwatujący tłum jak na komendę milknie. Jedyne odgłosy, jakie słyszę, to jęki Bodena. Wygląda na to, że ma kłopot z oddychaniem.

Na wszelki wypadek podrywam się i kopię go w twarz. Uderzam tak mocno, że przetacza się na drugi bok.

Wyprowadzam kolejne kopnięcia, tym razem celując w brzuch. Dla drobnej osoby, która przy innych zawsze musi zadzierać głowę, nie istnieje pojęcie nieczystej walki. To moje nowe motto i zamierzam się go trzymać.

Zanim kopnięcie trafia celu, ktoś chwyta mnie od tyłu, unieruchamiając ręce. Pobudzone adrenaliną serce wali jak

młotem. Niemal zionę żądzą krwi. Z krzykiem próbuję kopnąć osobę, która mnie trzyma.

– Spokojnie, tylko spokojnie – mówi Abi. – Wystarczy. – Jego aksamitny głos pieści moje ucho, ale ramiona obejmują mnie niczym stalowa klamra. – Ciii... Już po wszystkim... Wygrałaś.

Wyprowadza mnie przez rozstępujący się tłum. Cały czas mnie uspokaja i nieprzerwanie trzyma w uścisku. Posyłam Raffemu najbardziej potępiające spojrzenie, na jakie mnie stać. Mimo groźby, że zostanę sprana na kwaśne jabłko, on nie kiwnął nawet palcem, tylko obstawiał wynik walki. Wciąż ma zasepioną minę, napięte mięśnie, a twarz tak pobladła, że musiała z niej odpłynąć cała krew.

– Gdzie moja wygrana? – pyta Raffe. Dociera do mnie, że zwraca się do kogoś innego, mimo że nadal patrzy na mnie. Zupełnie jakby chciał, żebym usłyszała to pytanie.

– Nie wygrałeś – odpowiada stojący obok mężczyzna. Wygląda na uradowanego. To on zebrał wszystkie zakłady.

– Jak to nie wygrałem? Byłem najbliżej przewidzenia wyniku – warczy Raffe. Z zaciśniętymi pięściami odwraca się przodem do gościa. Wygląda, jakby sam szykował się do bójki.

– Słuchaj, koleś, nie obstawiłeś, że wygra. Nieważne, że byłeś najbliżej...

Ich głosy giną w oddali. Abi niemal wciąga mnie do kantyny. Nie wiem, co jest gorsze – że Raffe nie rzucił mi się na pomoc, czy że obstawił moją przegraną.

Kantyna to duża, otwarta chata wypełniona rzędami stołów i krzeseł turystycznych. Podejrzewam, że w niespełna pół godziny można by je poskładać i przygotować do podróży. Z moich obserwacji wynika, że obóz specjalnie zaprojektowano tak, aby dało się go spakować w niecałą godzinę.

Kantyna jest pusta. Na stołach leżą tace z niedojedzonymi porcjami. Zapewne nikt w obozie nie zamierzał przegapić bójki. Uścisk Abiego słabnie ledwie przestaję mu się wyrywać. Prowadzi mnie do ostatniego stołu przy kuchni na tyłach budynku.

– Siadaj. Zaraz wracam.

Siadam na składanym metalowym krześle. Gwałtowny spadek adrenaliny powoduje, że zaczynam drżeć. Abi zniknął w części jadalnej. Biorę kilka głębszych oddechów, uspokajam się i odzyskuję nad sobą panowanie, zanim wraca z apteczką i workiem mrożonego groszku.

Podaje mi groszek.

– Przyłóż sobie do brody. Pomoże zlikwidować opuchliznę.

Biorę worek, zatrzymuję na chwilę wzrok na dobrze znanym zdjęciu zielonego groszku, po czym przykładam ostrożnie okład do obolałej szczęki. Zdolność do przechowywania zamrożonego jedzenia imponuje mi bardziej niż cokolwiek innego w obozie. Jest coś godnego podziwu w zdolności do zachowania pewnych elementów cywilizacji w czasie, gdy reszta świata osuwa się w mroki średniowiecza.

Abi oczyszcza zadrapania z krwi i ziemi. Poważniejszych kontuzji nie odniosłam.

– To miejsce jest do dupy – mówię. Schłodzona groszkiem szczeka jest zdrętwiała, przez co moje słowa brzmią bełkotliwie.

– Przykro mi. – Wciera maść z antybiotykiem w zadrapania na moich dłoniach. – W obozie panuje tak duże napięcie, ludzie są tak nerwowi, że musieliśmy dać im możliwość rozładowania energii. Cała sztuka polega na tym, żeby robili to pod kontrolą.

– Nazywasz to kontrolowaną sytuacją?

Jego twarz rozjaśnia lekki uśmiech.

– Jestem pewny, że Boden ma inne zdanie. – Teraz wciera

maść z antybiotykiem w moje otarte kłykcie. – Jednym z ustępstw było wprowadzenie zasady, że kiedy dojdzie do bójki, nikt nie ma prawa interweniować, dopóki nie wyłoni się wyraźny zwycięzca lub zagrożone będzie czyjeś życie. Ludziom wolno obstawiać wynik, a to pozwala się wyluzować i walczącym, i widzom.

I tyle, jeśli chodzi o zachowanie resztek cywilizacji.

– Możliwość obstawienia wyniku – kontynuuje – zmniejszyła liczbę bójek. Ludzie nie robią głupot, kiedy wiedzą, że nikt im nie przyjdzie z pomocą, a cały obóz będzie obserwował, jak sobie poradzą.

– A więc wszyscy poza mną znali tę zasadę? Zakazującą interweniowania?

Czy Raffe o tym wiedział?

Nawet jeśli tak, nie zwalniało go to z obowiązku przyjscia mi z pomocą!

– Każdy widz ma prawo włączyć się do bójki, ale wtedy od razu włącza się ktoś z przeciwnego obozu, żeby walka była wyrównana. Obstawiający nie pozwolą, aby z takiego powodu wynik pojedynku był z góry przesądzony.

A ja próbowałam wymyślać wymówki dla Raffego! Mógł się włączyć, tyle że musielibyśmy walczyć z kimś jeszcze. A dla nas to przecież nie pierwszozna.

– Przykro mi, że nikt nie wyjaśnił ci zasad. – Owija mi bandażem krwawiący łokieć. – Rzec w tym, że jeszcze nie mieliśmy bójki z udziałem kobiety. – Wzrusza ramionami. – Najzwyczajniej się tego nie spodziewaliśmy.

– Jak rozumiem, przegrałeś zakład.

Uśmiecha się kwaśno.

– Jedyne, co jestem gotów obstawiać, to przyszłość ludzkości. – Opuszcza ramiona, jakby nie mógł znieść

spoczywającego na nich brzemienia. – A skoro już przy tym jesteśmy, nieźle sobie poradziłaś. Lepiej niż ktokolwiek mógł przypuszczać. Przydałby nam się ktoś taki. Zdarzają się sytuacje, w których taka dziewczyna poradziłaby sobie lepiej od plutonu facetów. – Na jego twarzy pojawia się sztubacki uśmiech. – Pod warunkiem, że nie zamierzasz od razu przywalać każdemu aniołowi, który cię wkurzy.

– Ciekawe, skąd taki pomysł.

– Możemy nad tym popracować. – Wstaje. – Zastanów się nad moją propozycją.

– Tak się składa, że właśnie szłam z tobą porozmawiać, kiedy ten goryl wszedł mi w drogę. Anioły porwały moją siostrę. Musisz mnie wypuścić, inaczej nigdy jej nie znajdę. Przysięgam, że nikomu o was nie powiem. O położeniu obozu, o niczym. Tylko błagam, pozwól mi odejść.

– Przykro mi z powodu twojej siostry, ale nie mogę narazić wszystkich mieszkańców, mając w zastaw tylko twoje słowo. Przyłącz się do nas, a pomożemy ci ją odzyskać.

– Zanim zdążysz zmobilizować odpowiednią liczbę ludzi, będzie za późno. Moja siostra ma siedem lat i porusza się na wózku inwalidzkim. – Żal ściska mi gardło, z ledwością wyduszam z siebie te słowa. Nie potrafię się przemóc, aby powiedzieć głośno to, co oboje wiemy: że może już być za późno.

Potrząsa głową ze smutkiem, mówiąc:

– Przykro mi. Każdy z mieszkańców obozu musiał pochować ukochaną osobę. Przyłącz się do nas, a zobaczysz, że dranie nam za to zapłacą.

– Nie zamierzam składać jej do grobu. Jeszcze nie umarła – cedzę przez zęby. – Znajdę ją i uwolnię.

– Oczywiście. Nie zamierzałem bynajmniej sugerować, że

nie żyje. – Oboje wiemy, że zamierzał, ale udaję, że wierzę w jego zapewnienie. Wielokrotnie słyszałam, jak inne matki mówiły swoim córkom: uprzejmość jest nagrodą samą w sobie. – Niedługo wyruszamy, a wtedy możesz odejść. Jeżeli postanowisz nas opuścić. Mam nadzieję, że zdecydujesz inaczej.

– Niedługo to znaczy kiedy?

– Nie mogę ci udzielić tej informacji, ale powinnaś mieć świadomość, że szykujemy coś naprawdę dużego. Powinnaś wziąć w tym udział. W imię swojej siostry, ludzkości, nas wszystkich.

Jest niezły. Mam ochotę się poderwać i zasalutować, nucąc pod nosem hymn narodowy. Wątpię tylko, czy akurat to by mu się spodobało.

Oczywiście trzymam z ludźmi, ale i tak na moich barkach spoczywa więcej obowiązków, niż powinno. Chciałabym być zwykłą dziewczyną wiodącą zwykłe życie. Największym zmartwieniem powinien być dla mnie wybór sukienki na bal maturalny, a nie rozmyślanie nad planem ucieczki z paramilitarnego obozu, aby uratować siostrę z rąk okrutnych aniołów. A już z pewnością nie przystąpienie do ruchu oporu, który zamierza przeprowadzić kontratak, zmusić anioły do odwrotu i uratować ludzkość. Znam granice swojej wytrzymałości, w ten sposób z pewnością bym je przekroczyła.

Kiwam zatem tylko głową. Niech sobie zinterpretuje ten gest, jak zechce. Nie oczekiwałam, że puści mnie wolno, ale musiałam spróbować.

Wychodzi z kantyny i zaraz potem do środka zaczynają się schodzić ludzie, którzy przerwali lunch. Najwyraźniej wszyscy wiedzieli, sami z siebie lub zostali pouczeni, że nie należy przeszkadzać, kiedy Abi z kimś rozmawia. Co interesujące, Abi zaprowadził mnie do kantyny, zmuszając tym samym

wszystkich, aby czekali, aż skończymy. Wysłał w ten sposób czytelny komunikat: zwróciłam jego uwagę.

Wstaję i wychodzę z wysoko podniesioną głową. Unikam spojrzeń, abym nie musiała z nikim rozmawiać. Torebkę z groszkiem niosę w opuszczonej ręce, aby nie zwracać uwagi na moje obrażenia. Zupełnie jakbym oczekiwała, że ludzie szybko zapomną o bójce. Jeżeli Raffe znajduje się w tłumie, nigdzie go nie dostrzegam. No i dobrze. Mam nadzieję, że przegrał dyskusję z bukmacherem. Zasłużył sobie na to.

Ledwie opuszczam kantinę i wchodzę między budynki, zza chaty wychodzi dwóch rudowłosych chłopaków. Gdyby nie mieli przyjaznych uśmiechów na twarzy, pomyślałabym, że to zasadzka.

Są bliźniakami jednojajowymi. Brudne ubrania nadają im niechlujny wygląd, ale w tych dniach to nic nadzwyczajnego. Sama niewątpliwie wyglądam na równie brudną i wykończoną. Musieli niedawno skończyć po dwadzieścia lat. Są wysocy, szczupli i mają szelmowskie spojrzenia.

– Świetnie się spisałaś. Twarda z ciebie babka – mówi jeden.

– O rany, nieźle utarłaś nosa Jimmy’emu Bodenowi – dodaje drugi. Niemal promienieje z radości. – Nie mogłaś lepiej wybrać.

Stoją, kiwając głowami. Uśmiecham się uprzejmie, a jednocześnie przyciskam zamrożony groszek do brody.

– Jestem Tweedledee – mówi pierwszy.

– A ja Tweedledum – mówi drugi. – Większość ludzi dla ułatwienia używa imienia Dee-Dum, ponieważ nie potrafią nas odróżnić.

– Żartujecie, prawda? – Jak na komendę ściskają sobie dłonie z identycznym, przyjaznym uśmiechem. Przypominają

raczej parę niedożywionych strachów na wróble niż pulchnych Tweedledee i Tweedledum, których pamiętam z dzieciństwa. – Dlaczego mielibyście nadać sobie takie imiona?

Dee wzrusza ramionami.

– Nowy świat, nowe imiona. Zamierzaliśmy się nazwać Gog i Magog.

– To nasze internetowe ksywki – wyjaśnia Dum.

– Tylko po co ten mrok i fatum... – dodaje Dee.

– Bycie Gogiem i Magogiem było fajne w świecie oszalałym na punkcie przepychu i banalnym jak osiedla na przedmieściach – mówi Dum. – Ale teraz...

– Już mniej – kończy Dee. – Śmierć i zniszczenie nikogo nie ruszają.

– To nowy mainstream.

– A my płyniemy z głównym nurtem.

– I woleliśmy się nazwać Tweedledee i Tweedledum.

Przytakuję, bo niby co innego mogę zrobić?

– Ja jestem Penryn. Zostałam nazwana na cześć zjazdu z autostrady międzystanowej numer 80.

– Nieźle. – Kiwają głowami, jakby rozumieli, jak to jest mieć takich dziwnych rodziców.

– Wszyscy o tobie gadają – stwierdza Dum.

Nie jestem pewna, czy powinno mnie to cieszyć. Walka nie potoczyła się dokładnie tak, jak planowałam, ale w sumie co w moim życiu potoczyło się zgodnie z planem?

– Świetnie. Jeżeli pozwolicie, właśnie zamierzam się gdzieś zaszyć.

Uchylam torebkę z mrożonym groszkiem, jakby to był kapelusz, i próbuję przejść między nimi.

– Zaczekaj – powstrzymuje mnie Dee. Ścisza głos do teatralnego szeptu: – Mam dla ciebie propozycję biznesową.

Uprzejmie milczę i czekam. Jeżeli nie chodzi o coś bezpośrednio związanego z ucieczką z obozu, żadnej propozycji biznesowej nie zamierzam przyjmować. Nie chcę mnie przepuścić, nie mam więc wielkiego wyboru i muszę ich wysłuchać.

– Podbiłaś serca tłumu – zaczyna Dum.

– Co byś powiedziała na powtórkę? – pyta Dee. – W zamian za, powiedzmy, trzydzieści procent wygranych?

– O czym wy mówicie? Dlaczego miałabym ryzykować życie dla marnych trzydziestu procent wygranych? Poza tym pieniądze stały się bezwartościowe.

– Och, nie chodzi o pieniądze – mówi Dum. – Używamy banknotów do określania relatywnej wartości zakładu.

Cały się rozpromienia, jakby ekonomia postapokaliptycznego hazardu autentycznie go fascynowała.

– Na banknocie, powiedzmy pięciodolarowym, piszesz swoje imię i treść zakładu. W ten sposób oświadczasz bukmacherowi, że jesteś gotowa postawić coś wartościowszego od banknotu dolarowego, ale mniej wartościowego od banknotu dziesięciodolarowego. To bukmacher decyduje o tym, co kto dostanie i co kto straci. Przegrany może, przykładowo, stracić jedną czwartą dziennych racji żywnościowych albo dostać dodatkowe obowiązki do wykonania w ciągu następnego tygodnia. Z kolei wygrany dostanie czyjeś racje żywnościowe albo ktoś będzie za niego szorował przez tydzień toalety. Łapiesz?

– Łapię. Ale moja odpowiedź nadal brzmi nie. Poza tym nie ma gwarancji, że wygram.

– Nie. – Dee kiwa głową i posyła mi teatralny uśmiech sprzedawcy samochodów. – Chcielibyśmy, żebyś przegrała.

Wybucham śmiechem.

– Miałabym się podłożyć?

– Ciii... – Dee rozgląda się dokoła nerwowo. Stoimy w cieniu między budynkami i chyba nikt nie zwraca na nas uwagi.

– To genialny plan – uśmiecha się szelmowsko Dum. – Po tym, co zrobiłaś Bodenowi, większość i tak postawi na ciebie podczas walki z Anitą...

– Chcecie, żebym walczyła z dziewczyną? – Krzyżuję ręce na piersiach. – Przyznajcie, że chcecie po prostu zobaczyć, jak dwie dziewczyny ciągną się za włosy!

– Nie chodzi tylko o nas – broni się Dee. – To byłby wspaniały prezent dla całego obozu.

– No właśnie – przytakuje Dum. – Po co nam telewizja, skoro mamy wodę i mydliny z pralni?

– Marzenia, chłopaki.

Przeciskam się między nimi.

– Pomożemy ci wydostać się z obozu – rzuca za mną śpiwnym głosem Dee.

Zatrzymuję się. Rozważam w myślach kilka scenariuszy związanych z tym, co właśnie usłyszałam.

– Możemy zdobyć klucze do twojej celi.

– Możemy odwrócić uwagę wartowników.

– Możemy się upewnić, że nikt nie skontroluje celi do samego rana.

– Wystarczy jedna walka, o nic więcej nie prosimy.

Odwracam się.

– Dlaczego mielibyście ryzykować oskarżenie o zdradę w zamian za walkę dwóch dziewczyn w błocie?

– Nie masz pojęcia, co byłbym gotów zaryzykować za szansę obejrzenia dwóch kobiet toczących uczciwą walkę w błocie.

– Poza tym trudno mówić o zdradzie – dodaje Dum. – Abi

cię puści, tylko jeszcze nie teraz. Nie trzymamy tu więźniów. A on wyolbrzymia zagrożenie, jakie dla nas stanowicie.

– Dlaczego?

– Bo chce zwerbować ciebie i tego gościa, który przyszedł z tobą. Abi nie rozumie jednak pewnych rzeczy – mówi Dee. – Sądzi, że jeśli potrzyma was w obozie kilka dni dłużej, zmienicie zdanie i nie odejdziecie.

– Ale my wiemy, że tak się nie stanie. Kilka dni śpiewania patriotycznych pieśni nie sprawi, że zapomnisz o siostrze – dodaje Dum.

– Słusznie prawisz, bracie – mówi Dee.

Przybijają sobie żółwika.

– Pewnie, że słusznie.

Przyglądam im się uważnie. Oni rzeczywiście mnie rozumieją. Jeden nie zostawiłby drugiego. Czyżbym spotkała prawdziwych sojuszników?

– I naprawdę miałabym stoczyć tę idiotyczną walkę, żebyście mi pomogli?

– O tak – mówi Dee. – Inaczej się nie da.

Obaj szczerzą zęby jak para psotnych dzieciaków.

– Skąd to wszystko wiecie? O mojej siostrze? O planach Abiego?

– To nasza praca – mówi Dum. – Niektórzy nazywają nas Dee-Dum. Inni Superszpiegami.

– No dobrze, Superszpiegu Dee-Dum, powiedz mi w takim razie, jak mój przyjaciel obstawił walkę?

Nie ma to oczywiście znaczenia, ale chcę wiedzieć.

– Interesujące – Dee unosi znacząco brwi. – Ze wszystkich rzeczy spytałaś właśnie o to?

Czuję ciepło rozlewające się po policzkach – i to mimo mrożonego groszku, który przyciskam do szczęki. Staram się

sprawiać wrażenie, jakbym nie żałowała, że zadałam to pytanie.

– Co to jest, przedszkole? Mów!

– Obstawił, że wytrwasz w ringu co najmniej siedem minut.

– Dum drapie się po piegopatym policzku. – Uznaliśmy, że zwariował.

Siedem minut to strasznie długo, jeżeli przyjmuje się kolejne ciosy wielkimi pięściami.

– Niewystarczająco zwariował – mówi Dee. Ma tak chłopięcy i przedapokaliptyczny uśmiech, że człowiek prawie zapomina, jak bardzo zmienił się świat. – Powinien był obstawić, że wygrasz. Zgarnąłby kupę forsy. Szanse na wygraną miałaś naprawdę minimalne.

– Założę się, że sam załatwiłby Bodena w dwie minuty – mówi Dum. – Gość wygląda na prawdziwego twardziela.

– Równe dziewięćdziesiąt sekund – twierdzi Dee.

Widziałam Raffego w akcji. Obstawiłabym dziesięć sekund i to przy założeniu, że Boden trzymałby strzelbę, jak tamtej nocy, kiedy nas złapał. Ale nie zdradzam swoich myśli. Wcale nie pociesza mnie fakt, że nie włączył się do walki, aby odegrać bohatera.

– Wyprowadźcie nas dziś z obozu, a umowa stoi – mówię.

– Dziś? To strasznie mało czasu – zauważa Dee.

– Może gdybyś obiecała, że zedrzesz z Anity koszulę... – Dum posyła mi swój firmowy chłopięcy uśmiech.

– Nie przeciągaj struny.

Dee unosi cienką skórzaną torebkę i macha nią, jakby to była przynęta.

– A co powiesz na mały bonus w zamian za zerwanie z niej koszuli?

Sięgam do kieszeni, gdzie powinien się znajdować zestaw wytrychów. Kieszeń jest pusta.

– Hej, to moje!

Wyciągam rękę, ale torebka znika w dłoni Dee. Nie zauważyłam nawet, żeby się poruszył.

– Jak to zrobiłeś?

– Teraz ją widzisz – mówi Dum, machając moją zgubą. Nie mam pojęcia, jak Dee mu ją przekazał. Niby stoją obok siebie, ale powinnam przecież coś zauważyć. Torebka ponownie znika.

– A teraz nie.

– Oddawajcie i to już, przekłete złodziejaszki! Albo z umowy nici.

Dum spogląda na Dee i robi minę smutnego klauna. Dee unosi komicznie brew.

– W porządku – wzdycha Dee. Wręcza mi torebkę. Choć tym razem uważnie się przyglądałam, nie zauważyłam, kiedy odebrał ją od brata. – W takim razie dziś w nocy.

Dee i Dum wyszczerzają w identyczny sposób zęby.

Kręcę głową i oddalam się, zanim zdążą okraść mnie z czegoś innego.

ROZDZIAŁ 20

Próbuję się wyprostować. Moje plecy chrupią i trzeszczą. Zapada zmrok. Wykonałam już niemal wszystkie obowiązki, które wyznaczono mi na dzisiaj. Jak starowinka podpieram sobie krzyż dłonią, a moje ciało powoli się rozprostowuje.

Po zaledwie jednym dniu szorowania ubrań w balii mam opuchnięte i zaczerwienione ręce. Dopiero teraz rozumiem, co to znaczy mieć wysuszone, spękane dłonie, bo zaledwie kilka minut po wyjęciu ich z wody wyglądają, jakby ktoś pociął skórę brzytwą. To przerażające widzieć własną rękę pokrytą tak wysuszonymi ranami, że nawet nie krwawią.

Kiedy jedna z praczek wręczyła mi rano parę gumowych rękawiczek, odmówiłam przekonana, że używają ich tylko starzy ludzie o delikatnej skórze. Kobiety obrzuciły mnie wtedy pobłażliwymi spojrzeniami. Duma nie pozwoliła mi poprosić o rękawiczki po lunchu.

Teraz zaczynam się zastanawiać, czy się nie złamać. Całe szczęście nie zamierzam wrócić jutro do pralni.

Rozglądam się, rozprostowując ramiona, ciekawa, kiedy ta cała Anita mnie zaatakuje. Mocno bym się wkurzyła, gdyby zaczekała do końca dnia roboczego. Jaki sens miałoby wdawanie się w bójkę z dziewczyną, gdybym nie mogła w ten sposób wykręcić się od pracy?

Nieśpiesznie się rozciągam. Unoszę ręce nad głowę i wyginam plecy w łuk.

Boli mnie kark, bolą mnie plecy, bolą mnie ramiona i dłonie, bolą mnie uda i stopy, bolą mnie nawet oczy. W niektórych miejscach rwie mnie od wielogodzinnego

powtarzania tych samych czynności, w innych od wielogodzinnego przebywania w jednej pozycji. Jak tak dalej pójdzie, nie będę musiała się podkładać, tylko uczciwie przegram walkę.

Rozprostowuję nogi, udając, że nie widzę zbliżających się mężczyzn, którzy zakończyli budowę latryny. Jest ich około dziesięciu. Raffe trzyma się z tyłu.

Podchodzą na odległość kilku kroków i zaczynają zdejmować z siebie brudne ubrania. Koszule, spodnie i skarpetki ładują na stosie przeznaczonym do prania. Niektóre trafiają na stertę śmieci. Raffe kopał jamę w ziemi, dzięki czemu uniknął pracy w rzeczywiście toksycznej części latryn, ale nie wszyscy mieli tyle szczęścia. Po chwili mężczyźni zostają w samych bokserkach.

Staram się usilnie omijać wzrokiem Raffego, ale w pewnej chwili uświadamiam sobie, że powinien pójść w ślady reszty i zdjąć koszulę. Być może znalazłby wyjaśnienie dla zabandażowanej klatki piersiowej, ale na pewno nie dla plam z krwi w miejscach, gdzie wyrastały skrzydła.

Wyciągam ręce nad głowę, starając się nie wyglądać na wystraszoną. Wstrzymuję oddech. Może mężczyźni pójdą dalej i nie zauważą ociągającego się Raffego.

Zamiast tego kierują się w stronę budynku, aby wziąć prysznic. Chwytają wąż, którego używałyśmy do napełniania balii, ustawiają się w szeregu i polewają nawzajem wodą. Jestem na siebie zła, że tego nie przewidziałam. To oczywiste, że najpierw muszą się opłukać szlauchem. Kto by chciał, żeby pracownicy budujący latrynę wchodzili pod wspólne prysznice?

Zerkam na Raffego. Zachowuje spokój, ale ponieważ rozpina koszulę niezwykle powoli, rozumiem, że również jest zaskoczony rozwojem sytuacji.

Musiał założyć, że wymknie się po wejściu do budynku. Wszyscy nie mogą wziąć prysznic jednocześnie. Teraz jest w kropce, bo nie ma pretekstu, żeby się oddalić, a jeżeli zdejmie koszulę przy innych, sprawa się wyda.

Raffe kończy rozpinanie koszuli, ale jej nie zdejmuje, tylko zaczyna rozpinąć spodnie. Pozostali mężczyźni zdążyli się już rozebrać, więc jego zachowanie zaczyna budzić podejrzenia. Kiedy dochodzę do wniosku, że powinniśmy na bezczelnego rzucić się do ucieczki, na długich, kształtnych nogach nadciąga rozwiązanie problemu.

Kobieta, która odprowadzała Raffego na lunch, odrzuca na bok włosy w kolorze miodu i uśmiecha się do niego.

Niespodziewanie pojawiają się Dee i Dum.

– Och, cześć Anito! – mówią jednocześnie z lekkim zaskoczeniem, nieco uniesionymi głosami, jakby chcieli, żebym na pewno ich usłyszała.

Anita posyła im zdegrustowane spojrzenie, jakby właśnie charknęli i splunęli. Widziałam to spojrzenie milion razy na szkolnych korytarzach, kiedy popularna dziewczyna piorunowała wzrokiem nedorajdów, którzy ośmielali się z nią zbyt spoufalać przed jej koleżankami. Odwraca się z powrotem do Raffego, a jej twarz łagodnieje w promiennym uśmiechu. Kładzie mu rękę na ramieniu. On właśnie zamierzał zdjąć spodnie.

Takiego pretekstu właśnie mi potrzeba.

Wyciągam zamydloną koszulę z mętnej wody i rzucam nią w Anitę.

Łąduje na jej twarzy z głośnym „plask” i owija się wokół włosów. Piękna fryzura zamienia się w kłębowisko strąków, a osuwający się mokry materiał rozsmarowuje tusz do rzęs i zostawia mokry ślad na bluzce. Anita wydaje z siebie

przeraźliwy pisk. Wszyscy odwracają głowy w naszą stronę.

– Och, przepraszam – mówię słodkim głosem. – Nie podobało się? Myślałam, że właśnie tego chciałaś. Bo jeśli nie, po co miałabyś kłaść łapska na moim facecie?

Z każdą chwilą do wianuszka widzów dołączają kolejni. O tak! Przybywajcie. Chodźcie obejrzeć pokaz. Raffe znika w tłumie, dyskretnie zapinając koszulę. A ja myślałam, że to podczas mojej ostatniej walki miał ponurą minę.

Anita spogląda bezradnie swoimi wielkimi oczami za Raffem. Przypomina przerażonego kociaka, oszołomionego i zranionego. Ogarniają mnie wątpliwości, czy powinnam kontynuować.

Ale właśnie wtedy spogląda na mnie. Potrafi niesamowicie szybko zmienić wyraz twarzy. Rusza w moją stronę, a malujący się na jej obliczu gniew przeradza się w szal.

To szokujące, jak nienawistny wygląd może przybrać piękna kobieta, jeżeli się tylko postara. Albo jest znakomitą aktorką, albo Dee i Dum mieli dodatkowy powód, żeby wciągnąć ją w bójkę. Założę się, że nie ma pojęcia o ich planie. Po co dzielić się zyskami, skoro można się na kimś zemścić? Założę się, że wcześniej Anita wzgardziła chłopakami. Choć wątpię, żeby rzeczywiście ich to uraziło.

– Naprawdę sądzisz, że taki gość zaszczyciłby cię w ogóle spojrzeniem? – Anita ciska we mnie mokrą koszulą. – Będiesz miała szczęście, jeśli zainteresuje się tobą jednonogi starzec.

OK. A zatem mogę kontynuować.

Przechyliłam się, aby koszula na pewno we mnie trafiła.

Zaraz potem rzucamy się na siebie. Kobiecość w pełnej krasie: ciągniemy się za włosy, policzkujemy, szarpiemy za koszule, drapiemy paznokciami. Piszczymy jak cheerleaderki, które wpadły do basenu z błotem.

W pijackim tańcu wpadamy na balię, która pęka i zalewa całą okolicę wodą.

Anita potyka się o fragment balii, a ponieważ trzyma mnie mocno, obie się przewracamy. Splecione przetaczamy się w błocie.

Trudno prezentować się godnie, kiedy ktoś ciągnie cię za włosy, przyciskając głowę do ramienia. Staram się sprawiać wrażenie w pełni zaangażowanej w walkę.

Tłum szaleje, wiwatując i klaszcząc. Kątem oka dostrzegam bliźniaków. Niemal podskakują z radości.

Jak się przegrywa taki pojedynek? Mam się rozbeczeć? Wylądować twarzą w błocie, zwinąć się w kłębek i pozwolić, żeby mnie przez kilka chwil drapała paznokciami? Nie mam zielonego pojęcia, co zrobić.

Wszystkie rozważania przerywa odgłos wystrzału.

Z broni nie wypalił żaden z widzów, ale ktoś znajdujący się w większej odległości. Mimo to wszyscy zamierają i milkną.

Dwa kolejne strzały rozbrzmiewają tuż po sobie.

W lesie echem odbija się krzyk. Bardzo ludzki krzyk, bardzo przerażonego człowieka.

ROZDZIAŁ 21

Wiatr szeleści koronami drzew. Krew pulsuje mi w skroniach.

Przez kilka sekund wszyscy wpatrują się szeroko otwartymi oczami w mroczniejący las, jakby oczekiwali, że wyłoni się z niego jakiś potwór. Później jak na komendę ruszają.

Żołnierze chwytają za pistolety i karabiny, rzucają się biegiem w kierunku, z którego dobiegł krzyk. Ludzie mówią jeden przez drugiego, niektórzy płaczą. Jedni biegną w lewo, inni w prawo. Zewsząd otacza mnie gwar oraz zamęt graniczący z paniką. Podobnie jak psy, mieszkańcy obozu nie są tak dobrze wyszkoleni, jakby sobie tego życzył Abi.

Anita zeskakuje ze mnie. Ma oczy okrągłe jak spodki. Rzuca się za największą grupą ludzi, którzy pędzą w popłochu w stronę kantyny. Wstaję. Jestem rozdarta między pragnieniem sprawdzenia, co się stało, a względnym bezpieczeństwem, jakie zapewnia tłum.

Nagle koło mnie pojawia się Raffe.

– Gdzie są skrzydła?

– Co?

– Gdzie je ukryłaś?

– W drzewie.

Wzdycha. Wyraźnie próbuje zachować cierpliwość.

– Zdradzisz, w którym?

Wskazuję kierunek, z którego dobiegł krzyk. Ostatni żołnierze znikają właśnie między drzewami.

– Możesz mi powiedzieć, jak je znaleźć, czy musiałabyś mnie zaprowadzić?

- Muszę cię zaprowadzić.
- To chodźmy.
- Teraz?
- A będzie lepsza pora?

Rozglądam się dokoła. Wszyscy nadal niezdarnie zbierają różne sprzęty i chowają w budynkach. Nikt nie zwraca na nas najmniejszej uwagi. W takim chaosie nikt nie zauważy naszego zniknięcia.

Oczywiście nie należy zapominać o tym czymś, co wzbudziło panikę.

Wszystkie te przemyślenia muszę mieć wypisane na twarzy, ponieważ Raffe mówi:

- Albo mi powiedz, albo pokaż. Byle teraz.

Zmierzch szybko przeradza się w ciemność. Przechodzą mnie ciarki na myśl, że miałabym po ciemku włóczyć się po lesie, w którym znajduje się coś, co przeraziło uzbrojonego żołnierza.

Ale nie mogę dopuścić do tego, aby Raffe uciekł beze mnie. Kiwam głową.

Wpadamy w pogłębiający się cień najbliższej ścieżki prowadzącej między drzewa. Biegniemy ostrożnie, na palcach.

Padają strzały – jeden po drugim. Kilka karabinów wypala jednocześnie. Może wyprawa do lasu nie była najlepszym pomysłem?

Jakbym nie była dostatecznie przerażona, w zapadającej nocy echem odbijają się krzyki.

Kiedy docieramy do stanowisk obronnych schowanych pod koronami drzew, w lesie zalega cisza. Nie zakłóca jej nawet najdrobniejszy szelest, ptak ani wiewiórka. Szybko zapadają ciemności, ale jest jeszcze dostatecznie widno, abyśmy dostrzegli pobojowisko.

W stronę, skąd dobiegał krzyk, pobiegło około dziesięciu żołnierzy. Tylko pięciu przeżyło.

Pozostali leżą na ziemi niczym zniszczone lalki rozrzucone przez zagniewane dziecko. I podobnie jak zniszczonym lalkom, brakuje im niektórych części ciała. Ręki, nogi, głowy. Zostały oderwane, na co wskazują postrzępione rany.

Krew tryska na wszystkie strony – na drzewa, ziemię, żołnierzy. Słabnące światło odarło ją z koloru, przez co wygląda jak ropa ściekająca z gałęzi.

Pozostali żołnierze stoją w okręgu, mierząc z karabinów we wszystkie strony.

Jestem zdumiona tym, pod jakim kątem trzymają karabiny. Nie celują przed siebie ani w górę, co czyniliby podczas walki z przeciwnikiem poruszającym się pieszo lub w powietrzu. Nie opuścili ich również ku ziemi, jakby nie zamierzali strzelać.

Celują gdzieś pomiędzy, jakby w istoty sięgające do pasa. Pумы? Na okolicznych wzgórzach żyją pумы, choć rzadko się je spotyka. Tyle że pумы nie dokonałyby takiej rzezi. A może dzikie psy? Problem w tym, że masakra nie przypomina skutków ataku zwierzęcia. Raczej bestialską, morderczą napaść, a nie polowanie lub walkę defensywną.

Przypominam sobie słowa Raffego, że rodzina na drodze mogła paść ofiarą ataku dzieci, ale z miejsca odrzucam tę myśl. Uzbrojeni żołnierze nie przestraszyliby się bandy dzieciaków, choćby najbardziej zdziczałych.

Ocaleli wyglądają na przerażonych do żywego, jakby tylko paraliżujący strach powstrzymywał ich od ulegnięcia panice. Pobielale palce zaciśnięte na karabinach. Łokcie przyciśnięte mocno do ciała, jakby chcieli w ten sposób powstrzymać drżenie rąk. Stoją razem niczym ławica ryb w obliczu drapieżnika.

Żadne naturalne zjawisko nie wywołałoby przerażenia tak

wyraźnie wykraczającego poza obawę o krzywdę cielesną, a obejmującego również sferę psychiczną i duchową. Jak obawa przed utratą poczytalności, utratą duszy.

Na widok mężczyzn ciarki przechodzą mi po plecach. Strach jest zaraźliwy. Być może ewolucja wyposażyła nas w ten mechanizm w początkach ludzkości, kiedy większe szanse na przetrwanie miał ten osobnik, który potrafił wyczuć strach kompana, nie tracąc czasu na omawianie sprawy. A może wyczuwam jakieś zagrożenie bezpośrednio. Zagrożenie czymś przerażającym, dostrzeżonym przez pierwotną część mojego mózgu.

Żołądek podchodzi mi do gardła, próbując zwrócić zawartość. Przełykam ją z powrotem, nie zwracając uwagi na pieczenie w gardle.

Chowamy się za dużym drzewem. Zerkam na Raffego, który kuca tuż obok. Patrzy wszędzie tylko nie na żołnierzy, jakby właśnie oni byli jedynymi istotami w lesie, których nie musimy się obawiać. Czułabym się pewniej, gdyby nie wyglądał na tak zaniepokojonego.

Co może wystraszyć anioła, który jest silniejszy, szybszy od człowieka i ma bardziej od niego wyostrzone zmysły?

Żołnierze zmieniają pozycję. Okrąg, w który się ustawili, zmienia kształt na wrzecionowaty.

Powoli wycofują się w stronę obozu, widocznie zaniepokojeni. Cokolwiek ich zaatakowało, najwyraźniej zniknęło. A przynajmniej do takiego wniosku doszli.

Instynkt podpowiada mi, że się mylą, zresztą sami mają chyba podobne zdanie, bo niektórzy wyglądają, jakby najmniejszy szelest mógł ich sprowokować do otworzenia ognia i zasypania gradem kul całego pogrążonego w ciemnościach lasu.

Temperatura gwałtownie spada. Mokry T-shirt przywiera do mojego ciała jak zamarznęta płachta, ale pot i tak ścieka mi ze skroni i oblepia pachy. Obserwując wycofujących się żołnierzy, mam poczucie, jakbym widziała zamykające się drzwi do piwnicy, odcinające mnie od jedyne go źródła światła. Zostałam sama w domu pełnym potworów. Każdy mięsień mojego ciała rwie się do ucieczki za żołnierzami. Instynkt podpowiada, żebym nie wyszła na leszcza, który pozwoli się oddzielić od ławicy.

Spoglądam na Raffego z nadzieją, że doda mi otuchy. Ale on jest w stanie najwyższego pogotowia: wszystkie mięśnie naprężone, oczy przeszukujące mroczniejący las, uszy nastawione, jakby słuchał muzyki.

– Gdzie to jest?

Jego szept jest tak cichy, że znaczenie słów odczytuję w równym stopniu z ruchu warg co dźwięku wypowiedzanych słów.

W pierwszej chwili zakładam, że ma na myśli potwora odpowiedzialnego za masakrę. Zanim zdążę wyszeptać, że niby skąd miałabym to wiedzieć, uświadamiam sobie, że pyta o skrzydła. Wskazuję na odcinek lasu za miejscem, w którym stali żołnierze.

Bezgłośnie przebiega na drugą stronę kręgu zniszczenia, ignorując pozostałości po masakrze. Biegnę za nim na palcach. Za nic w świecie nie chcę zostać sama.

Z konieczności zwracam uwagę na zwłoki. Z widocznych korpusów i oderwanych części ciała nie udałooby się poskładać wszystkich brakujących mężczyzn. Mam nadzieję, że niektórzy zdołali uciec i właśnie z tego powodu ciał jest mniej, niż powinno. Wpadam w poślizg pośrodku pozostałości po krwawej jatce, ale na szczęście odzyskuję równowagę. Myśl, że mogłabym upaść twarzą w stos ludzkich bebechów, mobilizuje

mnie do przebiegnięcia szybko na drugą stronę.

Raffe stoi między drzewami, szukając wzrokiem dziupli. Odnajdujemy ją kilka minut później. Kiedy wyciąga z drzewa owinięte w koc skrzydła, uchodzi z niego napięcie. Przytula się do pakunku, obejmując go opiekuńczo ramionami.

Spogląda na mnie. Wciąż jest na tyle jasno, że dostrzegam wypowiedane bezgłośnie „Dziękuję”. Najwyraźniej naszym przeznaczeniem jest wymieniać się przysługami.

Ciekawe, kiedy będzie za późno, aby przyszyć skrzydła. Gdyby chodziło o odciętą część ciała człowieka, termin przydatności do użycia już by minął. U aniołów sprawy mogą wyglądać zupełnie inaczej. Nie jest zresztą powiedziane, że nawet jeśli anielski chirurg czy magik zdoła je przyszyć, będą sprawne. Może będą już pełniły wyłącznie funkcję dekoracyjną, na podobnej zasadzie, jak szklane oko pomaga ludziom patrzeć na czyjąś twarz bez obrzydzenia.

Zimny wiatr rozwiewa mi włosy. Ocierają się o kark niczym mroźne palce. Las zamienia się w gęstwinę ruchomych cieni. Szum liści brzmi jak tysiące węży syczących nad naszymi głowami. Zerkam do góry, aby sprawdzić, czy tych węży na pewno tam nie ma. Na tle czerniejącego nieba widzę tylko strzeliste sekwoje.

Raffe kładzie mi rękę na ramieniu. Niemal wyskakuję z butów, ale na szczęście zachowuję milczenie. Podaje mi plecak. Sam zatrzymuje skrzydła i miecz.

Wskazuje głową na obóz i rusza śladem żołnierzy. Nie rozumiem, dlaczego chce wrócić, skoro powinniśmy uciekać w przeciwną stronę. Ale ponieważ las tak bardzo mnie przeraził, nie mam zamiaru zostać w tyle ani przerwać milczenia. Zakładam plecak i idę za Raffem.

Trzymam się tak blisko niego, jak tylko mogę. Odrobina

bliżej i musiałabym się tłumaczyć, dlaczego się przytuliłam. Docieramy na skraj lasu.

Na pogrążonym w ciszy obozie kładzie się cętkowany cień siatki maskującej. W oknach nie palą się światła, ale kiedy przyglądam się uważnie budynkom, w niektórych oknach dostrzegam metalowe elementy połyskujące w świetle księżyca. Ciekawe, ile luf karabinów wysunięto za szyby.

Nie zazdroszczę Abiemu, który musi utrzymać porządek w budynkach. Panika stłoczona na niewielkiej przestrzeni musi być koszmarem.

Raffe nachyla się do mnie.

– Będę cię osłaniał, więc dotrzesz bezpiecznie do budynku
– mówi tak cicho, że ledwie go słyszę. – Idź!

Gapię się na niego z głupią miną, mrugając. Nie rozumiem, o co mu chodzi.

– No ale co z tobą?

Potrząsa głową. Niejako z niechęcią. Jakby to nie miało większego znaczenia...

– Będiesz tam bezpieczniejsza. Będiesz bezpieczniejsza daleko ode mnie. Jeżeli wciąż zamierzasz odnaleźć siostrę, idź do San Francisco. Tam znajdziesz gniazdo.

Zostawia mnie. Zostawia mnie w obozie Abiego, a sam odchodzi do gniazda.

– Nie. – Mało brakowało, a wypaliłabym: „Potrzebuję cię”.
– Uratowałam cię. Jesteś mi to winien.

– Posłuchaj uważnie. Będiesz bezpieczniejsza sama niż ze mną. To nie jest przypadek. Tego rodzaju koniec... – wskazuje w kierunku, gdzie doszło do masakry – zbyt często spotyka moich towarzyszy. – Przeczesuje dłonią włosy. – Minęło sporo czasu, odkąd miałem towarzysza, który by mnie osłaniał. Byłem głupi, że uwierzyłem... że tym razem będzie inaczej. Rozumiesz?

– Nie.

To bardziej niezgoda na to, co mówi, niż odpowiedź na pytanie.

Przez chwilę patrzy mi głęboko w oczy. Jego spojrzenie jest tak niesamowicie intensywne.

Wstrzymuję oddech.

Mogłabym przysiąc, że mnie właśnie zapamiętuje. Jego mentalny aparat fotograficzny uwiecznia mnie i tę chwilę. Raffe robi nawet głęboki wdech, jakby rejestrował mój zapach.

Czar pryska, kiedy odwraca się i zostawia mnie samą. Boję się, że sobie to wszystko wyobraziłam.

On rozplywa się w ciemności.

Kiedy robię pierwszy krok, nie widzę już jego sylwetki w mroku. Chcę zawołać jego imię, ale nie odważyłabym się narobić takiego hałasu.

Ciemność oplata mnie ze wszystkich stron. Serce wali mi jak młotem, krzycząc: uciekaj, uciekaj, uciekaj.

Nie mogę uwierzyć, że mnie zostawił. Samą w ciemnościach z demonicznym potworem.

Zaciskam pięści. Wbijam paznokcie w skórę, próbując zebrać myśli. Nie czas na uzalanie się nad sobą. Muszę się skupić, jeśli zamierzam przeżyć dostatecznie długo, aby uratować Paige.

Obóz to najbezpieczniejsze miejsce, w którym mogłabym spędzić noc, ale jeśli tam wrócę, nie wypuszczą mnie aż do rozpoczęcia akcji. A to zajmie dni, jak nie tygodnie. Paige nie może czekać kilka tygodni. Cokolwiek anioły z nią robią, robią to teraz. I tak zmarnowałam już mnóstwo czasu.

Z drugiej strony, co innego mi pozostaje? Uciekać w las? Po ciemku? Samotnie? Na spotkanie potwora, który rozszarpał na strzępy pięciu uzbrojonych mężczyzn?

Desperacko szukam w umyśle trzeciego rozwiązania. Bez rezultatu.

Zbyt długo się waham. Gdyby potwór dopadł mnie teraz, kiedy stoję sparaliżowana niemożnością podjęcia decyzji, straciłabym życie w najgłupszy możliwy sposób. A zatem młot czy kowadło?

Próbuję opanować nerwy. Biorę głęboki oddech i powoli wypuszczam powietrze, mając nadzieję, że mnie to uspokoi.

Odwracam się tyłem do obozu i daję nura w las.

ROZDZIAŁ 22

Nie potrafię się powstrzymać i zerkam przez ramię, czy aby jakaś groźna istota nie podkrada się do mnie od tyłu. Nie żeby potwór zdolny do rozerwania na strzępy uzbrojonych żołnierzy zawracał sobie głowę podchodami. Nie rozumiem, dlaczego ludziom nie wyewoluowała dodatkowa para oczu z tyłu głowy.

Im bardziej zagłębiam się w las, tym większa otacza mnie ciemność. Powtarzam sobie w myślach, że nie podjęłam samobójczej decyzji. W lasach żyje mnóstwo stworzeń – wiewiórek, ptaków, jeleni, zajęcy – a potwór nie zdoła pozabijać wszystkich. Mam spore szanse znaleźć się w tej większości mieszkańców lasu, którzy przetrwają noc. Prawda?

Idę przed siebie, kierując się instynktem. Mam nadzieję, że zmierzam na północ, ale szybko ogarniają mnie wątpliwości, czy to rzeczywiście ten kierunek. Czytałam gdzieś, że kiedy człowiek straci orientację w terenie i musi się kierować wyczuciem, zazwyczaj zaczyna chodzić w kółko po wielkim okręgu. A jeśli zmierzam w niewłaściwą stronę?

Wątpliwości zatruwają umysł, czuję kipiącą w piersi panikę.

Wymierzam sobie w myślach otrzeźwiający policzek. Nie czas na strachy. Obiecałam sobie, że na panikę pozwolę sobie dopiero wtedy, gdy cała i zdrowa znajdę się wraz z Paige i mamą w ładnym domu z kuchnią wypełnioną zapasami.

Dobra, dobra. Na myśl o takiej sytuacji wykrzywają mi się usta, zupełnie jakbym chciała się uśmiechnąć. Czyżbym zaczynała tracić zmysły?

Jako zagrożenie odczytuję każdy szelest i rozedrgany cień,

każdego zrywającego się do lotu ptaka, każdą wiewiórkę wdrapującą się po gałęzi.

Po, jak mi się wydaje, kilku godzinach przedzierania się w ciemności przez las, zauważam cień odsuwający się od pnia drzewa. Przypomina jedną z poruszanych podmuchami wiatru gałęzi. Problem w tym, że oddala się zbyt daleko od drzewa. Wyodrębnia się z większej grupy cieni, po czym łączy się z inną, jeszcze ciemniejszą.

Zamieram. To mógł być jelen, choć miał jakieś dziwne nogi. Przypominał stworzenie dwunożne. A dokładniej rzecz biorąc, kilka stworzeń dwunożnych.

To ostatnie przeczucie potwierdza się, kiedy cienie rozpierschają się i mnie otaczają. Kurczę, że też zawsze muszę mieć rację!

To, co porusza się na dwóch nogach, ma między dziewięćdziesiąt a sto dwadzieścia centymetrów wzrostu i warczy. Trudno nie pomyśleć w takiej chwili o ciałach żołnierzy z wyszarpanymi członkami.

Cienie rzucają się na mnie z taką szybkością, że rozmywają się w ciemne plamy. Coś uderza mnie w ramię. Cofam się, ale ono już dawno zniknęło.

Inne cienie zmieniają pozycje. Niektóre skaczą na przemian do przodu i do tyłu, zupełnie jakby zaczynało je ogarniać szaleństwo. Coś uderza mnie w drugie ramię, zanim dostrzegam, że kolejny cień wyskoczył z kręgu.

Robię chwiejny krok do tyłu.

Nasz sąsiad John trzymał na kominku komplet zębów piranii. Opowiadał, że te żarłoczne, a czasami kanibalistyczne ryby są w istocie dość bojaźliwe i przed atakiem zazwyczaj obijają się o ofiarę, dodając sobie nawzajem odwagi. Mam niepokojące przeczucie, że znalazłam się właśnie w takiej

sytuacji.

Chór dzikich pomruków narasta. Brzmi jak pomieszanie zwierzęcych warkotów z przerażająco ludzkimi chrząknięciami.

Kolejne uderzenie. Tym razem ostry ból rozchodzi się na udzie, jakby pocięły mnie tam brzytwy. Zaczynam drżeć, kiedy ciepły płyn rozlewa się wokół tego miejsca.

Otrzymuję dwa ciosy jeden po drugim. Czyżby zapach krwi wprawiał je w szal?

Kolejne uderzenia w nadgarstek. Tym razem krzyczę od razu na całe gardło.

To nie jest szybkie cięcie, ale powolne – jeżeli migający cień może zrobić cokolwiek powoli. Piekący ból dociera do świadomości sekundę po tym, jak zostałam... ugryziona? Na pewno nie byłabym tak wystraszona, gdybym tylko widziała, jak wyglądają. Jest coś osobliwie przerażającego w niemożności zobaczenia napastnika.

Dyszę tak głośno, że równie dobrze mogłabym krzyczeć.

ROZDZIAŁ 23

Kątem oka dostrzegam ruch. Nie mam czasu, aby przygotować się na kolejne uderzenie, kiedy przede mną staje Raffe. W wyciągniętej dłoni trzyma miecz. Nie usłyszałam nawet szelestu liści. Sekundę temu go nie było, teraz jest.

– Penryn, uciekaj!

Nie potrzebuję dodatkowej zachęty. Uciekam.

Wiem, że to niezbyt rozsądne, ale chwilę później się zatrzymuję. Nie mogę się powstrzymać. Chowam się za drzewem, aby obejrzeć starcie Raffego z demonami.

Teraz wiem, na co zwracać uwagę, więc widzę, że jest ich z pół tuzina. Bez wątpienia poruszają się na dwóch nogach. Bez wątpienia nisko nad ziemią. Mimo to różnią się wielkością. Jeden jest co najmniej trzydzieści centymetrów niższy od pozostałych. Inny wygląda na straszego grubaska.

Drobne sylwetki przypominają ludzi albo anioły, ale poruszają się w sposób odmienny od jednych i drugich. Kiedy już wrzucą najwyższy bieg, ich ruchy stają się płynne, jakby właśnie to było ich naturalne tempo poruszania się. Nie ulega wątpliwości, że nie są ludźmi. Może to jakaś paskudna odmiana aniołów? Czy cherubinów nie przedstawiano jako dzieci?

Raffe łapie jednego, kiedy ten próbuje koło niego przemknąć. Dwa inne również ruszyły do przodu, ale nieruchomieją, gdy widzą, jak Raffe rozcina małego demona.

Wydawszy paskudny pisk, pada na ziemię.

Demony ponawiają ataki na Raffego, powtarzając manewr z obijaniem się i odskakiwaniem. Próbują wytrącić go z równowagi. Dochodzę do wniosku, że lada chwila zaczną go

gryźć, kłuć czy co tam dokładnie robiły.

– Raffe, za tobą.

Chwytam najbliższy kamień i wykonuję zamach. W grze w rzutki trafiałam czasem w dziesiątkę, choć zdarzało mi się również pudłować. A rzut poza tarczę oznaczałby w tym wypadku trafienie w Raffego.

Wstrzymuję oddech, celuję w najbliższy cień i ciskam kamieniem najmocniej, jak tylko potrafię.

Dziesiątka!

Trafiam w cień i go unieruchamiam. Jest niemal zabawne, jak ten pomniejszy demon o mało co nie wywija fikołka do tyłu. Raffe nie musi się dowiedzieć, że mierzyłam w tego drugiego.

Raffe wymachuje jak oszalały mieczem. Rozcina klatkę piersiową kolejnego demona.

– Mówiłem, żebyś uciekała!

Ładna mi wdzięczność. Schylam się i biorę następny kamień. Ten jest poszarpany i tak duży, że ledwie go podnoszę. Chyba mnie poniosło, ale mimo wszystko rzucam nim w kierunku kolejnego demona. Jak łatwo można było przewidzieć, kamień ląduje kilkadziesiąt centymetrów od celu.

Tym razem wybieram mniejszy, bardziej aerodynamiczny. Staram się trzymać z dala od pola walki. Demony mi tego nie utrudniają. Najwyraźniej w ogóle nie rejestrują rzucanych przeze mnie kamieni. Celuję w kolejny cień i z całej siły ciskam w niego kamieniem.

Trafiam w plecy Raffego.

Musiałam uderzyć w ranę, ponieważ anioł zatacza się dwa kroki do przodu i zatrzymuje tuż przed parą demonów. Miecz ma opuszczony, niemal się o niego potyka. Zanim zdąży odzyskać równowagę, następuje atak. Serce skacze mi do gardła.

Raffe unosi miecz, ale brakuje mu czasu na osłonięcie się

przed ukąszeniami.

Krzyczy. Aż mnie coś ściska w żołądku, bo wiem, jaki to straszliwy ból.

Nagle dzieje się coś dziwnego. To znaczy jeszcze dziwniejszego niż wszystko, co zdarzyło się do tej pory. Demony spluwają z obrzydzeniem. Spluwają, jakby próbowały pozbyć się przykrego smaku z ust. Szkoda, że nie mogę ich teraz zobaczyć. Założę się, że robią paskudne miny.

Raffe ponownie krzyczy, kiedy trzeci demon wgryza mu się w plecy. Po kilku wymachach mieczem strąca go. Również ten demon zaczyna się krztusić i głośno spluwać.

Cienie się wycofują. Chwilę później rozplywają się w ciemności.

Zanim zdążę ogarnąć umysłem ten nagły zwrot akcji, Raffe robi coś równie dziwnego. Zamiast zadowolić się zwycięstwem i odejść w swoją stronę, jak na rozsądnego człowieka przystało, rzuca się w pościg za demonami przez pogrążony w ciemności las.

– Raffe!

Do moich uszu dobiegają jedynie słabnące wrzaski demonów. Brzmia tak przeraźliwie ludzko, że dostaję gęsiej skórki. Najwyraźniej każde konające zwierzę wydaje takie odgłosy.

Wreszcie równie niespodziewanie zalega kompletna cisza.

Dygotę samotnie w ciemności. Robię kilka kroków w stronę tej części lasu, gdzie zniknął Raffe. Przystaję. I co mam teraz zrobić?

Wiatr wyziębia moje spocone ciało, ale po chwili nawet on cichnie. Nie jestem pewna, czy powinnam pobiec za Raffem, czy też uciekać w przeciwną stronę. Pamiętam tylko, że skoro próbuję odnaleźć Paige, niezłym pomysłem byłoby utrzymanie

się przy życiu. Dygocę nie tylko z zimna.

Wyteżam słuch. Zadowolilibym się czymkolwiek, choćby stęknieniem. Przynajmniej wiedziałabym, że Raffe żyje.

Podmuchy wiatru poruszają koronami drzew i rozwiewają mi włosy.

Już mam dać za wygraną i wejść w mroczny las, aby go odszukać, kiedy do moich uszu dociera narastający szelest liści. To może być sarna. Cofam się o krok. Albo demony powracające, by dokończyć dzieła.

Trzask odsuwanych gałęzi. Na polanę wkracza istota przypominająca sylwetką Raffego.

Oddycham z ulgą, rozluźniając mięśnie, które nieświadomie napięłam.

Podbiegam do niego z wyciągniętymi rękami, aby go porządnie wyściskać, ale Raffe się cofa. Byłam pewna, że po walce na śmierć i życie nawet takiemu mężczyźnie jak on – to znaczy mężczyźnie nieczłowieczemu – przyjemność sprawiłby uścisk drugiej osoby. Najwyraźniej tą drugą osobą nie jestem ja.

Wyhamowuję przed nim i z zakłopotaniem opuszczam ręce. Nie przestałam się cieszyć z jego powrotu.

– Czyli... dopadłeś je?

Kiwa głową. Czarna krew skapuje mu z włosów, jakby ktoś go nią ochlapał. Spływa na ramiona i brzuch. Koszulę ma rozerwaną na piersi. Musiał nieźle oberwać. W pierwszym odruchu chcę wyrazić z troską, ale się powstrzymuję.

– Wszystko w porządku?

Pytanie jest głupie, ponieważ i tak niewiele mogłabym zrobić, gdyby coś było nie w porządku. Jakoś tak mi się powiedziało.

– Pomijając fakt, że oberwałem kamieniem, jakoś żyję – prycha.

– Przepraszam. – Jest mi strasznie głupio, ale trudno, żebym go błagała o przebaczenie.

– Gdyby w przyszłości nasza cię ochota na sprzeczkę, wolałbym, żebyś najpierw ze mną porozmawiała, a dopiero potem zdecydowała się mnie ukamienować.

– Dobrze, już dobrze – mruczę. – Że też musisz być tak cholernie kulturalny.

Wzdycha wyniośle.

– Jesteś cała?

Kiwam głową. Trudno się zgrabnie wycofać po nieudanej próbie uścisku, przez co stoimy niezręcznie blisko siebie. Jemu chyba też to przeszkadza, ponieważ wymija mnie i wchodzi na polanę. Musiał mnie osłaniać od wiatru, ponieważ znów ogarnia mnie chłód. Raffe bierze głęboki oddech, jakby chciał oczyścić głowę z myśli, po czym powoli wypuszcza powietrze z płuc.

– Co to, u licha, było? – pytam.

– Nie jestem pewny. – Wyciera miecz o koszulę.

– Ale chyba nie jacyś twoi pobratymcy, prawda?

– Nie. – Wsuwa miecz do pochwy.

– Moimi pobratymcami też na pewno nie byli. Jest jakaś trzecia możliwość?

– Zawsze jest jakaś trzecia możliwość.

– Jakieś dziwaczne, przesiąknięte złem demony? To znaczy jeszcze bardziej przesiąknięte złem niż anioły?

– Anioły nie są przesiąknięte złem.

– Rany, jak mogłam się tak pomylić... Och, czekaj. Może taka porąbana myśl przyszła mi do głowy po tym niszczycielskim ataku, który na nas przypuściliście?

Raffe zagłębia się w las po przeciwnej stronie polany. Ruszam za nim truchtem.

– Dlaczego je ścigałeś? – pytam. – Bylibyśmy kilka

kilometrów stąd, zanim zmieniłyby zdanie i ruszyły za nami.

Odpowiada, nie oglądając się:

– Zanadto przypominają istoty, które nie mają prawa istnieć. Kiedy pozwoli się takiej istocie uciec, zawsze prędzej czy później wraca. Uwierz, wiem z doświadczenia.

Przyśpiesza kroku. Truchtam za nim, niemal przylepiona do jego pleców. Nie chcę ponownie zostać sama w ciemnościach. Spogląda na mnie z ukosa.

– Nawet o tym nie myśl – mówię. – Przylepiłam się do ciebie jak mokra koszula do pleców i przynajmniej do świtu nigdzie się nie wybieram.

Opieram się pragnieniu, aby złapać go za ubranie i ułatwić sobie marsz.

– Jak ci się udało dotrzeć do mnie tak szybko? – pytam. Od chwili, gdy krzyknęłam, do jego przybycia upłynęło nie więcej niż kilka sekund.

Niewzruszony przemierza las.

Otwieram usta, aby ponownie zadać pytanie, ale właśnie wtedy odpowiada:

– Szedłem twoim śladem.

Zatrzymuję się ze zdumienia. On idzie dalej, więc natychmiast ruszam biegiem. Nie chcę, aby dzieliły nas więcej niż dwa kroki. W głowie kłębią mi się pytania, ale wypowiedzenie ich na głos byłoby bezcelowe. Ograniczam się do najprostszego.

– Dlaczego?

– Obiecałem, że dotrzesz bezpiecznie do obozu.

– Nie zmierzałam w kierunku obozu.

– Zauważyłem.

– Obiecałeś też, że zaprowadzisz mnie do gniazda. Jak to zamierzałeś zrobić: porzucając mnie samą w ciemnym lesie?

– Miałem nadzieję, że pójdziesz po rozum do głowy i wrócisz do obozu. Najwyraźniej pójście po rozum do głowy przekracza twoje możliwości intelektualne. A tak w ogóle, dlaczego narzekasz? Jestem tu, prawda?

Trudno polemizować z takim argumentem. Rzeczywiście uratował mi życie. Przez chwilę maszeruję w milczeniu, trawiąc uzyskane informacje.

– Twoja krew musi mieć paskudny smak, skoro odstraszyła te istoty – zauważam.

– Rzeczywiście to było odrobinę dziwne.

– Odrobinę dziwne? To było megapokręcone!

Przystaje i spogląda na mnie.

– W jakim ty języku mówisz?

Otwieram usta, żeby zrewanżować się kąśliwą uwagą, ale Raffe mi na to nie pozwala.

– Lepiej ograniczmy rozmowę, dobrze? Może ich być więcej.

Ten argument skutecznie mnie ucisza.

Dopada mnie wyczerpanie, zapewne jakiś rodzaj posttraumatycznego czegoś tam. Tyle że w taką noc towarzystwo anioła to najlepsze, co może mnie spotkać. No i po raz pierwszy od rozpoczęcia przerażającej wędrówki przez las nie muszę się zastanawiać, czy zmierzam we właściwym kierunku. Raffe idzie pewnym krokiem prosto przed siebie. Nigdy się nie waha i tylko czasami delikatnie koryguje kierunek, okrążając jakiś parów albo łąkę.

Nie pytam, czy faktycznie wie, dokąd idzie. Kojąco działa sama świadomość, że zna drogę. Być może anioły, podobnie jak ptaki, dysponują nadzwyczajnym zmysłem orientacji w przestrzeni. Ptaki zawsze wiedzą, w którą stronę odlecieć na zimę i jak wrócić do gniazda, nawet jeśli nie widzą drogi,

prawda? Kto wie, czy w desperacji nie wymyślam jakichś niestworzonych historii, aby poprawić sobie samopoczucie. Jak ludzie, którzy w ciemnościach pogwizdują w myślach.

Szybko tracę orientację. Z wyczerpania niemal majaczę. Po kilku godzinach mozolnego marszu przez las zaczynam się zastanawiać, czy Raffe nie jest upadłym aniołem wiodącym mnie prosto do piekła. Być może kiedy dotrzemy do gniazda, okaże się, że jest to podziemna jaskinia wypełniona siarką i ogniem, nad którym pieką się ludzie. To by wyjaśniało kilka zagadek.

Ledwo zauważam, że wprowadza nas do domku w lesie. Czuję się jak zombie. Pod butami chrzęści potłuczone szkło, jakieś zwierzę czmycha przed nami i znika w ciemnościach. Raffe znajduje sypialnię. Ściąga ze mnie plecak i delikatnie kładzie na łóżku.

Świat odpływa, kiedy moja głowa dotyka poduszki.

We śnie uczestniczę w bójce przy baliach z praniem. Jesteśmy przemoczone mydlinami. Z włosów ścieka mi woda, mokre ubranie ściśle oblepia ciało. Anita ciągnie mnie za włosy i krzyczy.

Tłum stoi tak blisko, że niemal brakuje nam miejsca do walki. Twarze ludzi są powykrzywiane, zbyt mocno odsłaniają zęby i mają przesadnie szeroko pootwierane oczy. Wrzeszczą: „Zedrzyj z niej koszulę!”, „Zedrzyj jej stanik!”. Jakiś gość jak opętany woła raz po raz: „Pocałuj ją! Pocałuj ją!”.

Wtaczamy się na balię, która się roztrzaskuje. Zamiast brudnej wody rozchlapujemy spienioną krew. Moje ubranie nasiąka ciepłą, szkarłatną cieczą. Przerywamy walkę, wpatrzone w krew, której nierzeczywiste ilości wylewają się z balii jak

niewyczerpana rzeka.

Obok nas przepływają ubrania. Koszule i spodnie nasiąknięte krwią, puste i pogniecione, zagubione i pozbawione duszy dawnych właścicieli.

Na szkarłatnych wyspach ubrań płyną skorpiony wielkości szczurów. Mają olbrzymie odwłoki zakończone kolcami. Z ich czubków zwisają kropelki krwi. Na nasz widok podkulają ogony i złowieszczo rozwijają skrzydła. Jestem w zasadzie pewna, że skorpiony nie powinny mieć skrzydeł, ale nie mam czasu na rozważania, ponieważ ktoś krzyczy i wskazuje na niebo.

Znad horyzontu nadciąga mrok. Ciemne, kłębiące się chmury przesłaniają zachodzące słońce. Powietrze wypełnia niskie buczenie przypominające uderzenia miliona owadzych skrzydełek.

Wiatr się wzmacnia i szybko osiąga moc huraganu. Kłębiąca się chmura i jej cień pędzą w naszą stronę. Ludzie rozbiegają się w panice. Ich twarze nagle wyrażają zagubienie i niewinność, jak u wystraszonych dzieci.

Skorpiony wzbijają się w powietrze. Formują chmarę i wyrrywają kogoś z tłumu. Drobną osobkę z bezwładnymi nogami. Dziewczynka krzyczy: „Penryn!”.

„Paige!”, podrywam się z ziemi i biegnę za nimi. Nie zwracam uwagi na morze krwi, które sięga mi już do kostek i coraz bardziej się podnosi.

Biegnę, ile sił w nogach, ale nie potrafię się zbliżyć do mojej siostrzyczki. Potwory unoszą ją w stronę nadciągającej ciemności.

ROZDZIAŁ 24

Kiedy otwieram oczy, przez okno do pokoju wlewa się rozproszone światło słoneczne. Leżę sama w pomieszczeniu, które było kiedyś piękną sypialnią z wysoko zawieszonym sufitem i łukowatymi oknami. Pierwsza myśl: Raffe znów mnie zostawił. Wpadam w panikę. Ale przecież wstało słońce, a ja potrafię sobie poradzić w dzień, prawda? Wiem również, że powinnam zmierzać do San Francisco – jeżeli oczywiście mogę wierzyć słowom Raffego. Wóz albo przewóz.

Zwlekam się z łóżka i człapię korytarzem do salonu. Z każdym krokiem strząsam resztki sennego koszmaru, zostawiając go w mroku nocy, gdzie jego miejsce.

Raffe siedzi na podłodze i przepakowuje mój plecak. Poranne słońce pieści jego włosy, uwydatniając mahoniowe i złociste kosmyki ukryte między czarnymi lokami. Na jego widok uchodzi ze mnie napięcie. Podnosi głowę. W łagodnym świetle jego oczy są bardziej niebieskie niż kiedykolwiek.

Przez chwilę spoglądamy na siebie w milczeniu. Zastanawiam się, jak wyglądam w jego oczach, kiedy tak stoję w złocistych promieniach słońca sączących się przez okna.

Pierwsza odwracam głowę. Rozglądam się w poszukiwaniu czegoś, na czym mogłabym zawiesić wzrok. Wybieram rząd fotografii na kominku. Podchodzę do nich, aby uwolnić się od skrępowania jego spojrzeniem.

Jedno ze zdjęć przedstawia rodzinę: mamę, tatę i trójkę dzieci. Zrobiono je na stoku narciarskim. Przytuleni wyglądają na szczęśliwych. Na kolejnym zdjęciu starszy chłopak w stroju futbolowym przybija piątkę tacie na boisku. Biorę do ręki to, z

którego uśmiechają się do nas dziewczyna w sukni na bal maturalny i przystojny chłopak w smokingu.

Ostatnia fotografia to zrobione z bliska zdjęcie małego chłopca zwisającego do góry nogami z gałęzi drzewa. Jego włosy rozsypały się ku ziemi, a rozchylone w psotnym uśmiechu usta odsłaniają dwa brakujące zęby.

Idealna rodzina w idealnym domu. Rozglądam się po pomieszczeniu, które musiało być pięknym salonem. Pod rozbitym oknem na parkiecie powstała plama od padającego deszczu. Rozrzucone w kącie papierki po cukierkach wskazują, że nie jesteśmy pierwszymi gośćmi.

Przenoszę spojrzenie z powrotem na Raffego. Nadal wpatruje się we mnie charakterystycznym nieprzeniknionym wzrokiem.

Odstawiam fotografię na miejsce.

– Która godzina?

– Wczesne przedpołudnie.

Wraca do przeglądania zawartości mojego plecaka.

– Co robisz?

– Pozbywam się niepotrzebnych rzeczy. Jak słusznie zauważył Abidiasz, nie jesteśmy najlepiej spakowani.

Odrzuca garnek, który z łoskotem toczy się po parkiecie i zatrzymuje dopiero po kilku odbiciach.

– Dom został wyczyszczony z jedzenia do ostatniego okruszka – mówi. – Jest za to bieżąca woda.

Unosi dwie butelki wypełnione wodą. Znalazł też zielony plecak dla siebie. Wkłada do niego jedną butelkę, drugą do mojego plecaka.

– Głodna?

Potrząsa torebką z kocią karmą, którą niosłam w plecaku.

Biorę garść suchych kostek i idę do łazienki. Oddałabym

wszystko za prawdziwy prysznic, ale perspektywa rozebrania się do naga i namydlenia całego ciała wzbudza we mnie poczucie bezbronności, więc niechętnie zadowolam się powierzchownym obmyciem. Wycieram się ręcznikiem pod ubraniem. Ale przynajmniej mam okazję do umycia twarzy i zębów. Spinam włosy w kucyk i zakładam ciemną czapkę.

Czeka nas kolejny długi dzień, ale tym razem spędzimy go na odsłoniętym terenie w słońcu. Mam obolałe i zmęczone stopy. Żałuję, że spałam w butach, niemniej jestem wdzięczna Raffemu, że ich nie zdjął. Gdybyśmy musieli niespodziewanie uciekać do lasu, boso nie zaszłabym daleko.

Kiedy wychodzę z łazienki, Raffe jest gotowy do wymarszu. Woda ścieka mu z mokrych włosów na ramiona. Zmył krew z twarzy. Podejrzewam, że również nie wziął prysznic, ale wygląda rześko, znacznie bardziej rześko niż ja.

Na jego ciele nie widać nawet zadrapań. Zakrwawione dzinsy zmienił na parę bojówek, które zaskakująco dobrze pasują do jego sylwetki. Znalazł również koszulkę z długimi rękawami dopasowaną kolorystycznie do błękitnych oczu. Jest nieco zbyt obcisła w ramionach i zbyt luźna w klatce piersiowej, ale jemu to akurat służy.

Żałuję, że sama nie zdążę przejrzeć szaf w poszukiwaniu nowych ubrań, ale nie chcę marnować czasu. Abi i jego ludzie mogą nas szukać, a co najistotniejsze, Paige nie powinna czekać na ratunek ani chwili dłużej, niż trzeba.

Wychodzimy na dwór.

Ciekawe, jak radzi sobie matka. Niby się o nią niepokoję, ale jednocześnie cieszę się, że się od niej uwolniłam. Tak czy inaczej mam wyrzuty sumienia, że niedostatecznie się nią zajęłam. Matka przypomina ранiego dzikiego kota. Aby otoczyć go prawdziwą opieką, należałoby go wpierw zamknąć w klatce.

Nie wytrzymałybyśmy tego: ani ona, ani ja. Mam nadzieję, że trzyma się z dala od ludzi. Dla dobra wszystkich.

Po przekroczeniu progu Raffe natychmiast skręca w prawo. Jak wczorajszej nocy podążam za nim z nadzieją, że zna drogę. W przeciwieństwie do mnie nie wygląda na obolałego ani nie utyka. Podejrzewam, że przyzwyczajają się do pieszej wędrówki. Wolę o tym nie mówić na głos, żeby nie przypominać mu o utraconych skrzydłach.

Plecak wydaje się znacznie lżejszy. Nie dysponujemy ekwipunkiem potrzebnym do biwakowania na świeżym powietrzu, ale pociesza mnie myśl, że dzięki temu będę mogła szybciej biec. Pewności siebie dodaje mi również nowy nóż przyczepiony do paska spodni. Raffe gdzieś go znalazł i wręczył tuż przed wyjściem. Sama znalazłam kilka noży kuchennych i dwa wetknęłam sobie w buty. W domu musieli mieszkać amatorzy steków. Posiadali wysokiej jakości niemieckie noże wykonane w całości z metalu. Teraz już nigdy nie wrócę do ząbkowanych dziadów z drewnianymi rączkami.

Dzień jest piękny. Nad lasem sekwoi wznosi się jaskrawoniebieskie niebo, a powietrze jest przyjemnie rześkie.

Poczucie odprężenia nie trwa długo. Niepokoję się niebezpieczeństwami czyhającymi w lesie oraz tym, że ludzie Abiego będą próbowali nas schwytać. Podczas zejścia zboczem wzgórza w oddali po lewej stronie dostrzegam fragmenty przecinki, którą musi przebiegać droga.

Idący przodem Raffe przystaje. Robię to samo, wstrzymując oddech. Dopiero wtedy go słyszę.

Płacz. Nie przypomina rozpaczliwych łkań osoby, która właśnie straciła kogoś bliskiego. W ostatnich tygodniach słyszałam je wielokrotnie, więc wiem, o czym mówię. Płacz, który słyszymy, nie wyraża szoku ani niezgody, ale niezmacone

niczym cierpienie osoby pogodzonej z faktem, że będzie go odczuwać do końca życia.

Wymieniamy z Raffem spojrzenia. Co powinniśmy zrobić? Ruszyć ku drodze i ominąć żałobnika? Kontynuować marsz przez las i zaryzykować spotkanie? Prawdopodobnie to drugie będzie bezpieczniejsze. Raffe uważa podobnie. Odwraca się i kontynuuje marsz przez las.

Chwilę później dostrzegamy małe dziewczynki.

Zostały powieszone na drzewie, ale nie za szyję – pętle zaciśnięto pod ramionami wokół klatek piersiowych.

Jedna z dziewczynek jest mniej więcej w wieku Paige, druga z dwa lata starsza, czyli miałyby odpowiednio siedem i dziewięć lat. Starsza wciąż trzyma w dłoni sukienkę młodszej, jakby wcześniej próbowała ją podciągnąć i uchronić od jakiegoś niebezpieczeństwa.

Są ubrane w chyba identyczne sukienki w paski. Nie mam pewności, ponieważ wzór jest zniekształcony przez plamy krwi. Większa część materiału została wydarta i porozcinana. Cokolwiek obgryzło im mięso z nóg i brzuchów musiało zaspokoić apetyt, zanim dotarło do klatek piersiowych. Albo nie potrafiło tak wysoko sięgnąć.

Najstraszliwsze są ich udręczone twarze. Dziewczynki zostały pożarte żywem.

Zginam się wpół i zwracam całą kocią karmę. Odruch wymiotny nie ustaje mimo pustego żołądka.

U stóp dziewczynek płacze wychudzony mężczyzna w średnim wieku w okularach w grubej oprawie. Z jego wyglądu i prezencji wnioskuję, że przerwy na lunch w szkole spędzał samotnie. Łkanie wstrząsa jego całym ciałem. Obejmuje go kobieta. Ma poczerwieniałe oczy.

– To był wypadek – mówi, głaszcząc go po plecach.

– To nie był wypadek – odpowiada mężczyzna.
– Nie zrobiliśmy tego specjalnie.
– Co nie oznacza, że nic się nie stało.
– Oczywiście, że nie – przytakuje kobieta. – Przetrzymamy to jakoś. Wszyscy.

– Kto jest gorszy? On czy my?
– To nie jego wina – mówi kobieta. – On nie potrafi tego kontrolować. Jest ofiarą, a nie potworem.

– Musimy go unicestwić – szepcze mężczyzna. Wstrząsa nim kolejny szloch.

– Tak łatwo spisałbyś go na straty?

Na twarzy kobiety wzbiera wściekłość. Odsuwa się od mężczyzny, który pozbawiony wsparcia wygląda jeszcze żałośniej. Ten wyciąga rękę w kierunku drzewa:

– Nakarmiliśmy go małymi dziewczynkami!

– On jest po prostu chory – mówi kobieta. – Musimy go wyleczyć.

– Jak? – Pochyla się i wbija w nią przenikliwe spojrzenie. – Co zrobimy? Zawieziemy do szpitala?

Kobieta zasłania twarz dłonią.

– Kiedy go odnajdziemy, będziemy wiedzieli, co zrobić. Błagam, uwierz mi!

Mężczyzna odwraca się od niej.

– Posunęliśmy się za daleko. To już nie jest nasz synek. Zamienił się w potwora. Wszyscy zamieniliśmy się w potwory.

Kobieta policzkuje mężczyznę. Zderzeniu dłoni z policzkiem towarzyszy odgłos równie przeraźliwy co wystrzał.

Nie przestają się kłócić. Nie zwracają na nas uwagi, jakby nie chcieli tracić energii na zagrożenie tak błahe w porównaniu z tym, co sami przeżywają. Nie rozumiem pełnego sensu ich słów, niemniej w głowie rodzą mi się mroczne podejrzenia.

Raffe łapie mnie za łokieć i sprowadza w dół zbocza, omijając oszalałą parę i nadjedzone dziewczynki groteskowo zwisające z drzewa.

Mój żołądek zaczyna się burzyć i grozi ponowną eksplozją. Zaciskam mocno usta i zmuszam nogi do podążenia za Raffem.

Nie odrywam wzroku od ziemi i stóp Raffego, starając się usunąć ze świadomości to, co widziałam. Nagle wyczuwam znajomy zapach, na który żołądek reaguje skurczem. Chodzi o siarkowy odór zgniłych jaj. Rozglądam się i w końcu lokalizuję dwa jajka ułożone na stosiku zeschniętych liści. Przez popękaną skorupkę dostrzegam zarys zbrązowiałych żółtek. Wyblakła różowa plama na delikatnej skorupce wskazuje, że jajko zostało ufarbowane.

Spoglądam w górę zbocza. Z tego miejsca mam doskonały widok na dziewczynki powieszone między drzewami.

Nigdy się nie dowiem, czy moja matka umieściła w tym miejscu jajka jako talizman, który ma ochronić nas przed złem, czy też sama dla siebie odgrywa jakąś fantazję, którą prasa opisałaby w artykule zatytułowanym: „Zmusił mnie do tego diabeł”. Obie możliwości są równie prawdopodobne, ponieważ matka przestała brać leki.

Pochyliłam się, wstrząsana odruchami wymiotnymi.

Na ramieniu czuję ciepły dotyk dłoni, a przed moją twarzą pojawia się butelka z wodą. Biorę łyk, płuczę usta i wypluwam. Woda ląduje na jajkach. Z jednego zaczyna się sączyć pociemniałe żółtko, które spływa po skorupce niczym zastygła krew. Drugie, poruszone siłą strumienia wody, stacza się w dół zbocza i w końcu zatrzymuje na korzeniu drzewa. Różowa plama pociemniała niczym rumieniec zawstydzenia.

Ciepłe ramię otacza mnie i pomaga mi wstać.

– Już dobrze – mówi Raffe. – Chodźmy stąd.

Zostawiamy za sobą rozbite jajka i wiszące na drzewie dziewczynki.

Wspieram się na jego ramieniu, aż wreszcie uświadamiam sobie, co robię. Odsuwam się gwałtownie. Nie pozwolę sobie na korzystanie z niczyjego wsparcia, a zwłaszcza anioła.

Teraz, kiedy nie mogę liczyć na jego ciepło, ramię wydaje się wychłodzone i bezbronne.

Przygryzam sobie od środka policzek, żeby zająć myśli bólem.

ROZDZIAŁ 25

Jak rozumiesz to, co się tam wydarzyło? – pytam.

Raffe wzrusza ramionami.

– Myślisz, że karmili demony?

– Może.

– Dlaczego mieliby to robić?

– Dawno zrezygnowałem z prób zrozumienia ludzi.

– Zdajesz sobie sprawę, że nie wszyscy tacy jesteśmy? – pytam. Nie wiem, skąd bierze się we mnie potrzeba usprawiedliwienia się przed aniołem.

Spogląda na mnie znacząco, nie przerywając marszu.

– Gdybyś miał okazję poznać nas przed atakiem, to byś wiedział – dodaje buńczucznie.

– Poznałem – odpowiada, nawet na mnie nie patrząc.

– Skąd?

– Oglądałem telewizję.

Prycham rozbawiona, ale natychmiast zdaję sobie sprawę, że nie żartowałam.

– Serio?

– Chyba wszyscy oglądają, prawda?

Najwyraźniej. Sygnał rozchodził się w powietrzu i był darmowy. Wystarczyłoby, żeby go odebrali, i wiedzieliby o nas wszystko. Trudno może uznać telewizję za manifest rzeczywistości, ale w jakimś stopniu odzwierciedlała nasze największe nadzieje i najstraszliwsze lęki. Ciekawe, co anioły o nas myślą. Jeżeli cokolwiek o nas myślą.

Zastanawia mnie, co poza oglądaniem telewizji Raffe zwykł robić w wolnym czasie. Trudno sobie wyobrazić, aby po

ciężkim dniu wojaczki rozsiadał się na kanapie i relaksował, oglądając w telewizji programy o ludziach. Jak wygląda jego codzienne życie?

– Jesteś żonaty?

Natychmiast żałuję pytania, ponieważ wyobrażenia podsuwa mi wizję Raffego z jakąś beczelnie piękną anielicą, mieszkających z gromadką cherubinków w rezydencji z greckimi kolumnami.

Przystaje i obrzuca mnie srogim spojrzeniem, jakbym powiedziała coś niestosownego.

– Nie daj się zwieść pozorom, Penryn. Nie jestem człowiekiem. Córy człowiecze są zakazane aniołom.

– A co z siostrami człowieczymi? – Próbuję się zawadiacko uśmiechnąć, ale słabo mi to wychodzi.

– To poważna sprawa. Nie znasz historii religii?

Większość wiadomości o religii zdobyłam dzięki matce. Przypominam sobie wszystkie przypadki, kiedy w środku nocy wykrzykiwała mi nad głową jakieś słowa w obcych językach. Tak często przychodziła do mojego pokoju, że kładłam się odwrócona przodem do ściany, aby nie wiedziała, że nie śpię.

Siadała na podłodze obok łóżka, kiwała się do przodu i do tyłu jak w transie, w rękach ścisnęła Biblię i godzinami przemawiała różnymi językami. Te nonsensowne, gardłowe dźwięki układały się w swego rodzaju przepelniony gniewem, monotonny śpiew. Albo przekleństwo.

Kiedy leży się w ciemnym pokoju, przeważnie w półśnie, to taka wizyta może być naprawdę przerażająca. To tyle jeśli chodzi o moją wiedzę religijną.

– Ehm, nie. Raczej niespecjalnie dobrze znam historię religii.

Raffe rusza przed siebie.

– Grupa aniołów zwanych Obserwatorami otrzymała zadanie pilnowania ludzi na Ziemi. Z czasem zaczęła im doskwierać samotność i Obserwatorzy wzięli sobie za żony ludzkie kobiety, choć wiedzieli, że nie powinni. Ich dzieci nazwano *nefilim*. Były wypaczeniem porządku naturalnego. Karmiły się ludźmi, piły ich krew i terroryzowały Ziemię. Obserwatorzy zostali za karę zesłani do Piekła, gdzie pozostaną do Dnia Sądu.

Robi kilka kroków w milczeniu, jakby się zastanawiał, czy powiedzieć mi więcej. Czekam, spragniona każdego skrawka informacji o świecie aniołów, nawet jeśli miałby dotyczyć zamierzchłej przeszłości.

Milczenie robi się wymowne. Nie opowiedział mi całej historii.

– No i? – zachęcam. – Czyli w największym skrócie wynika z tego, że aniołom nie wolno wchodzić w związki z ludźmi. Bo jeśli to zrobią, zostaną potępieni?

– I to bardzo.

– Surowa kara. – Jestem zdumiona, że odczuwam jakiekolwiek współczucie dla aniołów, nawet tych ze starych opowieści.

– Jeżeli uważasz, że aniołowie zostali surowo ukarani, nie wiesz, jaki los spotkał ich żony.

Zupełnie, jakby chciał mnie sprowokować do pytania. Nadarza się okazja do zdobycia nowych informacji. Uświadamiam sobie jednak, że tak naprawdę nie chcę znać kary, jaka spada na człowieka, który zakocha się w aniele. Wpatruję się w milczeniu w trzaskające pod moimi stopami suche igliwie.

Skyline Boulevard kończy się przy autostradzie numer 92.

Skrećamy w biegnącą na północ drogę szybkiego ruchu nr 280, która prowadzi do gęsto zaludnionych południowych przedmieść San Francisco. Jest to główna droga dojazdowa do miasta, więc dobiegający zza naszych pleców warkot ciężarówki nie powinien nas zdziwić. Mimo to jestem zaskoczona.

Minął niemal miesiąc, odkąd słyszałam silnik samochodu. Sprawnych aut nie brakuje, podobnie benzyny, ale nie przypuszczałam, że zostały jeszcze jakieś przejezdne drogi. Kucamy za krzewami i przeczesujemy wzrokiem szosę. Wiatr wdziera się przez materiał mojej bluzy i porusza luźnymi kosmykami włosów, których nie spięłam w kucyk.

Poniżej czarny hummer lawiruje między samochodami. W pewnej chwili się zatrzymuje. Gdyby nie włączony silnik, nie różniłby się niczym od tysięcy innych samochodów tarasujących ulice. Kiedy się poruszał, potrafiliśmy dostrzec ścieżkę oczyszczoną z pojazdów – teraz zauważam, że jest kręta, a odcinkami biegnie nawet w przeciwnym kierunku. Wszystko po to, by nikt nie domyślił się jej istnienia.

Odkąd hummer się zatrzymał, osoba nieświadoma istnienia szlaku miałaby wielki problem z jego dostrzeżeniem. Hummer jest jednym z wielu pojazdów w morzu pustych samochodów, a ścieżka przypadkowym wzorem prześwitów w nieskończonym labiryncie. Z poziomu drogi moglibyśmy prawdopodobnie dostrzec kierowcę i pasażerów, ale z powietrza nikt nie domyśliłby się ich istnienia. Wyraźnie opanowali sztukę chowania się przed wzrokiem aniołów.

– Ludzie Abiego – stwierdza Raffé, dochodząc do tych samych wniosków co ja. – Sprytne – dodaje z szacunkiem.

Rzeczywiście sprytne. Szosy są najbardziej bezpośrednimi szlakami komunikacyjnymi. Hummer gasi silnik i wtapia się w tło.

Chwilę później Raffe wskazuje w górę. Na bezchmurnym niebie majaczą maleńkie kropki. Poruszają się szybko i wkrótce zamieniają się w oddział aniołów uformowanych w klucz. Nad autostradą zniżają lot, jakby wypatrywały ofiar.

Wstrzymuję oddech i kulę się w krzakach. A jeśli Raffe ich przywoła? Po raz kolejny uświadamiam sobie, jak mało wiem o aniołach. Nie potrafię nawet odgadnąć, czy Raffe zamierza ujawnić swoją obecność. Potrafiłby rozpoznać, czy mają wrogie zamiary?

Powiedzmy, że przeniknę do siedziby aniołów. Jak rozpoznam te, które porwały Paige? Warto byłoby znać ich imiona albo oddział, w którym służą. Nieświadomie założyłam, że anioły tworzą zwartą wspólnotę, może niewiele liczniejszą od obozu Abiego. Żywiłam niejasne przekonanie, że jeśli tylko zdołam odnaleźć gniazdo, plan dalszego działania opracuję na miejscu.

Akcja ratunkowa może się okazać znacznie bardziej skomplikowana, niż sądziłam. Skomplikowana, bo Raffe nie potrafi rozpoznać, czy nadlatujące anioły są jego przyjaciółmi czy wrogami. Skomplikowana, bo anioły podzieliły się na wrogie frakcje. Czy potrafiłabym znaleźć miejsce przetrzymywania Paige i tak po prostu z nią stamtąd wyjść, gdybym znalazła się w obozie mogącym pomieścić armię Rzymu?

Kucający obok mnie Raffe przypada do ziemi. Postanowił nie przywoływać aniołów. Nie wiem, czy rozpoznał w nich wrogów, czy też po prostu wolał nie ryzykować.

Wynika z tego, że spotkanie ze swoimi wrogami uważa za bardziej ryzykowne od pieszej wędrówki. Gdyby napotkał przyjazne anioły, mogłyby go zanieść w dowolne miejsce, co pozwoliłoby mu szybciej dotrzeć do lekarza. A skoro

zrezygnował z takiej okazji, zagrożenie musi być duże.

Anioły nie znajdują tego, czego szukały. Wzbijają się wyżej i znikają za horyzontem. Szum powietrza w trakcie lotu musi utrudniać im usłyszenie czegokolwiek. Może właśnie dlatego mają tak wyczulony słuch.

Wypuszczam głośno powietrze z płuc. Hummer pod nami w końcu zapala silnik i rusza krętą drogą w stronę miasta.

– Skąd wiedzieli, że nadlatują anioły? – pyta niemal retorycznie Raffae.

Wzruszam ramionami. Mogłabym zgadywać, ale nie zamierzam się z nim dzielić takimi informacjami. Sprytne z nas małpy, zwłaszcza gdy w grę wchodzi przetrwanie. A w Dolinie Krzemowej pracowały najsprytniejsze, najbardziej kreatywne małpy na świecie. Choć uciekłam z obozu Abiego, czuję przypływ dumy na myśl o planach ludzkości.

Raffae obserwuje mnie z taką uwagą, że zaczynam się zastanawiać, ile z tych przemyśleń da się wyczytać z mojej twarzy.

– Dlaczego ich nie przywołałeś? – pytam.

Teraz jego kolej na wzruszenie ramionami.

– Lekarz mógłby się tobą zająć przed zachodem słońca – dodaje.

Podnosi się z ziemi i otrzepuje.

– Albo wpadłbym prosto w ręce moich wrogów.

Rusza mniej więcej w tym samym kierunku co poprzednio. Podążam za nim.

– Rozpoznałeś ich? – mówię możliwie obojętnym tonem. Chętnie zapytałabym wprost, ilu ich dokładnie jest, ale żeby odpowiedzieć na to pytanie, musiałby mi zdradzić tajemnice wojskowe.

Kręci głową, ale nie podaje wyjaśnienia.

– Nie: nie rozpoznałeś, kim byli, czy nie: nie widziałeś ich dostatecznie dobrze, aby móc ich rozpoznać.

Przystaje, by wygrzebać z paczki resztki kociej karmy.

– Trzymaj. Błagam, napchaj sobie tym buzię. Możesz wziąć moją rację.

Tyle jeśli chodzi o wydobywanie sekretnych informacji. Najwyraźniej nigdy nie zostanę superszpiegiem jak Tweedledee i Tweedledum.

ROZDZIAŁ 26

Potrafisz czymś takim jeździć? – pyta, wskazując na drogę.
– Tak – odpowiadam powoli.

– Idziemy. – Odwraca się w stronę zbocza schodzącego ku autostradzie.

– Tylko czy to będzie bezpieczne?

– Mało prawdopodobne, aby dwie jednostki poleciały w tym samym kierunku w ciągu godziny czy dwóch. Poza tym podróżując samochodem, będziemy mniej narażeni na ataki przydrożnych małp. Pomyślą, że jesteśmy ludźmi Abiego: zbyt dobrze uzbrojonymi i odżywionymi, aby zaryzykować atak.

– Nie jesteśmy małpami. – Czy sama chwilę wcześniej nie pomyślałam, że jesteśmy sprytnymi małpami? Dlaczego poczułam się dotknięta, kiedy on mnie tak nazwał?

Ignoruje mój protest i idzie w dół zbocza.

Czego się spodziewałam? Przepraszam? Opuuszczam temat i ruszam w ślad za nim.

Ledwie wchodzimy na jezdnię, Raffe chwyta mnie za rękę i chowa się za furgonetką. Kucam obok niego i wytyżam słuch. Chwilę później rozpoznaję warkot zbliżającego się samochodu. Kolejny? Zaledwie w odstępnie dziesięciu minut?

Mija nas czarna ciężarówka z platformą przykrytą brezentem. Cokolwiek kryje się w środku musi być duże, masywne i z jakiegoś powodu groźne z wyglądu. Pojazd przypomina ciężarówkę, na którą ludzie Abiego ładowali wczoraj materiały wybuchowe. Przetacza się obok nas, powoli, ale nieubłaganie zmierzając w stronę miasta.

Karawana. Niezwykle rozciągnięta karawana. Założę się o

zawartość mojego plecaka, że z przodu i z tyłu podąża w niej jeszcze kilka innych samochodów. Zachowują odstęp, aby nie rzucać się w oczy. Ludzie w hummerze wiedzieli o nadlatujących aniołach, ponieważ dostali ostrzeżenie z samochodu jadącego przed nimi. W takim układzie nawet gdyby pierwszy samochód wpadł w ręce wroga, reszta karawany pozostałaby bezpieczna. Mój szacunek dla grupy Abiego staje się jeszcze większy.

Kiedy odgłos silnika stopniowo cichnie, wstajemy z kucek i zaczynamy się rozglądać za jakimś pojazdem dla nas. Wolałabym coś dyskretnego, na przykład cichy miejski samochód, w którym nie skończy się nagle benzyna, tyle że to zupełnie nie pasowałoby do ludzi Abiego. Z tego powodu nasz wzrok pada na sporą kolekcję stojących na drodze SUV-ów.

W większości samochodów nie ma kluczyków. Nawet w obliczu końca świata, kiedy paczka krakersów przewyższa wartością mercedesa, ludzie pozabierali kluczyki z porzucanych samochodów. Pewnie z przyzwyczajenia.

Po przejrzeniu kilku pojazdów znajdujemy czarnego SUV-a z przyciemnionymi oknami i kluczykami na siedzeniu kierowcy. Właściciel musiał odruchowo wyciągnąć je ze stacyjki, po czym się zreflektował i zrezygnował z taszczenia bezwartościowego kawałka metalu. Bak jest w jednej czwartej pełny, co, zakładając, że droga będzie przejezdna, powinno nam pozwolić na dojechanie co najmniej do San Francisco. Nie wystarczy nam jednak na powrót.

Powrót? Powrót gdzie?

Uciszam myśli i siadam na fotelu kierowcy. Raffe zajmuje miejsce obok. Udaje mi się zapalić za pierwszym razem, zaraz potem ruszamy na północ drogą nr 280.

Nigdy nie przypuszczałam, że poruszanie się z prędkością

trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę może być tak ekscytujące. Serce wali mi jak młotem, dłonie zaciskam kurczowo na kierownicy, jakby w każdej chwili mogła się wymknąć spod kontroli. Nie jestem w stanie unikać wszystkich przeszkód na drodze, a jednocześnie wypatrywać napastników. Zerkam na Raffego. Uspokajam się nieco, gdy widzę, że przeszukuje wzrokiem otoczenie i popatruje w boczne lusterka.

– A zatem gdzie dokładnie jedziemy? – Nie mam w głowie całego planu miasta, ale kilka razy odwiedziłam San Francisco, więc potrafię zlokalizować najważniejsze miejsca.

– Do dzielnicy finansowej. – Najwyraźniej zna San Francisco na tyle dobrze, że rozróżnia dzielnice. „Ciekawe, skąd to wie”, przebiega mi przez głowę pytanie, ale natychmiast sobie odpuszczam. Na poznawanie świata miał pewnie znacznie więcej czasu ode mnie.

– Ta droga powinna przez nią przechodzić, a przynajmniej gdzieś obok. Oczywiście zakładając, że będzie do końca przejezdna, w co wątpię.

– W pobliżu gniazda obowiązuje porządek. Drogi powinny być przejezdne.

Obrzucam go surowym spojrzeniem.

– Co rozumiesz przez porządek?

– Wjazdu do gniazda pilnują strażnicy. Zanim się do nich zbliżymy, musimy się przygotować.

– Przygotować? Jak?

– W domu, gdzie dziś spaliśmy, znalazłem dla ciebie coś do ubrania. Ja też muszę się przebrać. Później ci wszystko wytłumaczę. Minięcie strażników będzie najłatwiejszą częścią planu.

– Super. A później?

– Później będzie czas na zabawę.

– Normalnie sypiesz informacjami jak z rękawa. Nie wejdę do środka, dopóki mi nie powiesz, w co się pakuję.

– No to nie wchodzi. – Nie mówi tego opryskliwie, ale sens słów jest jasny.

Zaciskam dłonie na kierownicy z taką siłą, że chyba tylko cudem nie pęka.

Oboje zdajemy sobie sprawę, że sojusz zawarliśmy tylko na pewien czas. Żadne z nas nie udaje, że współpraca przetrwa. Ja pomagam mu wrócić do domu ze skrzydłami, a on pomaga mi znaleźć siostrę. Później będę musiała radzić sobie sama. Nie zapominam o tym. Nie zapomniałam ani na chwilę.

Problem w tym, że po dwóch dniach podróży w towarzystwie osoby, która dba o moje bezpieczeństwo, myśl o tym, że zostanę sama, sprawia, że czuję się... samotna.

Ścinam otwarte drzwi jakiejś ciężarówki.

– Myślałem, że potrafisz prowadzić.

Nieświadomie wdusiłam pedał gazu i od jakiegoś czasu pędzimy z prędkością sześćdziesięciu kilometrów na godzinę. Zwalniam do trzydziestu i rozluźniam palce zaciśnięte na kierownicy.

– Nie wtrącaj się do prowadzenia samochodu, to ja nie będę się wtrącać do planowania.

Muszę wziąć głęboki oddech. Przez lata byłam wściekła na tatę za to, że nas zostawił, a ja musiałam podejmować wszystkie trudne decyzje. Teraz aż mnie skręca, gdy Raffe przejmuje dowodzenie i oczekuje, że będę ślepo wykonywała jego polecenia.

Sporadycznie spotykamy przy drodze jakichś obdartusów. Na widok samochodu natychmiast czmychają. Ich spojrzenia, szukanie kryjówki, niezdrowa ciekawość bijąca z podejrzliwych, brudnych twarzy przywodzi na myśl jedno słowo: małpy. Oto w

co zamieniły nas anioły.

Ludzi przybywa, w miarę jak zbliżamy się do miasta. Ścieżka między samochodami robi się mniej kręta.

W końcu z jezdni niemal znikają samochody, a ich miejsce zajmują ludzie. Spoglądają na nas, ale z mniejszym zainteresowaniem niż ci wcześniej, jakby nie dziwił ich samochód jadący ulicą. Im bardziej zbliżamy się do miasta, tym więcej ludzi porusza się jezdnią. Rozglądają się złęknięci, reagując na każdy dźwięk, ale przynajmniej nie siedzą w ukryciu.

W centrum co chwilę napotykam jakąś ruinę. Jak wiele innych miast, San Francisco mocno oberwało. Przypomina spowitą dymem, postapokaliptyczną, nierzeczywistą makabreskę rodem z hollywoodzkiej superprodukcji.

Już z przedmieść dostrzegam w oddali Bay Bridge. Wygląda jak rozpięta nad wodą lina, z której ktoś wyciął kilka odcinków. Widziałam kiedyś fotografie przedstawiające miasto po wielkim trzęsieniu ziemi w 1906 roku. Zniszczenia były olbrzymie, ale jakoś nigdy nie potrafiłam sobie tego wyobrazić.

Już nie muszę. W przeszłości San Francisco składało się z niezliczonych rzędów domów i kamienic wzniesionych tak blisko siebie, że nie dałoby się między nie wcisnąć szpilki. Teraz całe kwartały zamieniły się w osmalone gruzowiska. Deszcze meteorytów, trzęsienia ziemi i tsunami, od których wszystko się zaczęło, dokonały tylko części zniszczeń. Kolejne pojawiły się w wyniku wybuchów gazu, które wzniciły pożary, a te, nieugaszone, rozprzestrzeniły się na sąsiednie dzielnice. Niebo na wiele dni zasnuł krwisty dym. Z miasta pozostały same szkielety wieżowców, gdzieś tam jakiś kamienny kościół i mnóstwo kolumn podtrzymujących powietrze.

Napis krzyczy: „Życie jest piękne!”. Nie wiadomo, jakiemu

produktowi miało towarzyszyć to hasło, ponieważ reszta billboardu jest osmalona. Budynek, na którym go zamocowano, wydaje się nadtopiony, jakby nawet teraz, pod obcym błękitnym niebem, trawił go niemożliwy do ugaszenia pożar.

– Jak mogło do tego dojść? – Dopiero kiedy słyszę swój zdławiony łzami głos, zdaję sobie sprawę, że wypowiedziałam te słowa na głos. – Jak mogliście to zrobić?!

Pytanie wydaje się mieć wymiar osobisty i chyba rzeczywiście tak jest. Kto wie, może to on zdewastował tę część miasta.

Raffe nie odzywa się do końca podróży.

Nad kostnicą góruje kilka lśniących kwartałów dzielnicy finansowej. Wyglądają na niemal nienaruszone. Ze zdumieniem obserwuję, że tuż obok, przy dawnym Południowym Rynku, wyrósł prowizoryczny obóz.

Wymijam jakiś porzucony samochód, ale on niespodziewanie rusza i zajeżdża mi drogę. Wciskam hamulec. Kierowca posyła mi wrogie spojrzenie i odjeżdża. Wyglądał na dziesięciolatka – głowa ledwie wystawała mu nad deskę rozdzielczą.

Obóz ma postać zbiorowiska bud z desek i blachy, jakie widzi się w reportażach o uchodźcach. Jego mieszkańcy wyglądają na wygłodniałych i zdesperowanych, choć na ile mogę się zorientować, nie zaczęli się jeszcze zjadać. Dotykają okien samochodu, jakby skrywał bogactwa, którymi moglibyśmy się z nimi podzielić.

– Zaparkuj w tamtym miejscu – mówi Raffe, wskazując na kilka samochodów stojących przed dawnym parkingiem. Podjeżdżam do nich i zatrzymuję się. – Zgaś silnik. Zamknij drzwi na zamek i zachowaj czujność, dopóki o nas nie zapomną.

– A zapomną? – pytam, obserwując dwóch facetów, którzy

włóżą na maskę samochodu i usadawiają się wygodnie, korzystając z ciepła emitowanego przez rozgrzany silnik.

– Mnóstwo ludzi śpi w samochodach. Prawdopodobnie nie spróbują żadnych sztuczek, dopóki nie pomyślą, że zasnęliśmy.

– A będziemy tu spać? – Jestem pobudzona i ani myślę o udaniu się na spoczynek, zwłaszcza że od gromady zdesperowanych ludzi oddziela mnie cienka szyba.

– Nie. Tylko się przebierzemy.

Sięga na tylne fotele i bierze swój plecak. Wyciąga szkarłatną sukienkę. Materiału jest tak niewiele, że w pierwszej chwili biorę ją za chustkę. Podobnie obcisłą, skąpą sukienkę pożyczyłam kiedyś od przyjaciółki Lisy, kiedy namówiła mnie na wspólne wyjście do klubu. Miała dla nas podrobione dowody tożsamości. Wieczór byłby całkiem udany, gdyby się nie upiła i nie poszła z jakimś studentem. Zostałam sama w obcym miejscu, z którego nie potrafiłam wrócić do domu.

– A to po co? – pytam. Nie przypuszczam, żeby Raffe zamierzał mnie zabrać do klubu.

– Założ ją. Musisz wyglądać najatrakcyjniej, jak tylko potrafisz. To nasza przepustka.

Może jednak zabierze mnie do klubu?

– Ale nie znikniesz z jakąś pijaną studentką, prawda?

– Co?

– Nieważne. – Biorę skąpy kawałek materiału, stosownie dobrane buciki i, ku mojemu zaskoczeniu, parę jedwabnych rajstop. Raffe może i nie wie wszystkiego o ludziach, ale jeśli chodzi o kobiece stroje, wyraźnie nie jest ignorantem. Posyłam mu pełne wyrzutu spojrzenie. Ciekawe, w jakich okolicznościach został ekspertem w tej dziedzinie? On rewanżuje się firmowym chłodnym spojrzeniem, z którego nie potrafię niczego wyczytać.

Nie mam gdzie się schować przed wścibskimi spojrzeniami bezdomnych, którzy siedzą na masce. Zabawne, że traktuję ich jak bezdomnych, choć przecież teraz nikt z nas nie ma domu. Dawniej byli pewnie hipsterami wałęsającymi się po Południowym Targu. Dawniej, czyli dwa miesiące temu.

Na szczęście, jak każda dziewczyna, potrafię się dyskretnie przebrać w miejscu publicznym. Wkładam sukienkę przez głowę i wpycham ją pod bluzę. Wyciągam ręce z rękawów bluzy i, korzystając z jej osłony, obciążam sukienkę na wysokość talii. Zdejmuję buty i dzinsy.

Krawędź sukienki nie sięga tak nisko, jakbym chciała. Nieustannie obciążam dolną część, żeby wyglądać skromniej. Sukienka odsłania zbyt dużą część ud. Wolałabym tymczasem nie zwracać na siebie uwagi w obozowisku pełnym zdesperowanych facetów, gdzie obowiązuje prawo ulicy.

Zaniepokojona spoglądam na Raffego.

– To jedyny sposób – wyjaśnia. Widzę, że on również wolałby tego uniknąć.

Nie zdejmuję bluzy, ponieważ sukienka jest strasznie skąpa. Na imprezie zorganizowanej w cywilizowanym świecie zapewne potrafiłabym się poczuć w niej wygodnie. Może nawet rajcowałoby mnie, że założyłam taki fajny ciuch – choć w sumie nie mam pojęcia, czy rzeczywiście jest fajny, ponieważ nie mogę się obejrzeć w lustrze. Domyślam się tylko, że sukienka jest na mnie o numer za mała, ponieważ ściśle przylega do ciała. Wątpię, czy powinna być aż tak opięta.

Raffe nie ma oporów, aby rozebrać się na oczach obcych. Ściąga T-shirt i spodnie szturmówki, po czym zakłada białą koszulę frakową i czarne spodnie. Świadomość, że gapią się na mnie obcy ludzie, powstrzymuje mnie przed bezceremonialnym obserwowaniem tych zabiegów. Nie mam braci i nigdy

wcześniej nie widziałam rozebranego faceta. To chyba naturalne, że chciałabym na coś takiego popatrzeć, prawda?

Spoglądam na pantofelki, które mi wręczył. Mają ten sam odcień szkarłatu co sukienka. Zupełnie jakby poprzednia właścicielka kazała je wykonać na zamówienie, aby do siebie pasowały. Wysokie, cienkie obcasy mają za zadanie podkreślać urodę nóg, kiedy kobieta usiadzie i założy jedną na drugą.

– Nie będę mogła w nich biec – zauważam.

– Nie będziesz musiała, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem.

– Co za ulga. Na szczęście wszystko zawsze idzie zgodnie z planem.

– Jeżeli coś pójdzie źle, i tak nie zdołasz uciec.

– No tak... Ale nie mogę się w nich również bić.

– Ja cię tu sprowadziłem i w razie czego ja cię obronię.

Chętnie przypomniałabym mu, że to ja zgarnęłam go z jezdni, kiedy przypominał zwierzę potrącone przez samochód.

– Czy to naprawdę jedyny sposób?

– Tak.

Wzdycham i zakładam niepraktyczne sandaalki. Mam nadzieję, że nie zwichnę sobie w nich kostki. Rozpinam bluzę, aby się przejrzeć w lusterku. Sukienka jest tak obcisła, jak podejrzewałam, ale wygląda na mnie lepiej, niż mogłam przypuszczać.

Za to moja twarz i fryzura pasowałyby raczej do skudłaconego szlafroka. Przeczesuję dłonią włosy. Są tłuste i potargane. Usta mam spierzchnięte i złuszczone, policzki poparzone od słońca, a na brodzie widnieje wielobarwny siniak, pozostałość po ciosie, który Boden zadał mi podczas bójk. Na szczęście mrożony groszek zapobiegł opuchliznie.

– Poczekaj – mówi Raffae, otwierając plecak. – Nie

wiedziałem, czego możesz potrzebować, więc zabrałem kilka rzeczy z szafki w łazience.

Podaje mi plecak, wyciągnąwszy z niego najpierw smoking.

Wpatruje się w niego z ponurą miną. Ciekawe, z jakiego powodu nagle sposepniał. W końcu odwracam wzrok i zaglądam do plecaka.

Znajduję grzebień i rozczesuję nim włosy. Są tak tłuste, że w sumie dość łatwo się układają. Nie jestem zachwycona końcowym rezultatem. Nacieram kremem twarz, usta, dłonie i nogi. Chętnie oderwałabym z warg płatki łuszczącej się skóry, ale z doświadczenia wiem, że zaczęłyby krwawić.

Smaruję usta szminką i nakładam tusz do rzęs. Szminka jest upiornie różowa i wyglądam na niezłą lafiryndę. Domyślam się, że właśnie na takim efekcie nam zależy. W plecaku nie znajduję cienia do powiek, więc rozcieram pod oczami odrobinę tuszu, aby dodatkowo przydać sobie zmysłowości. Na brodę nakładam podkład. Na szczęście jest delikatny, bo miejsca w największym stopniu wymagające zakrycia są jednocześnie najbardziej wrażliwe na dotyk. Mam nadzieję, że efekt końcowy wynagrodzi mi te cierpienia.

Kończę makijaż i zauważam, że mężczyźni leżący na masce mi się przyglądają. Zerkam na Raffego, który zajmuje się budową jakiejś konstrukcji złożonej z plecaka, skrzydeł i pasków.

– Co robisz?

– Buduję... – Podnosi wzrok i spogląda na mnie.

Chyba przegapił moment, w którym zdjęłam bluzę. Najwyraźniej był mocno zaabsorbowany czym innym. Teraz spogląda na mnie zdumionym wzrokiem. Źrenice mu się rozszerzają, usta rozchylają – zupełnie, jakby na chwilę stracił

panowanie nad twarzą. Mogę przysiąc, że przestał oddychać na kilka sekund.

– Buduję konstrukcję, dzięki której będzie się wydawało, że mam skrzydła na plecach – wyjaśnia cicho. Słowa wypowiada lekko zachrypniętym, choć aksamitnym tonem, jakby dzielił się osobistym przemyśleniem. Jakby prawił mi pieszczotliwy komplement.

Przygryzam wargę, napominając się w myślach, że po prostu odpowiedział na pytanie. To nie jego wina, że ma hipnotyzująco seksowny głos.

– Nie dostanę się tam, gdzie muszę się dostać, jeśli wezmą mnie za człowieka – wyjaśnia. Spuszcza wzrok i obwiązuje paskiem podstawę jednego ze skrzydeł.

Zakłada pusty plecak z przypiętymi skrzydłami.

– Pomóż mi z marynarką.

Na jej plecach wykonał równoległe nacięcia, przez które może wystawić skrzydła.

No jasne. Marynarka. Skrzydła.

– Skrzydła mają wychodzić na zewnątrz? – pytam.

– Nie, sprawdź tylko, czy nie widać pasków i plecaka.

Oceniam, że skrzydła są solidnie przymocowane. Ostrożnie układam całą konstrukcję w ten sposób, aby zewnętrzne pióra zakrywały paski. Nadal wyglądają jak żywe, niemniej wydają się trochę bardziej przywiedłe niż dwa dni temu. Opieram się pokusie pogłaskania piór, mimo że Raffe nawet by tego nie zauważył.

Skrzydła przylegają do pustego plecaka tak, jakby Raffe złożył je w naturalny sposób. Biorąc pod uwagę ich olbrzymią rozpiętość, trudno uwierzyć, jak niewiele zajmują miejsca. Widziałam kiedyś ponad dwumetrowy puchowy śpiwór zwinięty w małą kostkę, ale nawet to nie może się równać z imponującą

zmianą objętości skrzydeł anioła.

Układałam materiał marynarki pomiędzy skrzydłami i obok nich. Śnieżnobiałe pióra wyzierają z dwóch otworów w ciemnym materiale, ale paski i plecak pozostają dobrze ukryte. Marynarka jest na tyle obszerna, że Raffe wygląda normalnie – jest tylko lekko korpulentny. Kto nie widział go wcześniej, nie powinien się niczego domyślić.

Nachyla się do przodu, aby nie zgnieść skrzydeł o oparcie fotela.

– No i jak to wygląda?

Skrzydła uwypuklają teraz jego cudownie szerokie ramiona i prostą linię pleców. Na szyi zawiązał srebrną muszkę z wesołymi czerwonymi szlaczkami. Pasują kolorystycznie do mojej sukienki. A także do szerokiej szarfy, którą obwiązał się w pasie. Pomijając odrobinę błota rozmazanego na brodzie, Raffe wygląda jak model z hollywoodzkiego czasopisma.

Kształt jego pleców odpowiada mniej więcej temu, jak powinien wyglądać anioł w odpowiednio przerobionej marynarce. Nagle przypominam sobie majestatyczność śnieżnobiałych skrzydeł, kiedy kilka dni temu rozwinął je na samochodzie, szykując się do starcia z przeciwnikami. Zaczynam rozumieć żal, który musiała w nim wzbudzić ich utrata.

Kiwam głową.

– Wszystko wygląda dobrze. Ty wyglądasz dobrze.

Spogląda mi prosto w oczy. Dostrzegam w nich nutę wdzięczności, nutę nostalgii i nutę obawy.

– Nie żebyś... wcześniej wyglądał źle. Chodzi mi o to, że zawsze wyglądasz... wspaniale.

Wspaniale? Chętnie przewróciłabym oczami. Ty idiotko! Nie mam pojęcia, dlaczego to powiedziałam. Odkasłuję.

– Możemy już iść?

Kiwa głową. Thumi uśmieszek rozbawienia, ale widzę go w jego oczach.

– Przejeżdż przez tłum do punktu kontrolnego – mówi, wskazując na znajdujący się po lewej stronie zatłoczony targ. – Kiedy strażnicy cię zatrzymają, powiedz, że chcesz się dostać do gniazda. Słyszałaś, że czasami wpuszczają do środka kobiety.

Przechodzi na tylne siedzenie i kuli się w cieniu. Naciąga na siebie stary koc, w który wcześniej były zawinięte jego skrzydła.

– Mnie tu nie ma – dodaje.

– W takim razie... przypomnij mi, dlaczego się chowasz, zamiast wjechać przez bramę ze mną?

– Anioły nie wchodzą do gniazda przez punkt kontrolny, tylko do niego przylatują.

– Nie możesz wyjaśnić, że jesteś ranny?

– Zachowujesz się jak mała dziewczynka zadająca pytania w trakcie wykonywania tajnej misji. Dlaczego niebo jest niebieskie, tatusiu? Czy mogę zapytać tego pana z karabinem maszynowym, którędy do łazienki? Jeżeli nie zamkniesz dzioba, zostawię cię tu samą. Masz robić dokładnie to, co ci każę, i kiedy ci każę. Nie zadawaj pytań ani nie roztrząsaj każdej odpowiedzi. Jeżeli ci się nie podoba, znajdź sobie inną ofiarę, którą będziesz zadrećcać swoimi pytaniami.

– Dobrze, już dobrze. Wszystko jasne. Rany, niektórzy potrafią być zrzędlivi.

Zapalam silnik i wytaczam samochód z parkingu. Bezdomni protestują. Jeden uderza pięścią w maskę, zsuwając się na ziemię.

ROZDZIAŁ 27

Przejeżdżam przez tłum zgromadzony na Montgomery Street z prędkością o połowę mniejszą, niż gdybym szła pieszo. Ludzie niechętnie usuwają się z drogi, posyłając mi karcące spojrzenia. Ponownie sprawdzam, czy zamki w drzwiach są zamknięte. Nie żeby mogły powstrzymać osobę, która postanowiłaby wybić okno.

Na szczęście przez targowisko przejeżdżają też inni. Przed punktem kontrolnym stoi krótka kolejka samochodów otoczona tłumem ludzi. Najwyraźniej wszyscy próbują się dostać do środka. Zatrzymuję się na końcu kolejki.

Tłum składa się z nieproporcjonalnie dużej liczby kobiet. Wszystkie są czyste i wystrojone, jakby szły na imprezę. Ubrane w jedwabne sukienki i szpilki stoją obok mężczyzn w łańchmanach. Nikogo to nie dziwi.

Punkt kontrolny strzeże wjazdu do dzielnicy finansowej. Ponieważ ocalała tylko niewielka część, jej całkowite odizolowanie od reszty miasta nie byłoby trudne, ale na razie postawiono tymczasowe ogrodzenie zbudowane z segmentów siatki stojących na nóżkach. Połączono je ze sobą, ale w żaden sposób nie przytwierdzono do asfaltu.

Tłum mógłby z łatwością przewrócić ogrodzenie i wdrzeć się do środka, ale ludzie zachowują odstęp, zupełnie jakby było pod prądem.

Chwilę później dostrzegam, że w pewnym sensie tak właśnie jest.

Kilkuosobowe grupki ludzi patrolują ogrodzenie od wewnętrznej strony i dźgają metalowymi prętami wszystkich,

którzy zanadto zbliżą się do siatki. W chwili kontaktu pręta z ciałem rozlega się charakterystyczny trzask, a z końcówki wystrzeliwuje niebieska iskra. Wartownicy używają ościeni do bydła. Patrolujący ogrodzenie mają ponure miny.

Jedyną kobietą wśród wartowników jest moja matka.

Na jej widok uderzam głową w kierownicę, ale niespecjalnie mi to pomaga.

– Co się stało? – pyta Raffe.

– Moja matka tu jest.

– A to problem?

– Kto wie.

Przejeżdżam kilka metrów wraz z posuwającą się kolejką.

Matka podchodzi do swojej pracy z większym zapałem niż inni wartownicy. Wyciąga pręt tak daleko, na ile tylko pozwalają otwory w siatce, i razi prądem każdego, kto tylko się nawinie. W pewnej chwili zaczyna rechotać, kiedy porażony prądem mężczyzna staje jak sparaliżowany i dopiero po dłuższej chwili zatacza się do tyłu poza zasięg jej ramienia. Z zachowania matki wynika, że zadawanie bólu innym sprawia jej przyjemność.

Tyle że ja potrafię rozpoznać, kiedy matka naprawdę się czegoś boi. Ktoś obcy mógłby pomyśleć, że jej rechot wynika ze złośliwości, ale ja wiem, że najprawdopodobniej nie rozpoznaje nawet w swoich ofiarach ludzi.

Pewnie wyobraża sobie, że siedzi zamknięta w klatce otoczonej przez potwory. Może to właśnie była cena za układ, na który poszła z diabłem. A może uznała, że świat sprzysiągł się przeciwko niej. Ludzi musi uważać za potwory w przebraniu szturmujące jej klatkę. Jakimś cudem zdobyła broń i teraz się od nich opędza, korzystając z rzadkiej okazji, aby się na nich odegrać.

– Skąd ona się tu wzięła? – zastanawiam się głośno.

Policzki i tłuste włosy ma usmarowane ziemią, a ubranie podarte na wysokości łokci i kolan. Wygląda, jakby kilka nocy spędziła na ziemi. Z kolei zaróżowione policzki świadczą o tym, że jest zdrowa i najedzona.

– Wszyscy uchodźcy trafiają w to miejsce, jeżeli oczywiście nie zginą gdzieś po drodze.

– Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Wy, ludzie, dysponujecie jakimś przedziwnym instynktem, który pozwala wam się nawzajem odnaleźć. A to jest największe stado w okolicy.

– Miasto. Nie stado. W miastach mieszkają ludzie. W stadach żyją zwierzęta.

Prycha nieuprzejmie.

Dochodzę do wniosku, że postąpię najlepiej, zostawiając matkę w tym miejscu. Wyróżnialibyśmy się tylko w tłumie, a to mogłoby kosztować życie Paige. Zresztą w takich chwilach nie mogę zrobić wiele, aby ulżyć jej cierpieniom. Prędzej czy później ludzie nauczą się trzymać od niej z daleka. Tu jest bezpieczna. Wszyscy jesteśmy dzięki niej bezpieczni. Przynajmniej na razie.

Racjonalna analiza nie zmniejsza poczucia winy, że ją zostawiam. Niestety nie potrafię wymyślić lepszego rozwiązania.

Zmuszam się, aby skupić uwagę na sobie i tym, co się dookoła dzieje. Jeżeli mamy wszyscy przeżyć, nie mogę być zdekoncentrowana.

Stojący przede mną tłum zaczyna przejawiać pewną regularność. Kobiety i nastoletnie dziewczyny, wystrojone i umalowane na miarę skromnych możliwości, napierają na tłum stojący przed nimi, starając się przyciągnąć uwagę strażników. Wielu dziewczynom towarzyszą ludzie wyglądający na ich

rodziców lub dziadków. Kobiety często mają u boku swoich mężów, czasami również dzieci.

Strażnicy kręcą głowami, odmawiając wstępu do gniazda niemal wszystkim. Zdarza się, że jakaś kobieta nie chce w takiej sytuacji ustąpić miejsca kolejnym. Próbuje przebłagać strażników albo zrozpaczona zanosi się płaczem. Anioły są na to obojętne, w odróżnieniu od tłumu. Tłuszcza wchłania odrzuconych, a podekscytowane, rozpychające się ciała wypychają ich do tyłu, aby na koniec wypluć z ostatniego rzędu.

Strażnicy sporadycznie patrzą na kogoś przychylnym okiem. Odnoszę wrażenie, że przepuszczają tylko kobiety. Zanim docieramy do bramy, szczęście dopisuje tylko dwóm.

Podobnie jak ja kobiety te mają na sobie obcisłe sukienki i szpilki. Jedna wchodzi, nie oglądając się za siebie. Stukając obcasami, oddala się pewnie pustą ulicą po drugiej stronie bramy. Druga najpierw odwraca się i posyła całusy mężczyźnie oraz dwójce umorusanych dzieciaków uczepionych siatki, które czmychają na widok zbliżającego się mężczyzny z ościeniem.

Ledwie kobiety wchodzi do środka, ludzie stojący na skraju tłumu czymś się wymieniają. Dopiero po chwili pojmuję, że obstawiają, kto dostanie się do środka. Bukmacher wskazuje na kilka kobiet zbliżających się do strażników, po czym odbiera jakieś przedmioty od innych. Obstawiający to w większości mężczyźni, ale dostrzegam wśród nich również kilka kobiet. Ilekroć jakaś kobieta zostaje wpuszczona do gniazda, któryś z obstawiających oddala się z naręczem dóbr.

Chętnie zapytałabym Raffego o sens tego wszystkiego. Dlaczego ludziom tak zależy na dostaniu się na terytorium aniołów? Po co pozostali koczują pod bramą? Wybieram milczenie, aby nie dać Raffemu dodatkowych argumentów, że zachowuję się jak mała dziewczynka zadająca zbyt wiele pytań.

Tłumię erupcję ciekawości i zadaję jedyne pytanie istotne w odniesieniu do naszego planu:

– A jeśli mnie nie przepuszczą? – Staram się nie poruszać ustami.

– Przepuszczą – odpowiada z pograżonych w ciemności zakamarków pod tylnymi fotelami.

– Skąd wiesz?

– Ponieważ masz odpowiedni wygląd.

– Jaki wygląd?

– Jesteś piękna. – Jego głos przypomina pieszczotę nadlatującą z cienia.

Nikt wcześniej nie powiedział mi, że jestem piękna. Nie poświęcałam dotychczas uwagi swojemu wyglądowi, bo całą energię musiałam skupić na pilnowaniu matki i opiekowaniu się Paige. Oblewam się rumieńcem. Mam nadzieję, że kiedy dotrę do punktu kontrolnego, nie będę przypominała klauna. Jeżeli Raffe ma rację i wtedy prowadzi jedyna droga do gniazda, muszę wyglądać atrakcyjnie. W przeciwnym razie już nigdy nie zobaczę Paige.

Kiedy dojeżdżam na przód chaotycznej kolejki, kilka kobiet niemal rzuca się na strażników. Nie przepuszczają żadnej. Ta scena nie pomaga mi zapomnieć, że mam tłuste włosy. Podjeżdżam do aniołów.

Obrzucają mnie znudzonym spojrzeniem. Jest ich dwóch. Nakrapiane skrzydła wydają się małe i przywiedle w porównaniu ze skrzydłami Raffego. Twarz jednego ze strażników pokrywają drobne zielone plamki, podobne do tych na jego skrzydłach. Na myśl przychodzi mi słowo jabłkowity, taka maść konia. Wystarczy spojrzeć na jego powykrzywianą twarz, aby przypomnieć sobie, że anioły nie są ludźmi. Że Raffe nie jest człowiekiem.

Jabłkowity daje ręką znak, żebym wysiadła z samochodu. Po krótkim wahaniu wykonuję jego polecenie. Nie zażądał tego od dziewczyn w samochodach, które podjeżdżały przede mną.

Obciążam sukienkę, upewniając się, że zakrywa pupę. Strażnicy mierzą mnie wzrokiem. Odruchowo najchętniej bym się przygarbiła i skrzyżowała ręce na piersiach.

Jabłkowity nakazuje mi gestem, żebym się obróciła. Czuję się jak striptizerka i najchętniej kopnęłabym go w zęby, ale powoli obracam się na chwiejnych szpilkach. Paige. Myśl o Paige.

Strażnicy wymieniają spojrzenia. Rozpaczliwie próbuję wymyślić, co jeszcze mogłabym zrobić lub powiedzieć, aby skłonić ich do wpuszczenia mnie za bramę. Skoro zdaniem Raffego to jedyna droga, niepowodzenie nie wchodzi w grę.

Jabłkowity macha ręką, że mogę jechać dalej.

Stoję przez chwilę jak wmurowana.

Zaraz potem odwracam się na wypadek, gdyby się rozmyślili. Wsiadam do samochodu z taką nonszalancją, na jaką mnie tylko stać.

Włoski na karku jeżą mi się w oczekiwaniu na dźwięk gwizdka, szarpnięcie za ramię albo warknięcie owczarka niemieckiego obwążującego mnie od tyłu, jak na starych filmach wojennych. Bo przecież trwa wojna, prawda?

Nic takiego się nie dzieje. Uruchamiam silnik, a oni mnie przepuszczają.

Znów dowiedziałam się czegoś nowego o aniołach: nie uznają ludzi za zagrożenie. Kilka małąp dostanie się do ich gniazda przez wyrwy w ogrodzeniu albo będzie sobie po niej jeździć w swoich samochodzikach? A co to za problem? Bez trudu mogliby spacyfikować i powstrzymać wdzierające się do środka zwierzęta.

– Gdzie jesteśmy? – pyta Raffe z cienia za moimi plecami.

– W piekle – odpowiadam. Utrzymuję jednostajną prędkość trzydziestu kilometrów na godzinę. Ulice są puste i mogłabym jechać nawet dziewięćdziesiątką, ale nie chcę zwracać na nas uwagi.

– Jeżeli tak sobie wyobrażasz piekło, musisz być wyjątkowo niewinna. Szukaj czegoś przypominającego klub. Dużo światła, dużo kobiet. Zaparkuj w okolicy, byle nie za blisko.

Rozglądam się po upiornie opustoszałych ulicach. Kilka żałośnie wyglądających kobiet, przemarzniętych od hulającego po San Francisco wiatru, zmierza chwiejnym krokiem w sobie tylko wiadomą stronę. W końcu dostrzegam tłum ludzi pod jakimś budynkiem w bocznej uliczce.

Podjeżdżam bliżej i widzę grupkę kobiet otaczających wejście do klubu nocnego utrzymanego w stylistyce art déco lat 20. XX wieku. Kobiety na pewno marzną w skąpych sukienkach, mimo to stoją wyprostowane i wydają się atrakcyjnie. Wejścia strzegą anioły ubrane w smokingi z rozcięciami na plecach pozwalającymi na wysunięcie skrzydeł.

Parkuję samochód dwie przecznice za klubem. Wkładam kluczyki do kieszonki w osłonie przeciwsłonecznej. Stare buty wstawiam do wnęki na nogi po stronie pasażera, skąd w razie potrzeby będę je mogła szybko zabrać. Żałuję, że nie zmieszczą się w wyszywanej cekinami kopertówce, do której zdołałam wepchnąć tylko małą latarkę i składany nóż.

Wyślizguję się z samochodu, Raffe wypelza za mną. Czuje uderzenie wiatru i w jednej chwili moją głowę otacza burza rozwichrzonych włosów. Obejmuję się rękami. Przydałby mi się płaszcz.

Raffe przypina sobie miecz do pasa. W smokingu wygląda

jak dżentelmen starej daty.

– Przepraszam, ale nie mogę oddać ci marynarki. Kiedy podejdziemy bliżej, nie możesz wyglądać na przemarzniętą, żeby nikt się nie zainteresował, dlaczego cię nie okryłem.

Wątpię, aby kogokolwiek zastanowiło, dlaczego anioł nie użył marynarki dziewczynie, ale nic nie mówię.

– Nie rozumiem, dlaczego teraz możesz się już bezpiecznie pokazać.

Posyła mi zmęczone spojrzenie, jakbym znów zadała bezsensowne pytanie.

– Dobrze, poddaję się – mówię, unosząc ręce. – Ty wydajesz rozkazy, ja je wykonuję. Po prostu pomóż mi znaleźć siostrę.

Wykonuję gest, jakbym zamknęła usta na kluczyk i go wyrzuciła.

Raffe poprawia marynarkę, która i tak leży na nim prosto. Czyżby się denerwował? Podaje mi ramię, które przyjmuję, i ruszamy chodnikiem.

Początkowo jest spięty. Jego oczy przeczesują otoczenie. Czego wypatruje? Czyżby faktycznie miał tylu wrogów? Po kilku krokach rozluźnia się, ale nie jestem pewna, czy w sposób naturalny, czy wymuszony. Tak czy inaczej, wyglądamy na parę, która wyszła wieczorem się zabawić.

W miarę jak zbliżamy się do klubu, dostrzegam kolejne szczegóły. Niektóre anioły mają na sobie staromodne garnitury, jakie nosili gangsterzy w latach 40., oraz filcowe kapelusze z zawadiackimi piórkami. Długie łańcuszki zegarków sięgają do kolan.

– A to co? Bal przebierańców? – pytam.

– Taka obecnie panuje moda – wyjaśnia zwięźle, jakby tego nie pochwalał.

– A co się stało z zakazem spoufalania się z córami człowieczymi?

– Doskonałe pytanie. – Zaciska zęby, a jego szczeka robi się kwadratowa. Nie chciałabym być w skórze osoby, od której zażąda wyjaśnień w tej sprawie.

– A zatem za robienie dzieci ludzkim kobietom spotyka was potępienie, ponieważ *nefilim* są be – mówię – ale wszystko inne...?

Wzrusza ramionami.

– Najwyraźniej uznali, że przepisy nie są jasne. Kto wie, czy nie będą się za to smażyć w piekle – mówi, po czym dodaje szeptem, jakby do siebie: – Ale ogień piekielny bywa niekiedy kuszący.

Myśl, że nadludzkie istoty mogą być podatne na człowiecze pokusy i słabości, przyprawia mnie o gęsią skórę.

Mijamy przecznicę i ledwie wychodzimy zza osłony budynku, ponownie zderzam się ze ścianą wiatru. Tunele aerodynamiczne to pestka w porównaniu z ulicami San Francisco.

– Postaraj się nie wyglądać na zmarzniętą.

Prostuję się, choć najchętniej skuliłabym się z zimna. Na szczęście sukienka nie jest na tyle długa, żeby wiatr mógł ją poderwać.

Tracę szansę na dowiedzenie się czegoś więcej, ponieważ podchodzimy do tłumu przed wejściem. Cała scena wygląda dość surrealistycznie. Mam poczucie, jakbym opuszczała obóz dla uchodźców i wkraczała do ekskluzywnego klubu nocnego, gdzie mężczyźni noszą smokingi i palą cygara, a kobiety chodzą wystrojone w eleganckie suknie i biżuterię.

Zimne powietrze najwyraźniej nie przeszkadza stojącym na zewnątrz aniołom, które leniwie wydmuchują dym z cygar. Kto

by pomyślał, że anioły palą? Tyle że przypominają raczej gangsterów niż nabożnych cherubinków. Każdemu narzucają się ze swoimi wdziękami co najmniej dwie kobiety. Niektórych otaczają cztery albo więcej. Z zasłyszanych skrawków rozmów wynika, że wszystkie próbują desperacko zwrócić na siebie uwagę.

Raffe przechodzi przez kłębiący się tłum, zmierzając w stronę drzwi. Strzeże ich para aniołów, ale Raffe nawet nie zwalnia kroku. Trzyma mnie za łokieć, a ja podążam za nim. Jeden ze strażników obrzuca nas badawczym spojrzeniem, zupełnie jakby szóstym zmysłem wyczuwał zagrożenie.

Jestem pewna, że nas zatrzyma.

I faktycznie zagraża drogę, ale dwóm kobietom, które próbują wejść do środka. Wymijamy je, kiedy tłumaczą, że ich anioł przez nieuwagę zostawił je na zewnątrz i na pewno oczekuje ich w środku. Strażnik zdecydowanie kręci głową.

Najwyraźniej trzeba mieć przy sobie anioła jako wejściówkę, aby dostać się do gniazda. Wypuszczam powietrze z westchnieniem ulgi, kiedy wślizgujemy się przez drzwi.

ROZDZIAŁ 28

Wnętrze, za sprawą łukowatego sklepienia zawieszonego dwie kondygnacje wyżej oraz elementów stylistyki art déco, ma klimat foyer przeznaczonego dla ludzi z dobrego towarzystwa. Dominują w nim lekko zakręcone, połączane schody, tworzące wymarzoną scenografię dla kobiet w długich sukniach i mężczyzn we frakach, wyrafinowanego sposobu wyrażania się i rozmów o rodzinnych koligacjach. Jak na ironię, z fresku na sklepieniu spoglądają na nas pulchne cherubinki.

Z boku znajduje się długi marmurowy kontuar, za którym spodziewałabym się zobaczyć kilku recepcjonistów. Choć w tej chwili jest opuszczony, samym swoim istnieniem przypomina, że budynek jeszcze dwa miesiące temu był eleganckim hotelem. Zresztą do końca opuszczony nie jest – stoi za nim człowieczek, który na tle marmurowych i anielskich wspaniałości wydaje się bardzo drobny i bardzo ludzki.

Hol wypełniają grupki rozgadanych i roześmianych osób w strojach wieczorowych. Większość kobiet to ludzie – tylko od czasu do czasu po sali przechadza się jakaś anielica. Męska część składa się z ludzi i aniołów. Ludzie pełnią głównie funkcje lokajów – roznoszą drinki, zabierają puste kieliszki i przyjmują do szatni płaszcze od nielicznych kobiet, które miały szczęście je posiadać.

Raffe przystaje tylko na krótką chwilę. Rzuca okiem na salę, po czym wchodzi w szeroki korytarz wyłożony marmurową posadzką i aksamitnymi tapetami. Oświetlenie foyer i korytarza jest bardziej nastrojowe niż praktyczne, co powoduje, że wiele ścian jest pograżonych w delikatnym cieniu. Raffe bez wątplenia

to zauważył. Choć nie mogę powiedzieć, abyśmy przemykali chyłkiem przez budynek, na pewno staramy się nie zwracać na siebie uwagi.

Niesłabnący potok ludzi przepływa przez parę wielkich drzwi obitych skórą i ozdobionych mosiężnymi wykończeniami. Przez tłum przepychają się trzy anioły. Wszystkie są szerokie w barach, poruszają się z wdziękiem, a każda wypukłość mięśni świadczy dobitnie o tym, że muszą być sportowcami. Nie, sportowcy tu nie pasują. W umyśle dźwięczy mi inne słowo: wojownicy.

Dwóch wyrasta głowami i ramionami ponad tłum. Jeżeli ich nazwałabym niedźwiedziami, to trzeciego gepardem – jest bardziej krępy i zwinny. Wszystkim u pasa kołyszą się miecze. Pomijając Raffego i strażników, nie widziałam wcześniej aniołów z mieczami.

Raffe nachyla ku mnie głowę i uśmiecha się szeroko, jakbym właśnie powiedziała coś zabawnego. Jego twarz znajduje się tak blisko, że mogłabym się spodziewać pocałunku. Zamiast tego stykamy się czołami.

W oczach przechodzących aniołów Raffe musi wyglądać na mężczyznę okazującego uczucie kobiecie. Tyle że nie widzą jego oczu, a one wyrażają ból – i to tego rodzaju, którego nie da się wyleczyć aspiryną. Kiedy anioły nas wymijają, Raffe niezauważalnie obraca ciało w ten sposób, że jest do nich cały czas zwrócony plecami. Śmieją się z czegoś, co powiedział ten o wyglądzie geparda. Raffe przymyka oczy, dusząc w sobie jakieś słodko-gorzkie uczucie, którego nie mogłabym nawet pojąć.

Jego twarz znajduje się tak blisko mojej, że nasze oddechy się łączą. Ale on przebywa myślami gdzieś daleko, zmagając się z dojmującymi i przykrymi emocjami. Cokolwiek odczuwa, jest bardzo ludzkie. Ogarnia mnie przemożne pragnienie, aby

wyciągnąć go z tego stanu, zająć jego uwagę czymś innym.

Kładę dłoń na jego policzku. Jest ciepły i przyjemny w dotyku. Może nawet zbyt przyjemny. Oczy Raffego pozostają zamknięte, a ja z wahaniem dotykam ustami jego ust.

W pierwszej chwili nie reaguje, a mnie przechodzi przez myśl, aby się wycofać.

Zaraz potem pocałunek staje się pożądliwy.

To nie jest delikatny pocałunek, jaki wymienia para na pierwszej randce, ani pocałunek mężczyzny motywowanego czystym pożądaniem. Raffe całuje mnie z desperacją konającego człowieka, który wierzy, że dostąpi w ten sposób wiecznego życia. Gwałtowność, z jaką ściska mnie w talii i ramionach, i przytłaczający napór jego ust sprawiają, że tracę równowagę. Zaczyna mi się kręcić w głowie, odpływam myślami.

Nacisk łagodnieje, pocałunek nabiera zmysłowości.

Z jedwabnego dotyku jego ust i języka wypływa przyprowadzające o drzenie ciepło, które przenika mnie do głębi. Moje ciało stapia się z jego ciałem. Każda cząstka mojej świadomości jest upojona dotykiem umięśnionej klatki piersiowej przylegającej do mojego biustu, ciepłym uściskiem jego dłoni na talii i ramionach, wilgotnym zetknięciem naszych ust.

Nagle koniec.

Raffe odsuwa się ode mnie i łapczywie wciąga do płuc haust powietrza, jakby właśnie wynurzył się na powierzchnię wzburzonego oceanu. Głęboka toń jego oczu wiruje od emocji.

Zamyka powieki, do ostatniej chwili nie odrywając ode mnie wzroku. Uspokaja oddech, wypuszczając powoli powietrze z płuc.

Kiedy ponownie otwiera oczy, są bardziej czarne niż niebieskie. A także całkowicie nieprzeniknione. Zatrzasnął

wszystkie okna do swojego wnętrza i pozostaje dla mnie zagadką, co dzieje się w środku.

Cokolwiek dostrzegłam w jego oczach chwilę wcześniej, ukrył tak głęboko, że zaczynam się zastanawiać, czy sobie tego wszystkiego nie wymyśliłam. Jediną oznaką emocji jest wciąż przyśpieszony oddech.

– Powinnaś wiedzieć, że... – mówi tak cicho, że prawdopodobnie nawet inne anioły nie potrafiłyby wyłować poszczególnych słów z szumu wypełniającego salę – w sumie niespecjalnie cię lubię.

Sztywniej w jego objęciach. Nie wiem, czego się spodziewałam, ale na pewno nie takiego wyznania.

Ja wszystkie uczucia mam bez wątpienia wyraźnie wymalowane na twarzy. A w tej chwili jedno z nich – upokorzenie – rozlewa się szerokim rumieńcem.

Raffe odsuwa się ode mnie, jakby nic się nie wydarzyło, odwraca się i przechodzi przez dwuskrzydłowe drzwi.

Zostaję w korytarzu ze wzrokiem utkwionym w rozhuśtane drzwi. Po chwili nieruchomieją.

Z drugiej strony przechodzi przez nie jakaś para. Anioł obejmuje ramieniem kobietę ubraną w długą srebrną suknię wyszywaną cekinami, która opina jej ciało i migoce przy każdym ruchu. On ma na sobie fioletowy garnitur i jaskraworóżową koszulę z szerokim kołnierzem rozchylonym na ramiona. Oboje obrzucają mnie badawczym spojrzeniem.

Kiedy mężczyzna ubrany we fioletowy garnitur i jaskraworóżową koszulę obrzuca kobietę badawczym spojrzeniem, jest to oczywisty sygnał, że powinna coś zrobić ze swoim wyglądem. Karmazynowa sukienka jest obcisła i krótka, ale nie wyróżnia mnie z tłumu. Najwyraźniej uwagę zwróciła twarz wyrażająca szok i upokorzenie.

Przybieram z powrotem obojętny, mam nadzieję, wyraz twarzy i zmuszam ramiona, aby się rozluźniły albo przynajmniej wyglądały na rozluźnione.

Już wcześniej całowałam się z chłopakami. Czasami prowadziło to do krępujących sytuacji, ale to było nic w porównaniu z tym, co przeżyłam teraz. Pocałunki traktowałam zawsze jako coś miłego i przyjemnego, jak wachanie róż lub śmiech w słoneczny dzień. Z Raffem przeżyłam coś kompletnie odmiennego. W porównaniu z pocałunkami z przeszłości ten zupełnie zwałił mnie z nóg, przejął do żywego i obudził motylki w brzuchu, roztapiając całkowicie świadomość.

Biorę głęboki, bardzo głęboki oddech. Zaciskam usta. I powoli wypuszczam powietrze z płuc.

W sumie niespecjalnie mnie lubi.

Oswajam się przez chwilę z tą myślą. Wszystkie uczucia wpycham do sejfu i zatrzaskuję za nimi grube, trzymetrowe drzwi – na wypadek, gdyby któremuś zachciało się wydostać.

A nawet gdyby mnie pragnął, to co? Koniec końców rezultat byłby identyczny. To ślepy zaułek. Nasza współpraca ma się lada chwila zakończyć. Kiedy tylko odnajdę Paige, muszę jak najszybciej się stąd wydostać. A on zajmie się przyszywaniem skrzydeł. Potem zmierzy się ze wszystkimi wrogami, którzy weszli mu w drogę, i u boku swoich koleś wróci do niszczenia mojego świata. Ja podejmę na nowo walkę o przetrwanie. Takie są fakty. Nie czas na szkolne fantazje.

Biorę kolejny głęboki oddech i wypuszczam powoli powietrze, upewniając się, że panuję nad emocjami. Liczy się tylko odnalezienie Paige. W tym celu muszę jeszcze przez chwilę z nim współpracować.

Przechodzę przez drzwi i zaczynam szukać wzrokiem Raffego.

ROZDZIAŁ 29

Za drzwiami zderzam się z falą głośnej muzyki jazzowej, gwarem śmiechów i rozmów. Jednocześnie czuję uderzenie gorąca, gryzący zapach cygar, perfum i rozkosznego jedzenia. Wszystko to łączy się w jedno wielowymiarowe doznanie.

Nie potrafię się oprzeć surrealistycznemu poczuciu, że przeniosłam się w przeszłość. Na zewnątrz ludzie umierają z głodu i nie mają dachu nad głową, a tu, wewnątrz, wciąż trwa złota epoka. Owszem, mężczyźni mają skrzydła, ale poza tym wszystko przypomina klub z lat 20. XX wieku. Meble w stylu art déco, mężczyźni we frakach, kobiety w długich sukniach.

No dobrze, nie wszystkie ubrania pasują do lat 20. Zdarzają się przykłady mody z lat 70. albo futurystyczne kreacje rodem z science fiction – zupełnie jakby ktoś zorganizował bal przebierańców, a kilka osób nie zrozumiało, na czym polegała moda z lat 20. Tak czy inaczej, sala i wyposażenie są utrzymane w stylistyce art déco, a większość aniołów nosi staromodne fraki z długimi połami.

Wszędzie połyskują złote zegarki, lśniące jedwabie i błyszcząca biżuteria. Anioły jedzą i piją, palą i rechocą. Pod migoczącymi żyrandolami armia ludzkich służących w białych rękawiczkach roznosi tace z kieliszkami szampana oraz przystawkami. Członkowie orkiestry, służący i większość kobiet to ludzie.

Czuję bezsensowny przypływ pogardy dla nich wszystkich. Sami, jak ja, zdrajcy. Chociaż nie, muszę uczciwie przyznać, że ich czyny nawet w połowie nie są równie godne potępienia jak moja decyzja, aby ukryć tożsamość Raffego w obozie Abiego.

Chętnie wrzuciłabym wszystkie kobiety do jednego wora – naciągaczek próbujących usidlić wpływowego samca, ale przypominam sobie tę z mężem i wygłodniałymi dziećmi patrzącymi zza ogrodzenia, jak ich matka odchodzi w stronę gniazda. Prawdopodobnie tylko w ten sposób mogła uchronić bliskich od głodu. Mam nadzieję, że jej się powiedzie. Rozglądam się dokoła w nadziei, że ją zobaczę.

Zamiast niej dostrzegam Raffego.

Opiera się niedbale o ścianę w zacienionym kącie sali i obserwuje tłum. W jego stronę nachyla się brunetka w czarnej sukience i o skórze tak białej, że przypomina wampira. Przybiera sugestywne pozy i cała emanuje seksem.

W tej sytuacji nie mam najmniejszej ochoty zbliżyć się do Raffego, ale jego pomoc jest mi potrzebna, jeśli chcę zrealizować plan. Nie zrezygnuję przecież z odnalezienia Paige tylko dlatego, że źle się czuję w jego towarzystwie.

Mobilizuję się i podchodzę do Raffego.

Brunetka kładzie mu dłoń na piersi i szepcze coś do ucha. On stoi wpatrzony w jakiś punkt na przeciwległym końcu sali i wygląda, jakby jej w ogóle nie słuchał. Bierze do ręki kieliszek bursztynowego płynu i wypija go jednym haustem. Stawia go na stole obok innych pustych kieliszków.

Nie reaguje, kiedy opieram się o ścianę obok niego. Wiem, że mnie zauważył, podobnie jak dziewczyna, która mierzy mnie morderczym spojrzeniem. Gdybym przypadkiem nie zrozumiała jej intencji, uwiesza się na Raffem.

On bierze kolejny kieliszek z przyniesionej przez kelnera tacy z najróżniejszymi drinkami. I tym razem wypija alkohol jednym haustem i szybko chwyta kolejny kieliszek, zanim kelner zdąży odejść. Odkąd chwilę temu go odnalazłam, zdążył już wypić cztery kieliszki. Albo coś nim wstrząsnęło, albo w

szybkim tempie wpada w alkoholizm. Cudownie. Miałam prawdziwe szczęście trafić na anioła alkoholika.

Raffe w końcu spogląda na brunetkę, która obdarza go promiennym uśmiechem. Aż żal patrzeć, jak strasznie na niego leci.

– Zmiataj stąd, znajdź sobie kogoś innego – mówi Raffe nieobecny, obojętnym głosem.

Biedaczka. Posyła mi mordercze spojrzenie, ale i tak odrobinę jej współczuję.

W sumie kazał jej zmiatać i tyle. Nic więcej. Nie powiedział, że niespecjalnie ją lubi.

Dziewczyna odsuwa się powoli, jakby dawała mu szansę na zmianę decyzji. Kiedy on przenosi wzrok z powrotem na tłum, posyła mi ostatnie jadowite spojrzenie i znika.

Rozglądam się po sali ciekawa, na co patrzy Raffe. Klub jest dość przytulny i nie tak przestronny jak początkowo sądziłam. Wydaje się większy z powodu hałaśliwego tłumy, ale bliżej mu do hotelowego salonu niż do współczesnego klubu. Mój wzrok natychmiast zatrzymuje się na towarzystwie siedzącym przy osobnym stole. Przyjęli takie pozy, jakby byli wybrańcami i zajmowali królewskie podium.

Istnieje kilka kategorii ludzi, którzy opanowali tę sztukę: popularne dzieci w szkolnej stołówce, gwiazdy drużyn futbolowych na imprezach, gwiazdy filmowe w klubach. Przy stole siedzi pięciu, sześciu aniołów. Żartują, śmieją się. Każdy w jednej ręce trzyma kieliszek, a drugą obejmuje wystrzałową dziewczynę. Wokół kręci się mnóstwo innych kobiet. Ocierają się o mężczyzn, próbując zwrócić ich uwagę, albo przechadzają w pewnej odległości powolnym krokiem modelek na wybiegu i spoglądają na nich wygłodniałym wzrokiem.

Te anioły są potężniejsze od innych – wyższe i bardziej

muskularne. W odróżnieniu od reszty gości przebywających na sali otacza je aura grozy. Tego rodzaju grozy, jaką wywołuje widok dzikiego tygrysa. Przypominają anioły, przed którymi Raffe chował twarz, kiedy weszliśmy do klubu.

Wszystkie noszą u pasa miecze z pełną swobody elegancją. Podejrzewam, że tak właśnie wyglądałoby Wikingowie, gdyby byli gładko ogoleni i cywilizowani. Mają podobny sposób bycia do Raffego. Pasowałby do tego towarzystwa. Z łatwością potrafię sobie wyobrazić, jak siada przy stole, aby się napić i pośmiać z kumplami. No dobrze, wyobrażenie sobie roześmianego Raffego wymaga pewnego wysiłku, ale jestem pewna, że jest do tego zdolny.

– Widzisz gościa w białym garniturze? – Niemal niezauważalnie przechyliła głowę w stronę grupy.

Trudno przeoczyć anioła w białym garniturze. Śnieżnobiały jest nie tylko garnitur, śnieżnobiałe są również buty, włosy, skóra i skrzydła. Jedyнным kolorowym elementem są oczy. Z tej odległości nie potrafię rozpoznać ich koloru, ale mogę się założyć, że z bliska robią piorunujące wrażenie, choćby ze względu na kontrast z resztą ciała.

Nigdy wcześniej nie widziałam albinosa, ale myślę, że nawet wśród nich taka biel zdarza się niezwykle rzadko. Ludzka skóra nie mogłaby przybrać takiego odcienia. Całe szczęście, że nie jest człowiekiem.

Stoi oparty o krawędź zaokrąglonej kanapy biegnącej wzdłuż stołu. Jeżeli ktokolwiek nie pasuje do towarzystwa, to właśnie on. Wybuchą śmiechem z półsekundowym opóźnieniem, jakby czekał na wskazówkę, jak zachowają się pozostali. Wszystkie kobiety obchodzą go z daleka. Tylko on w grupie nie ma dziewczyny. Obserwuje te, które krążą wokół stołu, ale nie nawiązuje z żadną rozmowy. Widząc, jak usilnie

kobiety starają się go unikać, sama mam ochotę trzymać się od niego z daleka.

– Chcę, żebyś tam poszła i zwróciła na siebie jego uwagę – szepcze Raffe. Cudownie. Powinnam się była domyślić. – Tak pokieruj rozmową, żeby poszedł za tobą do męskiej toalety.

– Żartujesz?! Jak niby mam to zrobić?

– Poradzisz sobie. – Przesuwa wzrokiem po mojej obcisłej sukience. – Coś wymyślisz.

– Co wydarzy się w łazience, kiedy już go tam sprowadzę?
– pytam najciszej, jak potrafię. Raffe na pewno mnie ostrzeże, gdybym zaczęła mówić zbyt głośno, a inne anioły mogłyby mnie usłyszeć mimo panującego w klubie gwaru.

– Namówimy go, żeby nam pomógł – wyjaśnia dość ponurym tonem. Chyba sam nie wierzy w możliwość namówienia albinosa do współpracy.

– A jeśli odmówi?

– To koniec. Przerywamy misję.

Muszę mieć taką minę, jak spławiona chwilę wcześniej brunetka. Wpatruję się w niego dostatecznie długo, aby zdążył powiedzieć, że żartował. Jego wzrok wyraża absolutną powagę. Dlaczego byłam pewna, że tak będzie?

Kiwam głową.

– Sprowadzę go do łazienki. A ty zrób wszystko, żeby go przekonać.

Odpycham się od ściany i wychodzę z cienia, wpatrzona w cel.

ROZDZIAŁ 30

Nie jestem aktorką i kiepska ze mnie kłamczucha. Dużo mi też brakuje do uwodzicielki. Trudno zdobyć doświadczenie w tej dziedzinie, kiedy nieustannie pełni się funkcję opiekunki młodszej siostry poruszającej się na wózku inwalidzkim. Nie wspominając o tym, że trudno wyglądać pociągająco w znoszonych dżinsach i wyciągniętej bluzie.

Mój mózg pracuje na pełnych obrotach, szukając sposobu, w jaki mogłabym zwrócić na siebie uwagę albinosa. Nic nie przychodzi mi do głowy.

Obchodzę salę szerokim łukiem z nadzieją, że w końcu coś wymyślę.

Mała grupka kobiet i strażników przeciska się w kierunku wojowników. Idą za aniołem, który jest niemal równie piękny jak oni, niemniej wygląda na tyle zwyczajnie, że nie wydaje się groźny. Jest przystojny, ale nie onieśmielająco piękny. Karmelowe włosy, ciepłe spojrzenie. Symetrię idealnej twarzy burzy tylko odrobinę za duży nos. Ten anioł cały rozplywa się w uśmiechach i emanuje życzliwością – urodzony polityk.

Ma na sobie szary garnitur z lat 20. XX wieku i wyczyszczone na połysk buty. Z dolnej kieszonki kamizelki zwisa złoty łańcuszek zegarka. Co chwilę przystaje, aby pozdrowić napotkane osoby. Jego głos jest równie ciepły jak spojrzenie i równie serdeczny jak uśmiech. Wszyscy rozpromieniają się na jego widok.

Wszyscy poza dwiema kobietami idącymi krok za nim. Są ubrane w jednakowe srebrne sukienki, które rozlewają się na podłodze wokół ich stóp. Dwa platynowe ozdobniki. Są ludźmi,

ale mają puste spojrzenia. Ożywiają się tylko wtedy, gdy polityk spogląda w ich stronę.

W ich oczach widzę wtedy przerażenie, natychmiast tłamszone, jakby okazanie lęku mogło sprowadzić na nie jakąś przerażającą karę. Mogę niemal dostrzec drżenie napiętych mięśni, kiedy sztywnieją pod wzrokiem Polityka.

Te kobiety nie tyle się go boją, co wrzeszczą w myślach z przerażenia.

Przenoszę wzrok na uśmiechniętego anioła, ale dostrzegam wyłącznie serdeczność i szczerłość. Gdybym nie zauważyła reakcji kobiet, uznałabym go za kandydata na przyjaciela. W świecie, gdzie instynkt liczy się bardziej niż kiedykolwiek wcześniej, jest coś głęboko niepokojącego w niemożności odczytania prawdziwego charakteru drugiej osoby.

Ponieważ oboje okrążamy salę, mijamy się z Politykiem na wysokości stolika zajmowanego przez wojowników.

Podnosi wzrok i zauważa, że mu się przyglądam.

Uśmiecha się wyraźnie zaintrygowany, a z tego uśmiechu bije tak autentyczna serdeczność, że kąciaki moich ust odruchowo się unoszą. Dopiero ułamek sekundy później w mojej głowie włącza się dzwonek alarmowy.

Polityk mnie zauważył.

Wyobrażam sobie, że stoję u jego boku ubrana jak jedna z dziewczyn. Desperacko próbuję ukryć przerażenie za nieruchomą, pozbawioną wyrazu maską.

Czego te kobiety tak bardzo się obawiają?

Nogi zaczynają mi się plątać, jakby wolały trzymać się od niego z daleka.

Kelner w smokingu i białych rękawiczkach zachodzi mi drogę, przerywając wymianę spojrzeń między mną a Politykiem. Podsuwa mi pod nos tacę z wysokimi kieliszkami wypełnionymi

szampanem.

Biorę jeden, aby zyskać na czasie. Próbuje odzyskać panowanie nad sobą, koncentrując wzrok na bąbelkach wypływających ku powierzchni złotego płynu. Kelner obraca się, a ja kątem oka dostrzegam Polityka.

Nachyla się nad stołem wojowników i mówi coś cichym głosem.

Biorę głęboki oddech. Zagrożenie minęło.

– Dziękuję – mówię z poczuciem ulgi do kelnera.

– Nie ma za co, panienko.

Jakaś znajoma nuta w jego głosie każe mi podnieść wzrok i spojrzeć na jego twarz. Wcześniej Polityk tak bardzo zaprzątnął moją uwagę, że nie przyjrzałam się wybawcy.

Otwieram szeroko oczy na widok twarzy z piegowatym nosem zwieńczonej rudą czupryną. Przede mną stoi jeden z bliźniaków, Dee albo Dum.

Jego spojrzenie wyraża profesjonalną obojętność. W żaden sposób nie daje po sobie poznać zaskoczenia albo tego, że mnie zna. Kurczę, jest naprawdę niezły.

Wszystkiego bym się spodziewała, ale nie tego, że go tu spotkam. No ale przecież bliźniacy wspominali, że są superszpiegami Abiego, prawda? Uznałam, że żartują albo przesadzają. Kto wie, czy nie mówili prawdy.

Dee-Dum lekko się kłania i znika w tłumie. Czekam, aż się odwróci i pośle mi szelmowski uśmiech, ale on odchodzi sztywnym krokiem, proponując ludziom szampana. No kto by pomyślał!

Jakby od niechcienia chowam się za ludźmi, odgradzając się od Polityka. Czy Dee-Dum świadomie mnie uratował czy też jego pojawienie się było tylko szczęśliwym zbiegiem okoliczności?

I co on tu robi? Przypomina mi się karawana samochodów Abiego przemierzająca powoli przedmieścia. Ciężarówka pełna materiałów wybuchowych. Pomysł na zwerbowanie ludzi w szeregi ruchu oporu przez zadanie efektownego ciosu aniołom.

No cudownie. Po prostu cudownie. Jeżeli bliźniaki są w klubie, na pewno przeprowadzają rekonesans przed atakiem.

Ile czasu zostało mi na uratowanie Paige, zanim wysadzą lokal w powietrze, wysyłając wszystkich na tamten świat?

ROZDZIAŁ 31

Po krótkiej rozmowie Polityk odchodzi od stolika wojowników. Na szczęście nie skręca w moją stronę, tylko przechodzi przez środek sali. Chyba o mnie zapomniał i teraz znów przystaje co chwilę, żeby się z kimś przywitać.

Wszyscy odprowadzają go wzrokiem. Ludzie stojący obok mnie milkną, później z wahaniem podejmują przerwane rozmowy, jakby niepewni, czy już wypada. Wojownicy zgromadzeni wokół stołu piją w milczeniu z posępnymi minami. Cokolwiek usłyszeli od Polityka, nie mogło im się spodobać.

Czekam, aż gwar na sali powróci do poprzedniego poziomu i dopiero wtedy ruszam w stronę albinosa. Odkąd wiem, że ruch oporu przebywa w budynku, mam dodatkową motywację, aby jak najszybciej załatwić sprawę.

Przystaję niepewnie na skraju strumienia kobiet, który opływa wojowników. Żadna nie kręci się w pobliżu albinosa. Jeśli do niego podejść, wszyscy zwrócą na mnie uwagę.

Anioły wyglądają na zainteresowane w większym stopniu sobą niż towarzystwem kobiet, które robią co w ich mocy, ale i tak pełnią tylko funkcję ozdobników.

Kiedy albinos spogląda w moją stronę, dostrzegam powód, dla którego kobiety trzymają się od niego z daleka. Nie chodzi o brak pigmentu, choć i to musi być dla niektórych odpychające. Z drugiej strony kobiet w klubie nie zrażają mężczyźni z piórami wyrastającymi z pleców, a kto wie, jakimi jeszcze uduśnianiami. Czym jest w tej sytuacji brak pigmentu? Ale jego oczy... Wystarczy jedno spojrzenie, aby zrozumieć, co odpycha ludzi.

Są krwiście czerwone. Nigdy nie widziałam czegoś podobnego. Szokują również wielkie źrenice zajmujące niemal całą powierzchnię oka. Kule czerwieni otoczone różowym pierścieniem tęczy rozświetlonych odrobiną bieli – razem przypomina to miniaturowe błyskawice w jeziorze krwi. Jakby tego było mało, nad oczami wiszą łuki długich rzęs w kolorze kości słoniowej.

Mimowolnie zaczynam się na niego gapić. Zawstydzona odwracam po chwili wzrok i zauważam innych ludzi, którzy równie nerwowo zerkają w stronę albinosa. Pozostałe anioły, mimo wszystkich koszmarnych czynów, wyglądają przy nim jak Dzieci Niebios. On – jak wyjęty żywcem z jednego z koszmarów sennych mojej matki.

W przeszłości dość często przebywałam w towarzystwie ludzi o nietypowym wyglądzie. Paige cieszyła się wielką popularnością w środowisku osób niepełnosprawnych. Jej przyjaciółka Judith urodziła się z kłocowatymi rękami i drobnymi, zdeformowanymi dłońmi. Alex poruszał się chwiejnym krokiem i strasznie wykrzywiał twarz, próbując wyraźnie wypowiadać słowa, często śliniąc się przy tym koszmarnie. Will cierpiał na porażenie i oddychał wyłącznie dzięki specjalnej pompie.

Ludzie gapili się na te dzieciaki i obchodzili je szerokim łukiem, podobnie jak tego albinosa. Kiedy komuś z tej grupy przydarzyło się coś szczególnie przykrego, Paige organizowała tematyczną imprezę. Zwykle wszyscy przebierali się za piratów albo zombie, ale kiedy pozwoliła im wybrać dowolny strój, jeden z chłopców przyszedł w pidżamie i ze szczoteczką do zębów w ustach.

Żartowali, chichotali, ale w głębi serca każde rozumiało, że razem są silniejsi. Paige była ich cheerleaderką, powierniczką i

najlepszą przyjaciółką.

Robi się dla mnie jasne, że albinos także potrzebuje kogoś takiego jak Paige. W jego postawie dostrzegam drobne, choć doskonale znane mi oznaki skrępowania osoby, która zdaje sobie sprawę, że inni się na nią gapią i oceniają po wyglądzie. Ręce trzyma blisko ciała, głowę ma lekko pochyloną do przodu, rzadko podnosi wzrok. Stoi na uboczu, w nieco słabiej oświetlonym miejscu, jakby miał nadzieję, że ludzie wezmą jego krwistoczerwone oczy za ciemnobrązowe.

Przychodzi mi do głowy, że w aniele uprzedzenia mógłby wzbudzić jedynie ktoś o wyglądzie diabła z piekła rodem.

Mimo bijącej od niego niepewności bez wątpienia jest wojownikiem. Wygląda imponująco – od szerokich ramion przez wyjątkowy wzrost do potężnych mięśni i wielkich skrzydeł. Przypomina anioły siedzące przy stole. Przypomina Raffego.

Wszyscy członkowie grupy wyglądają na stworzonych do walki i podbojów. Wzmacniają to wrażenie każdym zdecydowanym gestem, każdym zdaniem wypowiedzianym władczy tonem, każdym centymetrem zajmowanej przez siebie przestrzeni. Nigdy w życiu nie dostrzegłabym lekkiego skrępowania albinosa, gdybym nie spotkała się wcześniej z podobnymi postawami.

Ledwie wkraczam w pustą strefę wokół niego, on natychmiast spogląda w moją stronę. Patrzę mu prosto w oczy, jakby był zwykłym człowiekiem. Przez chwilę paraliżuje mnie świadomość, że spoglądam w oczy pozaziemskiej istocie. Kiedy to wrażenie mija, dostrzegam, że zaintrygowany taksuje mnie wzrokiem. Macham nieśmiało ręką i uśmiecham się promiennie.

– Ależ masz piękne oczy – mówię lekko bełkotliwym tonem. Żebym tylko nie przesadziła.

Mruga kilka razy zaskoczony, trzepocząc tymi swoimi rzęsami. Potykam się i wylewam odrobinę szampana na jego nieskazitelnie czysty garnitur.

– O rany, rany! Strasznie przepraszam! Nie wierzę, że coś takiego zrobiłam. – Chwytam serwetkę ze stołu i przecieram płamę. – Pozwól, że pomogę.

Na szczęście nie drżą mi dłonie. Mam pełną świadomość atmosfery zagrożenia. Otaczające mnie anioły zabiły więcej ludzi niż jakakolwiek wojna w przeszłości. A ja właśnie oblałam jednego szampanem. Mało oryginalna sztuczka, ale lepszej nie wymyślę na poczekaniu.

– Na pewno zaraz zejdzie – paplam, jak na wstawioną dziewczynę przystało. Dokoła zapadło milczenie i wszyscy na nas patrzą.

Tego akurat nie przewidziałam. Jeżeli krępowały go ukradkowe spojrzenia, musi być wściekły, że z tak głupiego powodu znalazł się w centrum uwagi.

Łapie mnie za rękę i odpycha dłoń od garnituru. Jego uścisk jest mocny, ale nie powoduje bólu. Gdyby chciał, niewątpliwie mógłby mi skrócić nadgarstek.

– Sam się tym zajmę – mówi lekko poirytowany. Irytacja to nie problem. Z tym potrafię sobie poradzić. Dochodzę do wniosku, że musi być porządnym gościem, jeżeli oczywiście zapomnimy na chwilę o jego współudziale w pogrążeniu Ziemi w płomieniach i siarce.

Rusza miarowym krokiem w stronę łazienki, nie zważając na spojrzenia innych aniołów i ludzi. Idę za nim w milczeniu. Rezygnuję z dalszego udawania podpitej panienki. Wrócę do tego, gdyby ktoś odwrócił uwagę albinosa.

Nikt go nie zatrzymuje, nikt go nie pozdrawia. Rozglądam się dyskretnie za Raffem, ale nigdzie go nie widzę. Mam

nadzieję, że nie będę musiała zatrzymać albinosa w łazience do czasu, gdy łaskawie się pojawi.

Ledwie albinos wchodzi do łazienki, Raffe wyłania się z cienia z czerwonym pacholkiem i rozkładanym znakiem „Toaleta czasowo nieczynna”. Stawia pacholek i napis przed drzwiami łazienki, po czym wślizguje się do środka.

Nie wiem, co robić. Powinnam stanąć na czatach? Postąpiłabym tak, gdybym miała pełne zaufanie do Raffego.

Wchodzę do łazienki. Mijam trzech facetów, którzy pośpiesznie zmierzają w stronę wyjścia. Jeden nerwowo zapina rozporek. Są ludźmi i pewnie nie będą dociekać, dlaczego anioł wyrzucił ich z toalety.

Raffe stoi przy drzwiach, wpatrując się w albinosa stojącego przed lustrem wiszącym nad umywalką. Albinos sprawia wrażenie ostrożnego i nieufnego.

– Jak się masz, Jozjaszu – mówi Raffe.

Krwistoczerwone oczy Jozjasza zwężają się.

Chwilę później rozszerzają się, jakby rozpoznał rozmówcę.

Odwraca gwałtownie głowę i spogląda na Raffego. Niedowierzanie walczy na niej ze zdumieniem, radość z niepokojem. Nie miałam pojęcia, że można doznać tych emocji jednocześnie, nie mówiąc już o zaprezentowaniu ich wszystkich na twarzy.

Zaraz potem przybiera maskę luzu i pewności siebie, choć wyraźnie przychodzi mu to z wysiłkiem.

– Czy my się znamy? – pyta Jozjasz.

– To przecież ja, Jozjaszu – mówi Raffe, podchodząc bliżej. Jozjasz cofa się wzdłuż marmurowych umywalek.

– Nie. – Potrząsa głową, ale jego czerwone oczy są szeroko otwarte: poznaje Raffego. – Nie sędzę, żebyśmy się znali.

Raffe wygląda na zdumionego.

– Co się stało, Jozjaszu? Wiem, że minął szmat czasu...

– Szmat czasu? – śmieje się nerwowo Jozjasz. Wciąż się cofa, jakby mógł się czymś zarazić od Raffego. – Faktycznie, można tak to określić. – Wykrzywia usta w wymuszonym uśmiechu. Biel ust przedzielona bielą zębów. – Szmat czasu. To zabawne.

Raffe wpatruje się w niego z przekrzywioną głową.

– Posłuchaj – odzywa się znów Jozjasz. – Muszę lecieć. Tylko... nie idź za mną, dobrze? Proszę. Błagam. Nie mogę sobie pozwolić, żeby mnie zobaczyli z... kimś obcym.

Robi zdecydowany krok w stronę drzwi. Jego oddech staje się płytki, urywany.

Raffe powstrzymuje go wyciągniętą dłonią.

– Nie byliśmy sobie obcy od czasu, gdy wyciągnąłem cię z kwatery dla niewolników i wyszkoliłem na żołnierza.

Albinos kuli się pod dotykiem Raffego, jakby go palił.

– To było w innym życiu, w innym świecie. – Wyraźnie zląkniony, zniża głos do ledwie słyszalnego szeptu: – Nie powinienś być tu przychodzić. Wciąż grozi ci wielkie niebezpieczeństwo.

– Naprawdę? – Raffe sprawia wrażenie znudzonego.

Jozjasz odwraca się i zaczyna krążyć tam i z powrotem wzdłuż umywalek.

– Wiele się zmieniło. Sytuacja się skomplikowała.

Mówi coraz spokojniejszym głosem, ale trzyma się na dystans.

– Tak wiele, że dawni podwładni o mnie zapomnieli?

Jozjasz wchodzi do kabiny i spuszcza wodę.

– Nikt o tobie nie zapomniał. – Z trudem słyszę jego słowa, zagłuszone przez głośny szum wody. Jestem pewna, że ktoś stojący na zewnątrz nic by nie usłyszał. – Wręcz przeciwnie.

Wszyscy o tobie gadają. – Przechodzi do sąsiedniej kabiny i spuszcza wodę. – Można powiedzieć, że trwa kampania przeciwko Rafaelowi.

Rafaelowi? Czyżby miał na myśli Raffego?

– Dlaczego? Kogo te sprawy obchodzą?

Albinos wzrusza ramionami.

– Jestem tylko prostym żołnierzem. Rozgrywki archaniołów mnie przerastają. Ale gdybym musiał zgadywać... ponieważ Gabriel został zestrzelony...

– Zwolniło się miejsce. Kto jest teraz Posłańcem?

Jozjasz spuszcza wodę w kolejnej toalecie.

– Nikt. Znaleźliśmy się w impasie. Wszyscy zgodzili się na kandydaturę Michała, ale on odmówił. Woli być generałem i nie odda dowództwa nad wojskiem. Z kolei Uriel jest tak napalony na to stanowisko, że byłby gotów własnoręcznie wygładzać nam pióra na skrzydłach, żeby tylko zdobyć potrzebną większość głosów.

– To wyjaśnia niekończące się imprezy i kobiety. Obrął niebezpieczną drogę.

– Tymczasem nikt nie ma pojęcia, co się, na litość boską, dzieje i po co tu, u diabła, jesteśmy. Gabriel tradycyjnie nic nie wyjaśnił. Sam wiesz, że miał skłonność do dramatyzowania. Wciąż powtarzał: wystarczy, że będziecie wiedzieli tyle i tyle. Tylko sporadycznie udawało się z niego wyciągnąć jakąś informację, która nie brzmiała jak kalambur.

Raffe kiwa głową.

– W takim razie dlaczego Uri nie może zdobyć potrzebnego poparcia?

Albinos spuszcza wodę w następnej toalecie. Mimo huku tylko wskazuje na Raffego i wypowiada bezgłośnie: „Ty”.

Raffe unosi brwi ze zdumienia.

– No pewnie – mówi Jozjasz. – Niektórym nie podoba się kandydatura Uriela na Posłańca z powodu jego zbyt bliskich związków z Piełem. On tłumaczy, że wizyty w Otchłani to część jego obowiązków, ale kto wie, co tam się dzieje na dole. Wiesz, co mam na myśli?

Jozjasz wraca do pierwszej kabiny i łazienka ponownie wypełnia się odgłosami spuszczonej wody.

– Ale większym problemem dla Uriego są twoi ludzie. Same zakute pały, uparciuchy. Odkąd ich porzuciłeś, są tak wkurzeni, że własnoręcznie rozerwaliby cię na kawałki. Nie pozwolą, żeby zrobił to ktokolwiek z zewnątrz. Powtarzają, że wszyscy żyjący archaniołowie, w tym ty, powinni się ubiegać o pozycję Posłańca. Urielowi nie udało się przeciągnąć ich na swoją stronę. Na razie.

– Ich?

Jozjasz zamyka krwistoczerwone oczy.

– Wiesz doskonale, że nie mam na tyle silnej pozycji, żeby się przeciwstawić. Nigdy nie będę miał. Będzie dobrze, jak nie skończę przy zmywaku w kuchni. Z wielkim trudem utrzymuję się w grupie.

Spluwa. Musi kipieć z frustracji.

– Co mówią o mnie?

– Że żaden anioł nie potrafiłby wytrwać tak długo w samotności – odpowiada łagodnym głosem, jakby niechętnie dzielił się przykrymi wieściami. – Że jeśli do tej pory nie wróciłeś, to znaczy, że nie żyjesz. Albo że przeszedłeś na drugą stronę.

– Że upadłem? – pyta Raffaele. Zaciska mocno zęby, a ja dostrzegam pulsujący mięsień na podbródku.

– Krążą pogłoski, że popełniłeś ten sam grzech co Obserwatorzy. Że nie wróciłeś, ponieważ ci zabroniono.

Sprytnie uniknąłeś upokorzenia i wiecznych tortur, zmyślając bajeczkę o oszczędzeniu twoim Obserwatorom cierpienia związanego z koniecznością schwytania własnych dzieci. Że obecność *nefilim* jest dowodem, że w ogóle nie spróbowałeś.

– Jakich *nefilim*?

– Pytasz poważnie? – Jozjasz spogląda na Raffego, jakby ten postradał zmysły. – Są wszędzie. Ludzie są przerażeni, nie wychodzą w nocy z domów. Każdy ze służących opowie ci jakąś historię o nadjeźdżonych ciałach lub jego towarzyszach zaatakowanych przez *nefilim*.

Raffe mruga, analizując te informacje.

– To nie są *nefilim*. W żaden sposób ich nie przypominają.

– Wydają odgłosy jak *nefilim*. Żrą jak *nefilim*. Terroryzują jak *nefilim*. A nikt poza Obserwatorami nie ma pojęcia, jak *nefilim* wyglądają. A przecież trudno uznać ich za wiarygodnych świadków.

– Widziałem te istoty i to nie są *nefilim*.

– Tak czy inaczej gwarantuję ci, że prędzej wybijesz je wszystkie co do nogi, niż przekonasz ogół, że nie są *nefilim*. Bo niby czym miałyby być?

Raffe zerka w moją stronę. Spuszcza wzrok na lśniąca posadzkę i odpowiada:

– Nie mam pojęcia. Nazwaliśmy je „pomniejszych demonami”.

– Nazwaliśmy? – Jozjasz spogląda na mnie. Najchętniej zapadłabym się pod ziemię. – Ty i twoja córka człowiecza? – Słowa te wypowiada tonem, w którym oskarżenie miesza się z rozczarowaniem.

– Jezus, to nie tak. Dajże spokój. Wiesz, że byłbym ostatnim, który by się na to zdecydował. Nie po tym, co przydarzyło się moim Obserwatorom, nie wspominając o ich

żonach. – Wyraźnie sfrustrowany Raffe zaczyna krążyć po marmurowej posadzce. – Poza tym trudno o gorsze miejsce do takich oskarżeń.

– O ile wiem, nikt nie przekroczył granicy – odpowiada Jozjasz. – Niektórzy twierdzą, że to zrobili, ale w dawnych czasach chwalili się, że pokonali smoka ze związanymi, dla wyrównania szans, skrzydłami i rękami.

Albinos spuszcza wodę w toalecie.

– No ale tobie będzie trudniej przekonać resztę, że... no wiesz. – Zerka na mnie. – Zanim zdecydujesz się na powrót w jakiegokolwiek postaci, musisz odeprzeć oszczerstwa wypowiedane pod twoim adresem. W przeciwnym razie zostaniesz zlinczowany. Najlepiej wyjdź stąd najbliższymi drzwiami, dobrze ci radzę.

– Nie mogę. Potrzebuję chirurga.

Jozjasz unosi ze zdumienia brwi.

– W jakim celu?

Raffe wpatruje się w krwistoczerwone oczy Jozjasza. Nie chce powiedzieć. No dalej, Raffe! Nie mamy czasu na emocjonalne uniesienia. Wiem, że wychodzę na bezduszną istotę, ale zaraz ktoś wparuje do łazienki, a my nie poruszyliśmy jeszcze sprawy Paige. Już mam otworzyć usta, kiedy Raffe w końcu się przełamuje:

– Odcięto mi skrzydła.

Teraz to Jozjasz gapi się w milczeniu na Raffego.

– Jak to odcięto?

– Na dobre.

Albinos jest zszokowany i przerażony. Jego oczy, tak wydawałoby się nienawistne, wypełniają się żalem. Gdyby Raffe poinformował go, że został wykastrowany, nie doczekałby się bardziej współczującej reakcji. Jozjasz otwiera usta, ale

natychmiast je zamyka, jakby zdał sobie sprawę, że zamierzał powiedzieć coś głupiego. Spogląda na marynarkę Raffego i wystające zza jego pleców skrzydła.

– Szukam kogoś, kto je przyszyje. Kogoś na tyle dobrego, żebym mógł ich później używać.

Jozjasz odwraca się i opiera o umywalkę.

– Nie mogę ci pomóc. – W jego głosie pobrzmiewa wahanie.

– Wystarczy, że kogoś dyskretnie znajdziesz, a później mnie do niego zaprowadzisz.

– Rafaelu, operacje może tu przeprowadzać tylko główna chirurg.

– Znakomicie. To znacznie upraszcza twoje zadanie.

– Głównym chirurgiem jest Laylah.

Raffe spogląda na Jozjasza takim wzrokiem, jakby miał nadzieję, że się przesłyszał.

– Tylko ona może to zrobić?

W jego głosie słyszę strach.

– Tak.

Raffe przeczesuje dłonią włosy w taki sposób, jakby chciał je sobie wyrwać.

– Wciąż jesteś...?

– Tak – odpowiada niechętnie Jozjasz, niemal zawstydzony.

– Udałoby ci się ją namówić?

– Wiesz, że nie mogę się narażać. – Albinos krąży po łazience, wyraźnie podenerwowany.

– Nie prosiłbym cię, gdybym miał wybór.

– Masz wybór. Oni mają chirurgów.

– To żaden wybór, Jozjaszu. Pomożesz mi?

Jozjasz wzdycha ciężko, w oczywisty sposób żałując tego,

co zamierza powiedzieć.

– Zobaczę, co da się zrobić. Schowaj się w jakimś pokoju. Przyjdę za dwie godziny.

Raffe kiwa głową, a Jozjasz się odwraca. Otwieram usta, żeby coś powiedzieć. Raffe najwyraźniej zapomniał o mojej siostrze.

– Jozjaszu – mówi Raffe, zanim zdążę się odezwać. – Co wiesz o porwaniach ludzkich dzieci?

Zmierzający w stronę drzwi Jozjasz zatrzymuje się. Ma kamienną twarz. Zbyt kamienną.

– Jakich dzieci?

– Myślę, że wiesz, jakich dzieci. Nie musisz mi zdradzać żadnych tajemnic. Chcę tylko wiedzieć, gdzie są przetrzymywane.

– Nic nie wiem na ten temat. – Nadal nie patrzy w naszą stronę. Stoi nieruchomo, bokiem.

Do łazienki wlewają się odgłosy jazzu. Z gwaru wybija się fragment rozmowy dwóch mężczyzn przechodzących obok drzwi i ponownie stopniowo zanika. Znak informujący o zamknięciu łazienki najwyraźniej skutecznie odstrasza ludzi.

– No dobrze – mówi Raffe. – Zobaczymy się za dwie godziny.

Jozjasz wypada przez drzwi, jakby nie chciał pozostać w środku ani chwili dłużej.

ROZDZIAŁ 32

Mam mętlik w głowie. Nawet anioły nie wiedzą, po co przybyły na Ziemię? Czy w takim razie istnieje nadzieja, że przekonamy je do odejścia? Czy Raffe rozpęta wojnę domową między aniołami? Mój umysł próbuje ogarnąć meandry ich polityki oraz szanse, jakie stwarza ona dla nas, ludzi.

Szybko tłumię podobne myśli. Nie pomogą mi w odnalezieniu Paige.

– Tak długo gadaliście, a zdążyłeś zadać tylko jedno pytanie o moją siostrę? – mówię z wyrzutem. – On coś wie.

– Wie, że powinien być ostrożny.

– Skąd ta pewność? Nawet go nie przycisnąłeś.

– Dobrze go znam. Z jakiegoś powodu jest wystraszony. Nic więcej teraz nam nie powie, a gdybym naciskał bardziej, wycofałby się z dotychczasowych obietnic.

– Czyli uważasz, że sam nie jest zamieszany?

– W porwania dzieci? To nie w jego stylu. Nie obawiaj się. Cholernie trudno utrzymać cokolwiek w tajemnicy między aniołami. Znajdziemy kogoś, kto zgodzi się mówić.

Rusza w stronę drzwi.

– Naprawdę jesteś archaniołem? – pytam szeptem.

Posyła mi łobuzerski uśmiech.

– Robi wrażenie, co?

– Niespecjalnie – kłamię. – Ale chętnie złożę kilka skarg na twoich podwładnych.

– Pogadaj z kierownictwem średniego szczebla.

Ruszam za nim, posławszy mu najpierw mordercze spojrzenie.

Przechodzimy przez podwójne drzwi i zostawiamy za sobą duszne, hałaśliwe wnętrze klubu. Wchodzimy do chłodnego, wyłożonego marmurami holu i ruszamy w stronę rzędu wind. Okrążamy pomieszczenie łukiem, trzymając się w cieniu blisko ścian.

Raffe robi krótki przystanek przy recepcji, gdzie za ladą stoi jasnowłosey służący w garniturze. Wydaje się nieobecny, zupełnie jakby myślami przebywał gdzie indziej, dopiero kiedy pojawiaemy się w zasięgu jego wzroku, jego twarz rozjaśnia profesjonalna maska uprzejmości.

– Czym mogę panu służyć? – Z bliska uśmiech wydaje się nieco sztuczny. Szacunek jest przeznaczony wyłącznie dla Raffego i zmienia się w obojętność, kiedy wzrok mężczyzny pada na mnie. No pięknie. Nie lubi pracować dla aniołów, a jeszcze mniej dla ich ludzkich sługusów.

– Daj mi jakiś pokój – mówi Raffe swoim najbardziej aroganckim tonem. Stoi wyprostowany i ledwie zaszczyca rozmówcę spojrzeniem. Albo chce go onieśmielić na tyle, aby nie zadawał pytań, albo wszystkie anioły zwracają się do ludzi w ten sposób i Raffe nie chce się wyróżniać odmiennym zachowaniem. Podejrzewam, że i jedno, i drugie.

– Wszystkie górne piętra są już zajęte, proszę pana. Czy może być coś nieco niżej?

Raffe wzdycha, jakby robił łaskę.

– W porządku.

Recepcjonista zerka na mnie, po czym notuje coś w staromodnej księdze gości. Podaje Raffemu klucz i informuje, że dostaliśmy pokój numer 1712. Chętnie poprosiłabym o osobny pokój, ale wiem, że nie powinnam się odzywać. Wszystkie

kobiety stojące przed wejściem próbowały znaleźć anioła, który wprowadziłby je do środka, więc spośród ludzi prawo do swobodnego poruszania się po budynku mają zapewne tylko służący. A zatem z własnego pokoju nici.

Recepcjonista odwraca się do mnie i mówi:

– Proszę bez obaw korzystać z windy. Nie mamy przerw w dostawie energii elektrycznej. Używamy kluczy zamiast kart magnetycznych wyłącznie dlatego, że tak życzyli sobie nasi panowie.

Czy dobrze usłyszałam, że nazwał anioły panami? Palce drętwieją mi na samą myśl. Mimo przemożnego pragnienia, aby odnaleźć Paige i uciec stąd gdzie pieprz rośnie, zaczynam się zastanawiać, czy nie mogłabym w jakiś sposób pomóc w pokonaniu tych drani.

Nie mieści mi się w głowie, z jaką łatwością przejęły kontrolę nad resztkami naszego świata. Potrafią sobie zapewnić prąd do lamp i wind oraz nieprzerwane dostawy znakomitego jedzenia. Ktoś mógłby to nazwać magią. W dzisiejszych czasach byłoby to równie dobre wyjaśnienie jak każde inne, ale ja wciąż nie mam ochoty zapomnieć o kilku wiekach postępu naukowego i przestawić się na myślenie średniowiecznego wieśniaka.

Ciekawe, czy następne pokolenie ludzi będzie sądziło, że wszystko w tym budynku funkcjonuje dzięki magii. Zaciskam zęby na myśl, że mogłoby się tak stać. To przez anioły upadliśmy tak nisko.

Przyglądam się uważnie idealnie ukształtowanemu profilowi Raffego. Żaden człowiek nie mógłby wyglądać tak pięknie. Kolejny dowód na to, że jest obcą istotą.

Kątem oka dostrzegam spojrzenie recepcjonisty, które łagodnieje na tyle, abym wiedziała, że mężczyzna pochwała ponurą minę, z jaką wpatrywałam się w Raffego. Przybrawszy

na powrót profesjonalną maskę uprzejmości, prosi anioła, aby ten dzwonił, jeśli tylko będzie czegoś potrzebował.

Krótki korytarz z windami prowadzi ku dużej, otwartej przestrzeni. Zaglądam tam po naciśnięciu guzika. Widzę niezliczone rzędy galerii ciągnące się aż pod szklaną kopułę.

W górze krążą anioły. Przelatują z piętra na piętro. Zewnętrzny krąg wzlatuje spiralnie w górę, a wewnętrzny spiralnie w dół.

Domyślam się, że taki zabieg ma zapobiegać kolizjom. Na podobnej zasadzie ktoś obserwujący z powietrza ziemski ruch drogowy, również dostrzegłby w nim pewne prawidłowości. Mimo tego praktycyzmu niebiańskie istoty wydają się uczestniczyć w oszałamiającym, starannie wyreżyserowanym balecie. Gdyby Michał Anioł zobaczył pierścienie aniołów latających w promieniach słońca przesączającego się przez szklaną kopułę, padłby na kolana i malował póki sił w rękach.

Rozlega się dzwonek, drzwi windy otwierają się, a ja odrywam wzrok od cudownego widowiska.

Raffe stoi u mego boku, wpatrzony w latających braci. Zamyka oczy, ale ja ułamek sekundy wcześniej dostrzegam w nich rozpacz.

Albo tęsknotę.

Nie pozwalam sobie na współczucie. Nie pozwalam sobie na jakiegokolwiek uczucia do niego poza nienawiścią i złością za wszystkie krzywdy, jakie jego pobratymcy mi wyrządzili.

Ale nienawiść się nie pojawia.

Zamiast niej budzi się to całe współczucie. Mimo dzielącej nas przepaści jesteśmy pod wieloma względami bratnimi duszami. Każde z nas usiłuje odzyskać dawne, uporządkowane życie.

Zaraz potem przypominam sobie, że on – formalnie rzecz

biorąc – nie jest osobą.

Wchodzę do windy. W środku dostrzegam lustro, boazerię i czerwony chodnik, którego można się spodziewać w ekskluzywnym hotelu. Raffe wciąż stoi na zewnątrz, a drzwi zaczynają się zasuwać. Wkładam między nie rękę, aby się ponownie otworzyły.

– Co się stało?

Rozgląda się z zażenowaniem.

– Anioły nie korzystają z wind.

No jasne – po prostu wlatują na swoje piętro. Wesoło łapię go za nadgarstki i, zupełnie jakbym była wstawiona, okręcam go wokół siebie, chichocząc na użytek ewentualnych świadków. Tanecznym krokiem wprowadzam go do windy.

Naciskam guzik z numerem siedemnaście. Żołądek podchodzi mi do gardła, kiedy winda przyśpiesza, a ja uświadamiam sobie, czym może grozić ucieczka z tak wysokiego piętra. Raffe również nie wygląda na wyluzowanego. Domyślam się, że komuś przyzwyczajonemu do latania w przestworzach winda może przypominać stalową trumnę.

Drzwi otwierają się, a on szybko wychodzi na zewnątrz. Najwyraźniej pragnienie wydostania się z zamknięcia przeważa nad obawą, że ktoś zobaczy go wychodzącego z windy.

Dostaliśmy apartament z sypialnią, salonem i barkiem. Pomieszczenia są wyłożone marmurami, a meble delikatną skórą. Na podłodze leżą pluszowe dywany. Dwa miesiące temu z panoramicznych okien rozciągałby się zapierający dech w piersiach widok. Najlepszy w całym San Francisco.

Teraz zbiera mi się na płacz, gdy widzę osmalone ruiny.

Jak lunatyczka podchodzę do okna. Opieram czoło i dłonie na chłodnej szybie, jakbym szukała skupienia na grobie ojca.

Na wzgórzach sterczą strawione przez ogień, przechylone

budynki przypominające wybite zęby w spalonej szczęcie. Haight-Ashbury, Mission, North Beach, South of Market, Golden Gate Park – wszystko zniszczone. Coś we mnie pęka jak mydlana bańka.

Gdzieś smugi czarnego dymu sięgają nieba niczym palce tonącego człowieka, który po raz ostatni wyciąga rękę ku powierzchni.

Kilka miejsc nie uległo całkowitemu zniszczeniu, co oznacza, że mogły się w nich uchować niewielkie wspólnoty. San Francisco słynie ze swoich dzielnic. Czyżby jakieś lokalne społeczności przetrwały deszcz meteorytów, pożary, rozboje i choroby?

Raffe zaciąga zasłony.

– Nie mam pojęcia, dlaczego zostawili je rozsunięte.

Ja wiem. Służący są ludźmi. Chcieli zburzyć iluzję cywilizacji. Chcieli dopilnować, aby nikt nie zapomniał o czynach aniołów. Ja też zostawiłabym je rozsunięte.

Kiedy odchodzę od okna, Raffe odkłada słuchawkę telefonu. Opuszcza ramiona, jakby dopiero teraz dopadło go zmęczenie.

– Może wzięłabyś teraz prysznic? Zamówiłem jedzenie.

– Przyniosą do pokoju? Czy to miejsce istnieje naprawdę? Ziemia zamieniła się w piekło, a wy zamawiacie sobie posiłki do pokoju?

– Chcesz jeść czy nie?

Wzruszam ramionami.

– Niech będzie.

Nie jestem nawet zawstydzona swoją dwulicowością. Kto wie, kiedy będę miała ponownie okazję na zjedzenie normalnego posiłku.

– A co z moją siostrą?

– Wszystko w swoim czasie.

– Nie mam czasu, ona też nie.

I ty też nie masz. Ile pozostało do ataku na gniazdo?

Choć z całego serca kibicuję ruchowi oporu i mam wielką nadzieję, że wyrządzą aniołom jak największe szkody, robi mi się słabo na myśl, że i Raffe mógłby ucierpieć. Korci mnie, aby opowiedzieć mu o napotkanych w budynku rebeliantach, ale duszę ten pomysł w zarodku. Wątpię, czy potrafiłby się powstrzymać i nie ostrzec swoich braci. Sama pewnie uprzedziłabym ruch oporu, gdybym wiedziała o planowanym ataku aniołów.

– No dobrze, panno Pośpieszalska, gdzie w takim razie powinniśmy zajrzeć w pierwszej kolejności? Zaczniemy od ósmego piętra czy może od dwudziestego pierwszego? Od dachu czy od garażu? Mogłabyś też zapytać recepcjonistę, gdzie przetrzymują twoją siostrę. W okolicy ocalało kilka innych budynków. Przetrząśniemy któryś? Jak sądzisz?

Z przerażeniem uświadamiam sobie, że opuszcza mnie determinacja. Siłą woli trzymam oczy szeroko otwarte, w przeciwnym razie popłynę z nich strumień łez. Nie chcę płakać przy Raffem.

Z jego głosu znika surowość, dodaje łagodnie:

– Trochę potrwa, zanim ją znajdziemy, Penryn. Kiedy się umyjemy, przestaniemy się wyróżniać wyglądem. Jedzenie doda nam sił do poszukiwań. Jeżeli taki plan ci nie odpowiada, tam są drzwi. Idź szukać siostry, ja w tym czasie wezmę prysznic.

Rusza w stronę łazienki.

– No dobrze – wzdygam, mijam go i wchodzę do łazienki, stukając buntowniczo obcasami. – Idę pierwsza pod prysznic.

Zachowuję na tyle przyzwoitości, by nie trzasnąć drzwiami.

Łazienka jest dyskretnym świadectwem luksusu,

zbudowanym z morskich wapieni i mosiądzu. Przysięgam, że jest większa od naszego mieszkania. Wchodzę pod strumień gorącej wody i pozwalam, aby zmyła ze mnie cały brud. Nigdy nie sądziłam, że ciepły prysznic i umycie głowy staną się dobrem luksusowym.

Podczas długiego pobytu pod prysznicem mogłabym łatwo zapomnieć, jak bardzo zmienił się świat. Udać, że wygrałam los na loterii i spędzam noc w luksusowym apartamencie w centrum miasta. Ale nawet ta fantazja nie przynosi mi takiego ukojenia, jak wspomnienie życia w podmiejskim domku, gdzie mieszkaliśmy, zanim Paige straciła władanie w nogach i kiedy tata wciąż się nami opiekował.

Owijam się pluszowym ręcznikiem, który należałoby raczej uznać za pełnowymiarowy koc. Z braku innych strojów ubieram się z powrotem w seksowną sukienkę. Dochodzę do wniosku, że pończochy i szpilki mogą poczekać na bardziej stosowną chwilę.

W sypialni na stole czeka na mnie taca z jedzeniem. Podbiegam i unoszę pokrywę. Antrykot bez kości polany sosem, szpinak, purée z ziemniaków i kawał niemieckiego tortu czekoladowego. Pod wpływem rozkosznych aromatów niemal tracę przytomność.

Nabieram kawałek i siadam, przeżuając. Potrawa musi mieć kosmicznie wysoką zawartość tłuszczu. W dawnych czasach unikałabym wszystkiego, co znajduje się na talerzu, może poza tortem czekoladowym, ale w świecie karmy dla kotów i zupek błyskawicznych, ludzie zabijają się o takie rzeczy. Nie pamiętam, kiedy ostatnio jadłam równie wspaniały posiłek.

– Tylko na mnie nie czekaj – komentuje ironicznie Raffaele, kiedy widzi, jak napycham sobie buzię jedzeniem. Bierze kawałek ciasta i idzie do łazienki.

– Bez obaw – mamrocze z pełnymi ustami.

Przed jego powrotem talerz jest wyczyszczony, a ja muszę się powstrzymać, żeby nie podkraść czegoś z jego porcji. Odrywam wzrok od uczyty, aby spojrzeć na Raffego.

I natychmiast zapominam o jedzeniu.

Stoi w drzwiach łazienki. Zza jego pleców wypływa leniwie para wodna. Jest nagi, jeśli nie liczyć ręcznika owiniętego luźno wokół pasa. Kropelki wody połyskują na jego ciele niczym diamenty w jakimś sennym widziadłe. Za sprawą ciepłego światła łazienki i kłębow pary opływających jego umięśnione ciało wygląda jak mityczny bóg wody, który przybył do naszego świata.

– Nie krępuj się, to wszystko twoje – mówi.

Mrugam kilka razy, próbując zrozumieć sens jego słów.

– Pomyślałem, że należy skorzystać z okazji i zjeść po dwie porcje. – Ktoś puka do drzwi. – A oto i moje zamówienie. – Przechodzi do salonu.

A zatem posiłek jeszcze się nie skończył. No jasne. Kto by chciał jeść zimne potrawy. Wystygłyby, zanim zdążyłby wziąć prysznic. Po wejściu do pokoju zamówił obiad tylko dla mnie, a dla siebie dopiero wtedy, gdy usłyszał, że skończyłam się myć. No jasne.

Próbuję sobie przypomnieć, jak bardzo byłam wygłodniała jeszcze chwilę temu. Jedzenie. Ach tak, jedzenie... Odcinam wielki kawałek antrykotu. Kremowy sos wzbudza fizyczne wspomnienie rozkoszy kulinarnych, które niegdyś uważałam za coś normalnego.

Wchodzę do salonu i mówię z pełnymi ustami:

– Miałeś genialny pomysł, żeby zamówić tyle...

Albinos, Jozjasz, wchodzi do pokoju w towarzystwie najpiękniejszej kobiety, jaką kiedykolwiek widziałam. Po raz pierwszy mam okazję obejrzeć z bliska anielicę. Jej rysy są tak

subtelne i delikatne, że wręcz hipnotyzujące. To na niej wzorowali się chyba twórcy wizerunków Wenus, bogini miłości. Kiedy się porusza, sięgające talii włosy połyskują i zlewają się ze złocistym upierzeniem jej skrzydeł.

Chabrowe oczy byłyby doskonałym ucieleśnieniem niewinności i prawości, gdyby nie czające się w nich chłód i wyrachowanie, sugerujące, że anielica mogłaby zostać wizytówką rasy panów.

Teraz tymi oczami taksuje mnie całą: od mokrych, posklejanych w strąki włosów do czubków nagich stóp.

Przypominam sobie, że chwilę wcześniej entuzjastycznie wpakowałam sobie wielki kawał mięsa do ust. Mam wypchane policzki. Z trudem zamykam usta, próbując jak najszybciej przeżuć jedzenie, ale antrykotu nie da się tak chapsnąć za jednym zamachem. Po wyjściu spod prysznica rzuciłam się od razu na jedzenie, nie zadając sobie nawet trudu, aby rozczesać włosy. Teraz mam na głowie rozwichrzoną czuprynę, z której woda ścieka na czerwoną sukienkę. Aryjskie oczy anielicy dostrzegają to wszystko i mnie oceniają.

Raffe spogląda na mnie znacząco i przesuwając palcem po twarzy. Ścieram dłonią resztki sosu z policzka. No pięknie.

Kobieta przenosi wzrok na Raffego. Przestałam dla niej istnieć. Jego także obrzuca powłóczystym spojrzeniem, sycąc się jego nagością, muskularnymi ramionami, mokrymi włosami. Ponownie zerka w moją stronę, tym razem oskarżycielsko.

Podchodzi do Raffego i przesuwając palcami po lśniącej od kropelek wody klatce piersiowej.

– A więc to naprawdę ty – mówi głosem łagodnym jak aksamit. Aksamit, na którym rozsypano rozkruszone szkło. – Gdzie się podziewałeś, Raffe? I co takiego zrobiłeś, że ktoś odciął ci skrzydła?

– Potrafisz je przyszyć, Laylah? – pyta chłodno Raffe.

– Prosto i do rzeczy – mówi Laylah i rusza w stronę okna. – To ja znajduję dla ciebie czas w moim napiętym grafiku, a ty nawet nie zapytasz, co słyszeć?

– Nie mam czasu na gierki. Możesz to zrobić czy nie?

– Teoretycznie tak. Zakładając oczywiście, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. A wiele rzeczy może nie pójść. Niemniej ważniejsze pytanie brzmi: dlaczego miałabym to zrobić? – Rozsuwa zasłony, a moim oczom ponownie ukazuje się szokująca panorama zniszczonego miasta. – Kto wie, czy w czasie tak długiej nieobecności nie przeszedłeś na drugą stronę. Dlaczego miałabym pomagać Upadłemu?

Raffe podchodzi do barku, gdzie leży jego miecz. Wyciąga ostrze z pochwy i wykonuje niegroźne machnięcie, co samo w sobie jest sporym wyczynem, biorąc pod uwagę ostrze klingi. Podrzuca miecz w powietrze, łapie go za rękojeść, po czym wpycha go z powrotem do pochwy, spoglądając wyczekująco na Laylah.

Jozjasz kiwa głową.

– Miecz się go nie wyrzekł, czyli wszystko jest w porządku.

– Co nie znaczy, że tego nie uczyni – mówi Laylah. – Niektóre zachowują lojalność dłużej, niż powinny. To nie znaczy...

– To znaczy wszystko, co powinno znaczyć – przerywa jej Raffe.

– Samotność nie leży w naszej naturze – odpowiada Laylah.

– Podobnie jak wilki nie żyjemy w pojedynkę. Żaden anioł nie zniósłby tak długiego osamotnienia, nawet ty.

– Miecz się mnie nie wyrzekł. Koniec dyskusji.

Jozjasz chrząka znacząco.

– To co z tymi skrzydłami?

Laylah spogląda gniewnie na Raffego.

– Jak zapewne pamiętasz, nie mam miłych wspomnień związanych z naszą znajomością. A teraz zjawiasz się ponownie w moim życiu, do tego bez ostrzeżenia. Żądasz, żebym ci pomogła. Obrażasz mnie, obnosząc się ze swoją ludzką zabawką. Dlaczego miałabym ci pomóc, a nie wszcząć alarmu i powiadomić wszystkich, że ośmieliłeś się wrócić?

– Laylah – wtrąca nerwowo Jozjasz. – Dowiedzieliby się, że to ja mu pomogłem.

– Nikt się nie dowie o twoim udziale, Jozjaszu – mówi Laylah. – To jak, Raffe? Nic nie odpowiesz? Nie będziesz mnie błagać? Przypochlebiać się?

– Powiedz, czego żądasz – odpowiada Raffe. – Jaka jest twoja cena.

Przyzwyczaiłam się, że to on zawsze panuje nad sytuacją. Przyzwyczaiłam się do jego dumy i władczości. To przykre widzieć go tak spiętego i zdanego na łaskę kobiety zachowującej się jak zraniona kochanka. Kto powiedział, że niebiańskie istoty nie mogą być małostkowe?

Laylah przenosi wzrok na mnie, jakby zamierzała powiedzieć, że jej ceną jest moje życie, ale zaraz spogląda z powrotem na Raffego. Kalkuluje w myślach.

Ktoś puka do drzwi.

Oczy Laylah rozszerzają się ze strachu. Jozjasz wygląda, jakby ktoś go właśnie skazał na męki piekielne.

– To tylko mój obiad – uspokaja Raffe. Otwiera drzwi, zanim ktokolwiek zdąży się schować.

W drzwiach stoi Dee-Dum. Choć z pewnością widzi wszystkie osoby w pokoju, z jego twarzy nie znika profesjonalna maska. Wciąż ma na sobie strój kamerdynera: frak i białe rękawiczki. Obok niego stoi wózek, na nim leży taca przykryta

srebrną pokrywą i sztucce na złożonej serwetce. Pokój ponownie wypełnia się aromatami ciepłego mięsa i świeżych warzyw.

– Gdzie mam to postawić, proszę pana? – pyta Dee-Dum. Nie daje po sobie poznać, że zna Raffego, nie reaguje również na jego niemal całkowitą nagość.

– Sam się tym zajmę. – Raffe odbiera od niego tacę. Również po nim nie widać, aby rozpoznał chłopaka, ale być może w obozie nie zwrócił uwagi na bliźniaków. Oni z pewnością dokładnie mu się przyjrzeni.

Drzwi się zamykają, Dee-Dum pochyla się w ukłonie, ale jego oczy do końca obserwują wnętrze pokoju. Jestem pewna, że zapamiętał każdy szczegół, każdą twarz.

Raffe nie odwrócił się do niego plecami, na których widać rany po odciętych skrzydłach, więc Dee-Dum może nadal uważać go za człowieka. Chyba że zauważył Raffego jeszcze w klubie, kiedy skrzydła wystawały mu spod marynarki. Tak czy inaczej, ludzie Abiego na pewno nie będą zadowoleni, że dwójka zbiegłych „gości” przebywa obecnie w gnieździe i to w towarzystwie aniołów. Ciekawe, czy gdyby Raffe otworzył teraz gwałtownym ruchem drzwi, przyłapałby Dee-Dum na podsłuchiowaniu?

Laylah nieco się uspokaja i siada na obitym skórą krześle. Wygląda jak królowa na tronie.

– Zjawiasz się nieproszony, karmisz naszym jedzeniem, urządzasz pokątnie niczym szczur i masz odwagę prosić o pomoc?

Uwierzcie, zamierzałam siedzieć cicho. Odzyskanie sprawnych skrzydeł jest dla Raffego równie ważne jak dla mnie uratowanie Paige, ale kiedy widzę, jak ta baba rozsiada się naprzeciwko panoramy zrujnowanego miasta, nie wytrzymuję:

– To nie jest wasze jedzenie i to nie jest wasz dom! – W

zasadzie wypluwam z siebie kolejne słowa.

– Penryn – upomina mnie Raffe, odkładając tacę na bar. W jego głosie słyszę ostrzeżenie.

– I nie obrażaj naszych szczurów. – Zaciskam pięści z taką siłą, że na skórze zostaje ślad po paznokciach. – One mają prawo tu mieszkać. W przeciwieństwie do was.

Atmosfera w pokoju robi się tak gęsta, że lada chwila się uduszę. Mogłam właśnie zaprzepaścić szansę Raffego na odzyskanie skrzydeł. Aryjka ma taką minę, jakby chciała rozerwać mnie na strzępy.

– No dobrze... – mówi uspokajającym głosem Jozjasz. – Zróbmy sobie małą przerwę i skoncentrujmy się na istotnych sprawach. – Przez swoje krwistoczerwone oczy i nienaturalnie białą karnację wydaje się najbardziej złowrogi z całej trójki. Ale wygląd to nie wszystko. – Raffe musi odzyskać skrzydła, a skoro tak, należy teraz ustalić, jaką korzyść powinno to przynieść pięknej Laylah, aby wszyscy byli zadowoleni. Bo przecież tylko to się liczy, prawda?

Spogląda na wszystkich po kolei. Chętnie powiedziałabym, że ja nie będę zadowolona, ale dość się już nagadałam.

– Znakomicie – kiwa głową Jozjasz. – A zatem, Laylah, powiedz, co możemy dla ciebie zrobić?

Ona opuszcza powieki z fałszywą skromnością.

– Coś wymyślę. – Jestem pewna, że doskonale wie, czego zażąda. Dlaczego nie chce powiedzieć tego na głos? – Przyjdź do mojego laboratorium za godzinę. Muszę się przygotować. A teraz daj mi skrzydła.

Raffe waha się, jak człowiek, który ma podpisać pakt z diabłem. W końcu wychodzi do sypialni, zostawiając mnie sam na sam z Laylah i Jozjaszem.

Niech się gryzą! Idę za Raffem. Znajduję go w łazience,

gdzie zawija skrzydła w ręczniki.

– Nie ufam jej – mówię.

– Słyszają każde twoje słowo.

– Mam to gdzieś. – Opieram się o framugę.

– Masz jakiś lepszy pomysł?

– A jeśli zabierze ci skrzydła?

– Wtedy zacznę się tym martwić. – Odkłada jedno skrzydło i zaczyna zawijać drugie w ręcznik o powierzchni prześcieradła.

– Będziesz na jej łasce.

– Już teraz jestem na jej łasce.

– Wciąż masz skrzydła.

– I co mam z nimi zrobić, Penryn? Powiesić sobie na ścianie? Jeżeli ktoś mi ich nie przyszyje, pozostaną bezużyteczne. – Raffe głaszcze dłonią fałdy skrzydeł. Zamyka oczy.

Czuję się jak idiotka. Rozstanie ze skrzydłami musi być dla niego trudne, a ja tylko mnożę wątpliwości.

Prześlizguje się obok mnie i znika za drzwiami. Zostaję w łazience, dopóki nie słyszę trzasku drzwi zamykających się za dwoma aniołami.

ROZDZIAŁ 33

Wpatruję się w ciemne okna wychodzące na zniszczone miasto.

– Opowiedz mi o Posłańcu.

Dopiero teraz nadarza się okazja, aby zadać to pytanie i zrozumieć wcześniejszą rozmowę z Jozjaszem.

– Bóg wydaje rozkazy Gabrielowi, który jest Posłańcem. Później Gabriel przekazuje nam wszystkim wolę Boga. – Raffe nabiera sobie kąpiatą łyżkę odgrzanego purée z ziemniaków. – A przynajmniej tak to wygląda w teorii.

– Czyli Bóg nie rozmawia z innymi aniołami?

– Na pewno nie rozmawia ze mną. – Raffe odkrawa kawałek krwistego steku. – Choć może dlatego, że nie cieszyłem się ostatnio wielką popularnością.

– A kiedykolwiek do ciebie przemówił?

– Nie. I wątpię, aby miał to uczynić w przyszłości.

– No ale ze słów Jozjasza wynikało, że możesz zostać następnym Posłańcem.

– To by dopiero była ironia losu, prawda? Choć niewykluczone, że tak się stanie. Formalnie jestem w gronie kandydatów.

– Dlaczego byłaby to ironia losu?

– Ponieważ, panno Ciekawska, jestem agnastykiem.

W ciągu minionych dwóch miesięcy wiele rzeczy mnie zaskoczyło, ale ta odpowiedź zupełnie zbija mnie z tropu.

– Jesteś... agnastykiem? – Przyglądam mu się uważnie, szukając oznak rozbawienia. – Nie jesteś pewny, czy Bóg istnieje? – Wygląda śmiertelnie poważnie. – Jak to możliwe?

Jesteś aniołem, na litość boską!

– No i co?

– No i to, że jesteś istotą bożą. On cię stworzył.

– Was też podobno stworzył, a czy niektórzy ludzie nie wątpią w jego istnienie?

– I owszem, ale z nami Bóg nie rozmawia. To znaczy nie rozmawia ze mną. – „Co innego z moją matką”, myślę. – Owszem, przyznaję, niektórzy ludzie twierdzą, że rozmawiają z Bogiem albo Bóg do nich przemawia. Ale skąd miałabym wiedzieć, czy mówią prawdę?

Moja matka nie rozmawia z Bogiem nawet w naszym języku, tylko w jakimś wymyślonym, zrozumiałym tylko dla niej. Jeśli chodzi o wiarę, jest fanatyczką. Dokładnie rzecz biorąc, fanatycznie wierzy w diabła.

A ja? Nawet teraz, mimo aniołów i wszystkiego innego, nadal nie potrafię uwierzyć w jej Boga. Przyznaję, że kiedy zapada późna noc, troszeczkę obawiam się diabła, ale w ogólnym rozrachunku należałoby mnie chyba nazwać agnostyczką. A jeśli anioły są tylko istotami przybyłymi z innej planety, które próbują nas oszukać i skłonić do poddania się bez walki? Nie znam prawdy i podejrzewam, że nigdy nie poznam odpowiedzi na pytanie o istnienie Boga, aniołów i większości innych tajemnic. Zdążyłam się z tym pogodzić.

A teraz spotkałam anioła agnostyka.

– Czuję się skołowana – mówię i siadam na stole.

– Słowo Posłańca jest uznawane za Słowo Boże. Działamy na jego podstawie. Zawsze tak było. Ale czy w to wierzymy, czy Posłaniec wierzy, to już inna sprawa.

– A zatem jeśli następny Posłaniec powie, że należy zabić ludzi tylko dlatego, że będzie miał taki kaprys, to anioły to zrobią?

– Bez wątpienia. – Bierze do ust ostatni kawałek krwistego steku.

Rozmyślam nad tym, co usłyszałam. Raffe wstaje i przygotowuje się do operacji.

Zakłada plecak. Owinął go białymi ręcznikami, dzięki czemu będzie się wydawało, że skrzydła nadal znajdują się pod marynarką.

Wstaję, aby mu pomóc w odpowiednim ułożeniu plecaka.

– Czy to nie będzie wyglądało podejrzanie?

– Wybieram się w raczej odludne miejsce.

Podchodzi do drzwi prowadzących na korytarz i przystaje.

– Jeżeli nie wrócę przed świtem, odszukaj Jozjasza. Pomoże ci się wydostać z gniazda.

Czuję uścisk w piersi.

Nie wiem nawet, dokąd idzie. Pewnie w jakiś zaułek, gdzie w słabo oświetlonym pomieszczeniu, za pomocą brudnych narzędzi operację wykona rzeźnik.

– Zaczekaj. – Wskazuję na miecz leżący na barze. – Nie zabierasz go?

– Nie spodobałby jej się widok tych wszystkich skalpeli i igieł, którymi będą mnie dźgać. Nie pomogłaby mi na stole operacyjnym.

Robi mi się słabo na myśl, że będzie tam leżał bezbronny, otoczony przez wrogo nastawione anioły. Nie wspominając o tym, że w trakcie operacji może dojść do ataku ruchu oporu.

Powinnam go ostrzec?

I zaryzykować, że przekaze tę informację swoim braciom? Starym przyjaciółom i lojalnym żołnierzom?

Jak by postąpił, gdyby wiedział? Odwołałby operację, tracąc jedyną szansę na odzyskanie skrzydeł? W żadnym wypadku.

Raffe bez słowa znika za drzwiami.

ROZDZIAŁ 34

Krążę po pokoju, próbując coś wykombinować.

Jestem zbyt podniecona, aby usiedzieć spokojnie w jednym miejscu. W głowie kłębią mi się myśli związane z Paige, matką, Raffem i ruchem oporu.

Jak długo mogę się objadać i odpoczywać w apartamencie, otoczona luksusami, skoro Paige przebywa gdzieś blisko? Problem w tym, że w takim tempie minie kilka tygodni, zanim wpadnę na jej trop. Żałuję, że muszę beczynnie czekać, aż Raffe wróci z operacji.

Z tego, co zauważyłam, ludzie mogą się poruszać po gnieździe wyłącznie w towarzystwie aniołów. Chyba że pracują jako służący...

Odrzucam kilka szalonych pomysłów w rodzaju napadnięcia na służącą o podobnej figurze i zabrania jej uniformu. Takie numery przechodzą w filmach, ale gdyby przeze mnie taka kobieta została wyrzucona z gniazda, skazałabym ileś osób na śmierć głodową. Nawet jeśli nie pochwalam ludzi pracujących dla aniołów, nie mam prawa osądzać, w jaki sposób próbują przetrwać w tak skrajnie ciężkich warunkach i wyżywić rodzinę, prawda?

Podnoszę słuchawkę i zamawiam do pokoju butelkę szampana. Postanawiam nie prosić bezpośrednio, aby przyniósł mi ją Dee-Dum, i zdaję się na los.

W Świecie Przed byłabym zbyt młoda, aby legalnie napić się alkoholu, nie wspominając o zamówieniu butelki szampana do apartamentu, którego wynajęcie musiałoby kosztować tysiąc dolarów za noc. Krążę po pokoju, analizując wszystkie możliwe

scenariusze wydarzeń. Kiedy zaczynam się już obawiać, że wydepczę okrąg na pluszowym dywanie, rozlega się pukanie do drzwi.

Proszę, błagam, żeby to był Dee-Dum.

Otwieram drzwi i widzę wystraszoną kobietę. Spod czupryny brązowych kręconych włosów spoglądają na mnie czarne oczy. Jestem tak zawiedziona, że czuję metaliczny posmak w ustach. Zaczynam ponownie rozważać pomysł, aby wciągnąć ją do środka i przywłaszczyć sobie czarno-biały uniform. Kobieta ma na sobie długą czarną spódnicę, śnieżnobiałą koszulę i kobiecy odpowiednik smokingu, czyli czarną marynarkę sięgającą do pasa. Jest ode mnie nieco postawniejsza.

Zapraszam ją gestem do środka. Podchodzi do stolika i kładzie na nim tacę.

– Masz rodzinę? – pytam.

Odwraca się i spogląda na mnie wzrokiem wystraszonego królika. Kiwa głową. Kędzierzawe włosy opadają na oczy.

– Czy dzięki pracy tutaj możesz ich wyżywić?

Ponownie kiwa głową, ale w jej wzroku pojawia się nieufność. Kilka miesięcy temu była pewnie zwykłą niewinną kobietą, ale z dzisiejszej perspektywy równie dobrze mogłoby to być poprzednie wcielenie. Strach nieco za szybko znika z jej oczu. Ta dziewczyna musiała wywalczyć sobie posadę, a sądząc po ponurej minie, wielokrotnie walczyła również o jej utrzymanie.

– Ile osób dostarcza jedzenie i napoje do pokoi?

– A co?

– Jestem po prostu ciekawa. – Zastanawiam się, czy nie powiedzieć, że szukam Dee-Dum, ale wolę nie narażać go na niebezpieczeństwo. Zbyt mało wiem o społeczności aniołów i

machinacjach środowiska służących, aby tak z miejsca sypać nazwiskami.

– Jakież sześć osób. – Wzrusza jednym ramieniem, nie odrywając ode mnie zaniepokojonego wzroku. Zaczyna się wycofywać w stronę drzwi.

– Dostawy realizujecie na zmianę?

Kiwa głową. Pośpiesznie zerka na drzwi sypialni, zapewne ciekawa, gdzie podział się mój anioł.

– Boisz się mnie? – pytam celowo groźnym tonem. Natychmiast przenosi wzrok z powrotem na mnie. Niczym wampir ruszam w jej stronę z wygłodniałym wyrazem twarzy. Improvizuję, ale widzę, że faktycznie ją przeraziłam. Lepsze to niż gdyby zaczęła się ze mnie śmiać.

Kiedy się zbliżam, ona otwiera szeroko oczy, chwyta klamkę i praktycznie wybiega z pokoju.

Mam nadzieję, że nie podejmie się realizowania kolejnych zamówień do mojego pokoju. W najgorszym razie muszę ich złożyć jeszcze pięć.

Okazuje się, że wystarczają dwa, aby w drzwiach pojawił się Dee-Dum z wielkim kawałkiem sernika. Zamykam za nim szybko drzwi i opieram się o nie, jakby miało go to skłonić do udzielenia mi pomocy.

Przed wszystkim chciałabym zapytać, kiedy nastąpi atak, ale ponieważ widział mnie w towarzystwie aniołów, mógłby nabrać podejrzeń, gdybym zaczęła wypytywać go o plan działań. W tej sytuacji przechodzę od razu do zasadniczej sprawy:

– Wiesz, gdzie przetrzymują dzieci? – Nie wydaje mi się, abym mówiła za głośno, mimo to Dee-Dum wykonuje szybki gest dłonią, jakby mnie uciszał. Zerka w stronę sypialni.

– Poszli sobie – wyjaśniam szeptem. – Pomóż mi, proszę. Muszę odnaleźć moją siostrzyczkę.

Wpatruje się we mnie przez dłuższą chwilę, po czym wyciąga pióro i bloczek, w którym jako kelner zapisuje zamówienia. Pisze coś i podaje mi notatnik. Wiadomość brzmi: „Uciekaj, póki możesz”.

Wyciągam rękę po pióro i odpisuję na tej samej kartce. Kilka miesięcy temu naturalnym odruchem byłoby oderwanie pierwszej kartki i użycie czystej, ale ten notes może być ostatnim plikiem papieru, jaki będziemy kiedykolwiek trzymać w rękach. „Nie mogę. Muszę ratować siostrę”.

„Zginiesz”.

„Dysponuję informacjami o Nich”.

Unosi pytająco brew.

Czym mogłabym wzbudzić jego zainteresowanie?

„W ich polityce wewnętrznej panuje chaos. Nie wiedzą, po co tu są”.

„Ilu ich jest?”, pyta.

„Nie wiem”.

„Uzbrojenie?”.

„Nie wiem”.

„Plan ataku?”.

Przygryzam wargę. Nie wiem o niczym, co miałoby bezpośrednio przełożenie na strategię militarną ruchu oporu, tymczasem jemu wyraźnie zależy na takich informacjach.

– Błagam, pomóż mi – szepczę.

Przygląda mi się uważnie przez dłuższą chwilę. W jego oczach dostrzegam chłodną kalkulację. Takie wyrachowanie niezbyt pasuje do różowej, piegowatej twarzy. Nie zależy mi na nieczułym superszpiegu. Chciałabym porozmawiać z Dee-Dum, normalnym chłopakiem, który lubi żartować i się wygłupiać.

Piszę: „Jesteś mi coś winien, pamiętasz?”. Uśmiecham się delikatnie, próbując obudzić radosnego bliźniaka, którego

poznałam w obozie. Moja strategia zaczyna działać. Jego twarz lekko się rozpogadza, zapewne na wspomnienie bójki dwóch dziewczyn. Jak bardzo obóz ucierpiał podczas ataku? Czy po naszym odejściu demony zostawiły ich w spokoju?

Pisze: „Zaprowadzę cię w miejsce, gdzie mogą trzymać dzieci. Później będziesz zdana tylko na siebie”.

Jestem tak podekscytowana, że rzucam mu się na szyję.

– Czy mogę coś jeszcze dla panienki zrobić? – pyta, kiwając energicznie głową. Mam złożyć nowe zamówienie.

– No... tak. Poproszę o... tabliczkę czekolady. – Czekoladki przeznaczone dla Paige wciąż spoczywają na dnie plecaka w samochodzie. Bardzo bym chciała dać jej czekoladę w chwili, gdy się znowu zobaczymy.

– Oczywiście – odpowiada. Wyciąga z kieszeni zapalniczkę i podpala kartkę, na której do siebie pisaliśmy. – Zaraz ją panience przyniosę. – Płomienie szybko trawią skrawek papieru. Zostają po nim tylko poskręcane resztki popiołu i woń spalenizny.

Puszcza wodę w umywalce przy barze, wrzuca do niej popiół i czeka, aż zniknie w odpływie. Bierze widelec z tacy, odkrawa sobie wielki kawał sernika i wkłada go do buzi. Mruga porozumiewawczo i wychodzi, sygnalizując otwartą dłoń, abym została w pokoju.

W oczekiwaniu na jego powrót krążę po dywanie, wydeptując jeszcze większy okrąg. Zastanawiam się, dlaczego obawiał się powiedzieć cokolwiek na głos i co robi w hotelu.

Wydawałoby się, że komunikacja za pomocą pióra i kartki to przesadna ostrożność, biorąc pod uwagę grubość ścian i harmider panujący w gnieździe. Podejrzewam, że Raffe by mnie ostrzegł, gdyby rozmowy w pokojach były ryzykowne. Ludzie Abiego pewnie tego nie wiedzą, ponieważ nie mają w swoich

szeregach anioła. Abi może i dysponuje siatką szpiegów i informatorów, ale na temat aniołów wiem więcej od niego.

Dee-Dum wraca z uniformem służącej i wielką tabliczką mlecznej czekolady z orzechami. Pośpiesznie się przebieram. Z ulgą stwierdzam, że buty są wygodne – mają płaskie podeszwy i zostały wykonane specjalnie dla kelnerek, które całe dnie spędzają na nogach. W takich butach będę mogła biec. Sprawy zaczynają wyglądać optymistycznie.

Kiedy Dee-Dum wyciąga notatnik, informuję go, że anioły nie mogą nas usłyszeć. Posyła mi sceptyczne spojrzenie, mimo że zapewniam go o tym po raz drugi. Odzywa się dopiero wtedy, gdy biorę do ręki miecz Raffego.

– Co u diabła? – mówi cicho. Ważne, że mówi. Wpatruje się w miecz, kiedy przywiązuję sobie pochwę na plecach.

– Czasy są niebezpieczne, Dee-Dum. Każda dziewczyna powinna nosić przy sobie coś szpiczastego. – Z konieczności przypinam miecz do góry nogami i przekrzywiony na bok, aby rękojeść nie wplątywała mi się we włosy i nie wystawała nad głowę.

– Wygląda jak miecz anioła.

– Ale oczywiście nim nie jest, bo nie potrafiłabym go unieść, prawda?

Kiwa głową.

– Zgadza się.

Odpowiada zbyt pewnie jak na człowieka, który nigdy nie trzymał w dłoni anielskiego miecza. Domyślam się, że musiał kilka razy próbować.

Sprawdzam, czy skórzany pasek przytrzymujący jelec odpina się na tyle łatwo, abym mogła dobyć miecza jedną ręką.

Dee-Dum nadal przygląda mi się podejrzliwie, jakby wiedział, że go oszukałam, tylko nie potrafił tego udowodnić.

– Na pewno robi mniej hałasu niż broń palna. Gdzie znalazłaś takie cudo?

– W jednym z domów. Właściciel musiał kolekcjonować miecze.

Zakładam krótką kurteczkę, która wchodzi w skład uniformu. Jest trochę zbyt obszerna, dzięki czemu wygodnie układa się na przypiętym do pleców mieczu. Nie zakrywa całej głowicy, ale żeby ją zauważyć, należałoby mi się uważnie przyjrzeć. Długie włosy powinny częściowo zakryć nienaturalną krzywiznę pleców.

Dee-Dum wyraźnie ma ochotę wypytać mnie o miecz, ale chyba nie potrafi wymyślić żadnego sensownego pytania. Daję mu znak, żeby szedł przodem.

Najtrudniejsze podczas przejścia przez tłum na parterze to zachowywać się normalnie. Głowica miecza obija mi się delikatnie o biodro. Najchętniej uciekłabym chyłkiem w jakiś ciemny kąt i zniknęła. Dzięki uniformom służących pozostaniemy niewidzialni, dopóki będziemy się zachowywać w odpowiedni sposób.

Jedyną osobą, która zwraca na mnie uwagę, jest recepcjonista. Ogarnia mnie przerażenie, kiedy dostrzegam w jego oczach, że mnie rozpoznał. Spogląda na Dee-Dum. Wymieniają spojrzenia, po czym recepcjonista wraca do studiowania jakichś dokumentów, jakby nic się nie wydarzyło.

– Zaczekaj tu – mówi Dee-Dum. Zostawia mnie w cieniu i podchodzi do recepcji.

Ciekawe, ilu członków ruchu oporu pracuje w gnieździe?

Zamieniają kilka słów. Dee-Dum rusza w stronę wyjścia, dając mi ręką znak, abym szła za nim. Przyśpiesza kroku.

Ze zdumieniem spostrzegam, że wyprowadza nas z budynku. Tłum przed wejściem zgęstniał. Strażnicy mają zbyt wiele na głowie, aby nas zauważyć.

Jestem jeszcze bardziej zdziwiona, gdy wprowadza mnie w boczną uliczkę przylegającą do hotelu. Muszę się poruszać truchtem, żeby za nim nadążyć.

– Co się dzieje? – pytam szeptem.

– Plany się zmieniły. Wszystko wkrótce się zacznie. Pokażę ci, gdzie masz iść, ale później muszę się zająć innymi sprawami.

Wkrótce.

Truchtam za nim, starając się zachować spokój.

Po raz pierwszy nie potrafię stłumić trawiących mnie od środka wątpliwości. Czy znajdę Paige na czas? W jaki sposób wydostanę ją bez wózka inwalidzkiego? Mogę wziąć ją na barana, ale nie będę wtedy mogła biec ani walczyć. Staniemy się niezdarnym, łatwym celem.

A co z Raffem?

Po prawej stronie dostrzegam zamknięty zsuwaną kratą zjazd do podziemnego parkingu. Dee-Dum prowadzi mnie w jego stronę.

Mam pełną świadomość, że w środku nocy wyszliśmy nieuzbrojeni na ulicę. Ogarnia mnie jeszcze silniejszy lęk, gdy pod ścianami zaułka dostrzegam oczy obserwujących nas ludzi, którzy schronili się tu przed wiatrem. Nie przypominają oczu nadnaturalnych istot, ale nigdy nic nie wiadomo.

– Dlaczego nie zeszliśmy do piwnicy wprost z holu – pytam.

– Schody są pod ciągłą obserwacją. Masz znacznie większe szanse dostać się od tyłu.

Przy zakratowanym zjeździe znajdują się metalowe drzwi, które prowadzą do garażu. Dee-Dum wyciąga z kieszeni wielki

pęk kluczy. Przegląda je i pośpiesznie wypróbowuje kilka.

– Nie wiesz, który pasuje? Sądziłam, że zawsze jesteś przygotowany.

– Bo jestem – odpowiada z szelmowskim uśmieszkiem. – Ale to nie są moje klucze.

– Będiesz musiał mnie kiedyś nauczyć tych sztuczek kieszonkowców.

Podnosi wzrok, aby odpowiedzieć. Jego twarz momentalnie tężeje. Odwracam się.

Z ciemnych zakamarków zaułka wyłoniło się kilka cieni. Zmierzają w naszą stronę.

Dee-Dum odsuwa się od drzwi i przyjmuje postawę zapaśnika szykującego się do starcia. Zastanawiam się, czy powinnam uciekać, czy też podjąć walkę z czterema mężczyznami, którzy nas otoczyli.

Księżyc wyziera zza burzowych chmur. Dostrzegam zarysy pomarszczonych, nieumytych ciał, obszarpanych ubrań i dzikich spojrzeń. Ciekawe, jak dostali się na teren gniazda? Pewnie równie dobrze mogłabym zapytać, w jaki sposób szczury dostają się do piwnic domów. Dostają się i tyle.

– Ścierwa z hotelu – mówi jeden. Omiata wzrokiem nasze czyste ubrania, nasze świeżo umyte ciała. – Macie jakieś jedzenie?

– Tak właśnie – dopowiada drugi. Wymachuje ciężkim łańcuchem w rodzaju tych, które widuje się w warsztatach samochodowych. – Może coś z tych wymyślnych dziwkarskich przystawek?

– Panowie, jesteśmy po tej samej stronie – mówi Dee-Dum uspokajającym głosem. – Wszyscy walczymy o tę samą sprawę.

– Ty gnoju! – Pierwszy robi krok w naszą stronę. – Kiedy ostatni raz byłeś głodny, co? Tę samą sprawę... akurat.

Gość z łańcuchem zaczyna nim wywijać jak lassem. Podejrzewam, że chce nas tylko nastraszyć, ale nie mogę być tego pewna.

Napinam mięśnie, szykując się do walki. Żałuję, że nie miałam wcześniej okazji poćwiczyć walki mieczem, ale nie dysponuję lepszym sposobem na sparowanie ataku łańcuchem.

Odpinam pasek zabezpieczający i wysuwam miecz z pochwy.

ROZDZIAŁ 35

Penryn?

Wszyscy odwracają się w stronę nowego uczestnika rozmowy.

Jedna z postaci skulonych pod ścianą podnosi się z ziemi i wychodzi z cienia.

Moja matka zmierza w naszą stronę z szeroko rozłożonymi ramionami. Wiszący u pasa oścień wygląda jak wielki brelok z krainy obłąkanych. Serce podchodzi mi do gardła. Matka uśmiecha się szeroko, nieświadoma zagrożenia.

Radosny, żółty sweter, który narzuciła sobie na ramiona, furkocze na wietrze niczym mała peleryna. Mija mężczyzn jakby byli przezroczyści. Może naprawdę ich nie widzi. Przytula mnie, ściska mocno i obraca wokół siebie.

– Tak bardzo się martwiłam! – Głaszcze mnie po włosach i sprawdza, czy nie jestem ranna. Wygląda na uszczęśliwioną.

Wyswobadzam się z uścisku. Jak ja ją teraz obronię?

Mam już dobyć miecza, kiedy zauważam, że mężczyźni się cofnęli i stoją nieco dalej. Chwilę wcześniej wyglądali groźnie, teraz wydają się podenerwowani. Łańcuch używany w charakterze lassa służy teraz za sznur koralików, nerwowo przesuwanych między palcami.

– Przepraszamy, przepraszamy – zwraca się do matki pierwszy mężczyzna. Unosi ręce w obronnym geście. – Nie zdawaliśmy sobie sprawy.

– Tak właśnie – dodaje ten z łańcuchem. – Nie mieliśmy wrogich zamiarów. Naprawdę. – Wycofuje się nerwowo w cień.

Rozpierzchają się. Dee-Dum i ja przyglądamy się całej

scenie ze zdumieniem.

– Widzę, że zdobyłaś kilku nowych przyjaciół, mamó.

Ona spogląda podejrzliwie na Dee-Dum.

– Wynocha! – Chwyta za oścień i kieruje go w stronę chłopaka.

– On jest w porządku. Znamy się.

Matka uderza mnie karcąco w głowę z taką siłą, że mogłaby mnie zranić.

– Tak bardzo się o ciebie niepokoiłam! Gdzie się podziewałaś? Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nikomu nie ufała?

Nie cierpię, kiedy to robi. Nie ma nic bardziej upokarzającego niż klaps od postrzelonej matki na oczach przyjaciół.

Dee-Dum wpatruje się w nas w zdumieniu. Choć zgrywa twardziela i popisuje się swoimi umiejętnościami kieszonkowca, nie pochodzi ze świata, gdzie matki biją swoje dzieci.

Wyciągam rękę w jego stronę.

– Wszystko OK. Nie ma powodów do obaw. – Odwracam się do matki. – Pomaga mi znaleźć Paige.

– Kłamie. Przyjrzyj mu się. – Do oczu napływają jej łzy. Wie, że nie posłucham jej ostrzeżeń. – Podstępem zwabi cię do jakiejś dziury, zaprowadzi prosto do piekła i już nigdy stamtąd nie wyjdiesz. Przykuje cię do ściany, zostaniesz żywcem zjedzona przez szczury. Nie potrafisz przejrzeć jego zamiarów?

Dee-Dum spogląda na przemian na mnie i matkę, wyraźnie zszokowany. Nigdy wcześniej tak bardzo nie przypominał małego chłopca.

– Wystarczy, mamó. – Podchodzę do metalowych drzwi obok zakratowanego wjazdu do garażu. – Albo będziesz cicho, albo cię tu zostawię i pójdę szukać Paige sama.

Podbiega do mnie i łapie mnie za rękę.

– Nie zostawiaj mnie tu samej! – Z szalonego wzroku odczytuję resztę zdania: samej z demonami.

Powstrzymuję się przed wygłoszeniem komentarza, że to ona wydaje się najbardziej przerażającą istotą w okolicy.

– W takim razie nic nie mów, dobrze?

Kiwa głową. Na jej twarzy malują się cierpienie i strach.

Daję znak Dee-Dum, aby szedł przodem. On nadal wpatruje się w nas nieruchomo, zapewne próbując zrozumieć cokolwiek z całej sytuacji. Chwilę później wyjmuję pęk kluczy, zerkając z obawą na mamę. Próbuje kilka, wreszcie znajduje właściwy. Wzdrygam się, kiedy słyszę skrzypnięcie otwieranych drzwi.

– Na samym końcu garażu po prawej stronie znajdziesz drzwi.

– Co zastanę w środku?

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że wśród służby krążą pogłoski, że w środku znajduje się coś... co przypomina dzieci. Ale kto wie? Może trzymają tam karły.

Wypuszczam powietrze z płuc, próbując się uspokoić. Serce trzepocze mi w piersi niczym konające ptaszę. Kołacze się jeszcze we mnie nadzieja, że Dee-Dum zaofiaruje się pójść z nami.

– Zdajesz sobie sprawę, że to samobójcza misja? – pyta. To by było na tyle, jeśli chodzi o propozycję współpracy.

– Na tym polegał twój plan? Że pokażesz mi drogę, a później zaczniesz przekonywać, że nie zdołam ocalić siostry?

– Mój plan zakładał, że zostanę rockmanem, zjeżdżę świat otoczony gromadą fanek, a potem potwornie utyję i spędzę resztę życia, grając na komputerze, otoczony wianuszkiem dziewczyn przekonanych, że wciąż wyglądam równie dobrze jak za czasów kariery muzycznej. – Wzrusza ramionami, jakby

chciał powiedzieć: „Kto by pomyślał, że świat się tak bardzo zmieni?”.

– Pomożesz mi?

– Przykro mi, mała. Jeżeli będę chciał popełnić samobójstwo, wybiorę znacznie efektowniejszy sposób niż krwawa jatka w piwnicy podczas próby ratowania czyjejs siostry. – Uśmiecha się, łagodząc nieco ponurą wymowę tych słów. – Poza tym muszę się pilnie zająć kilkoma innymi sprawami.

Kiwam głową.

– Dziękuję, że mnie tu przyprowadziłeś.

Matka ściska moje ramię, przypominając bezgłośnie, że jej zdaniem Dee-Dum kłamie. Uświadamiam sobie, że żegnam się z nim w taki sposób, jakbym sama uważała moją misję za samobójczą.

Spycham wszelkie wątpliwości w głęboki zakamarek. Moja misja w dużej mierze przypomina skok nad przepaścią – kto nie wierzy, że mu się uda, na sto procent spadnie.

Przechodzę przez drzwi.

– Naprawdę tam idziesz? – pyta Dee-Dum.

– Gdyby trzymali tam twojego brata, to byś nie poszedł?

Po krótkim wahaniu ściska lekko moje ramię.

– Posłuchaj uważnie. Musisz opuścić to miejsce w ciągu godziny. Uwierz mi. Uciekaj jak najdalej.

Zanim mam okazję zapytać, co konkretnie się wydarzy, znika w ciemnościach.

Godzina?

Czyżby ruch oporu zamierzał przeprowadzić atak za godzinę?

Ostrzeżenie dodatkowo zwiększa presję. Nie zaryzykowałby dekonspiracji, a zatem zostało tak mało czasu, że

nawet gdybym została schwytana i przesłuchana, nie zdołam pokrzyżować im planów.

Jednocześnie nie mogę się opędzić od wizji bezbronnego Raffego leżącego na stole operacyjnym. Nie mam pojęcia, gdzie teraz jest.

Biorę głęboki, uspokajający oddech.

Wchodzę do ciemnej jaskini, będącej niegdyś garażem.

Po przejściu kilku kroków wpadam w panikę. Otaczają nas całkowite ciemności. Matka łapie mnie za rękę z taką siłą, że chyba robi mi siniaka.

– To pułapka – szepcze mi do ucha. Czuję, że cała się trzęsie. Uspokajająco ściskam jej rękę.

Muszę odczekać, aż oczy przyzwyczają się do ciemności, zakładając oczywiście, że wokół nas znajduje się cokolwiek, co można zobaczyć. Mam poczucie, że stoimy w ogromnej hali. Jedyne dźwięk, jaki słyszę, to nerwowy oddech matki.

Czekamy kilka chwil, ale wydaje się, jakby to były godziny. Mój umysł krzyczy: „Szybciej! Szybciej! Szybciej!”.

Kiedy dostrzegam pierwsze szczegóły otoczenia, przestaję się czuć jak cel oświetlony reflektorem.

Stoimy w podziemnym garażu między porzuconymi samochodami, które czają się w ciemnościach. Sklepienie wydaje się jednocześnie rozległe i niskie. W pierwszej chwili dostrzegam przed sobą kilku olbrzymów, ale orientuję się, że to tylko betonowe kolumny. Ciemność skrywa labirynt samochodów i filarów.

Miecz trzymam wyciągnięty przed siebie jak różdżkę. Za żadne skarby świata nie chcę się zagłębiać w mroczne czeluście, bo musiałabym się oddalić od bladej poświaty wpadającej przez zakratowaną bramę. Niemniej tam właśnie muszę się udać, jeśli chcę znaleźć Paige. Garaż wydaje się opustoszały, więc korci

mnie, aby zawołać ją po imieniu, ale wiem, że to fatalny pomysł.

Wkraczam niepewnie w niemal całkowite ciemności, uważając, aby się o coś nie potknąć. Zaczepiam nogą o, jak się zdaje, torebkę z rozsypaną zawartością. Niemal tracę równowagę, ale żelazny uścisk matki pomaga mi się utrzymać w pionie.

Odgłosy moich kroków odbijają się echem w ciemnościach. Nie tylko zdradzam w ten sposób swoje położenie, ale utrudniam sobie usłyszenie skradającego się napastnika. Matka jest cicha jak myszka. Nawet jej oddech stał się spokojniejszy. Ma spore doświadczenie w przemykaniu skrycie w ciemnościach, w unikaniu Prześladowców.

Wpadam na samochód i, pomagając sobie ręką, ruszam wzdłuż rzędu pojazdów stojących na, jak się domyślam, ukośnie zorientowanych miejscach parkingowych. Miecz pełni teraz funkcję raczej laski niż broni.

Niemal przewracam się o walizkę. Ktoś musiał ją porzucić w tym miejscu, gdy zrozumiał, że jego rzeczy straciły jakąkolwiek wartość. Dziwne, że się nie wywróciłam, bo w czeluściach garażu powinny panować całkowite ciemności. A jednak dostrzegam, z trudem, bo z trudem, prostokątny zarys walizki. Gdzieś w pobliżu znajduje się słabe źródło światła.

Próbuję je zlokalizować, pomagając sobie kierunkiem padania cieni. Straciłam orientację w labiryncie samochodów. Mogłybyśmy krążyć między nimi przez całą noc.

Skręcamy jeszcze dwukrotnie. Za każdym razem cienie stają się odrobinę wyraźniejsze. Tak niewielką odrobinę, że gdybym nie obserwowała tych zmian świadomie, nigdy bym ich nie zauważyła.

W końcu dostrzegam źródło światła. Jest tak słabe, że widać je wyłącznie dzięki kontrastowi z ciemnością panującą w

garażu. To cienka rysa biegnąca wokół drzwi. Przykładam do nich ucho, ale nic nie słyszę.

Uchylam drzwi. Za nimi znajduje się klatka schodowa. Słabe źródło światła znajduje się w dole.

Zamykam za nami drzwi możliwie bezszelestnie i ruszam w dół po schodach. Na szczęście stopnie są betonowe, a nie metalowe, więc naszym krokom nie towarzyszy dudnienie.

Schody kończą się przy kolejnych zamkniętych drzwiach. Przez szparę sączy się jasne światło. Przykładam ucho do drzwi. Słyszę rozmowę.

Nie rozróżniam słów, ale identyfikuję co najmniej dwa głosy. Czekamy, przycupnięte w ciemności pod drzwiami, przyciskając do nich uszy. Mam nadzieję, że w piwnicy znajdują się jeszcze jedne drzwi, przez które te istoty w końcu wyjdą.

Głosy się oddalają i milkną. Przez kilka długich chwil wsluchujemy się w ciszę, po czym uchylam drzwi. Oby tylko nie zaskrzypiały. Otwierają się bezgłośnie.

Za nimi ukazuje się naszym oczom betonowe pomieszczenie wielkości dużego magazynu. Pierwsze, co zauważam, to niekończące się rzędy szklanych filarów. Są tak duże, że pomieściłyby w sobie dorosłego człowieka.

W środku znajdują się istoty przypominające powykrzywiane, skorpionowate anioły.

ROZDZIAŁ 36

Nawet jeśli w pewnym stopniu są podobne do aniołów z półprzezroczystymi skrzydłami złożonymi na grzbietach, bez wątplenia aniołami nie są. A przynajmniej nie przypominają żadnego anioła, którego widziałam. Albo którego chciałabym zobaczyć.

Wydają się jakieś takie wynaturzone. Unoszą się w kolumnach przezroczystej cieczy, a ten widok kojarzy mi się z macicą zwierzęcia, które nie powinno istnieć.

Niektóre, o rozmiarach dorosłego człowieka, przyjęły pozycję embrionalną, a mimo to wydają się całe pokryte mięśniami. Inne są mniejsze, jakby walczyły o przeżycie. Kilka wygląda jakbyssało kciuk. Człowieczeństwo tego gestu wydaje mi się szczególnie zatrważające.

Od przodu podobni do ludzi, z tyłu i z boku przypominają pozaziemskie istoty. Z kości ogonowej wyrasta im pękaty skorpionowaty ogon, zawinięty nad głową i zakończony kolcem gotowym do zadania ciosu. Przeszywa mnie dreszcz, bo na widok ogonów odżywa wspomnienie sennego koszmaru.

Tylko kilka istot ma częściowo rozłożone skrzydła – przylegają do walcowatego wnętrza filaru i drgają, jakby pobudzone snem o lataniu. Ale one i tak są mniej przerażające od istot z drgającymi ogonami, które wydają się śnić o mordowaniu.

Oczy mają zasłonięte częściowo wykształconymi powiekami. Głowy są pozbawione włosów, półprzezroczyste. Pod powierzchnią czaszek widać sieć żył i mięśni. Istoty te, czymkolwiek są, wciąż znajdują się w fazie rozwoju.

Na ile mogę, zasłaniam matce widok. Gdyby zajrzała do pomieszczenia, niechybnie wpadłaby w panikę, choć akurat w tym wypadku jej reakcja byłaby racjonalna.

Gestem ręki pokazuję, żeby zaczekała. Robię groźną minę, aby wiedziała, że nie żartuję. Nie mam pojęcia, czy to poskutkuje. Mam nadzieję, że matka nie ruszy się spod drzwi. Teraz naprawdę nie mam czasu się nią zajmować. Nigdy nie przypuszczałam, że kiedykolwiek będę wdzięczna za jej szaleństwo, ale dzięki niemu prawdopodobnie przycupnie w ciemnym kącie, jak królik w norze, i zaczeka na mój powrót. W razie niebezpieczeństwa może się bronić ościeniem.

Czuję obezwładniający uścisk w żołądku na myśl, co zamierzam zrobić. Ale Paige gdzieś tam jest, a ja nie mogę jej zostawić.

Zmuszam się do wejścia do olbrzymiej sali.

Wypełnia ją klinicznie chłodne powietrze o zapachu formaliny, która kojarzy mi się z rzędami słoików zawierających martwe okazy. Ostrożnie wchodzę między szklane kolumny i zmierzam w stronę przeciwległej części pomieszczenia.

Idąc między nimi, zauważam na dnie zbiorników coś przypominającego łachmany i wodorosty. Przeszywa mnie dreszcz. Szybko odwracam wzrok, aby nie zobaczyć niczego więcej.

W tej samej chwili dostrzegam coś, co rozpala niepewność do stanu przerażenia.

Jeden z zanurzonych w szklanym pojemniku potworów trzyma w miłosnych objęciach kobietę. Ogon wystający z nad jego głowy opada w stronę kobiety – kolec zagłębił się w jej karku.

Jedno ramię seksownej sukienki ściągnięto z przeraźliwie chudego ramienia, a skorpionowaty anioł wpija się

ustami w obwisłą pierś kobiety. Jej skóra jest pomarszczona, jakby stwór wysysał cały płyn z umierającego ciała.

Ktoś nałożył jej na usta i nos maskę tlenową, z której wychodzą czarne rurki biegnące ku pokrywie zbiornika. Przypominają powykręcaną pępowinę. Jediną poruszającą się częścią ciała kobiety są jej ciemne włosy. Unoszą się w wodzie wokół przewodów i skorpionowatego ogona.

Rozpoznaję ją mimo zakrywającej twarz maski. To tej kobiecie dzieci i mąż machały na pożegnanie zza ogrodzenia, kiedy wchodziła przy mnie do gniazda. To ona odwróciła się, aby posłać całusa rodzinie. Widziałam ją dosłownie kilka godzin temu, a teraz wygląda jakby postarzała się o dwadzieścia lat. Jej twarz ma ziemistą barwę, spod obwisłej skóry wystają kości. Straciła na wadze. I to bardzo.

Pod unoszącymi się w cieczy nogami dostrzegam kolorową stertę – dopiero teraz uświadamiam sobie, że to nie ubrania, ale skóra i kości. Zamiast wodorostów widzę włosy falujące delikatnie na dnie zbiornika.

Potwór powoli rozpuszcza wnętrzności kobiety i je wypija.

Nogi odmawiają mi posłuszeństwa. Stoję niczym sparaliżowana strachem ofiara drapieżnika. Każda komórka mojego mózgu nakazuje mi rzucić się do ucieczki.

Kiedy już sędzę, że gorzej być nie może, dostrzegam oczy kobiety. Wydają się nienaturalnie rozciągnięte w nieproporcjonalnie dużych oczodołach. Zapewne wyrażają desperację i cierpienie. Wątpliwe, aby kobieta miała szybką i bezbolesną śmierć.

Akurat kiedy mam się odwrócić, kilka bąbelków ucieka spod maski i przepływa przez włosy.

Nieruchomieję. To chyba niemożliwe, aby wciąż żyła, prawda?

Tylko jaki sens miałoby wtedy nakładanie jej maski tlenowej?

Czekam, wypatrując kolejnych oznak życia. Jedynym źródłem ruchu jest skorpion, który chciwie wysysa swoją ofiarę. Niegdyś jędrna skóra marszczy się na moich oczach. Włosy zataczają powolne łuki przy każdym ruchu skorpiona.

W pewnej chwili spod maski wypływają kolejne bąbelki.

Kobieta oddycha. Przeróżliwie powoli, ale oddycha.

Odrywam wzrok i zmuszam się do ogarnięcia spojrzeniem reszty pomieszczenia. Szukam czegoś, co pomogłoby mi wydostać ją ze zbiornika. Dopiero teraz zauważam, że w pozostałych zbiornikach również znajdują się uwięzieni ludzie w różnych stadiach śmiertelnego uścisku – niektórzy wciąż wyglądają na żywych, inni na niemal całkowicie wyspanych.

Jeden ze skorpionów trzyma w ramionach kobietę w eleganckiej sukience i całuje ją w usta. Maski tlenowej unosi się nad jej głową. Inny trzyma mężczyznę w uniformie hotelowego, a ustami przyssał się do jego oka.

Potwory nie są karmione jednakowo. Na dnie niektórych zbiorników leżą okazałe stosy szczątków, w innych niewielkie. Również same skorpionowate anioły różnią się między sobą. Niektóre są wielkie i muskularne, inne rachityczne i zdeformowane.

Stoję w bezruchu oszołomiona. Robi mi się niedobrze. Z głębi piwnicy dobiega odgłos otwieranych drzwi i czegoś toczącego się po betonie.

Instynkt podpowiada mi, aby schować się za zbiornikiem, ale nie zniosę bliskości tego potwora. Trwam zatem pośrodku labiryntu szklanych filarów, próbując wyczytać z odgłosów, co dzieje się po drugiej stronie pomieszczenia. Próba dostrzeżenia czegokolwiek przez szklane kolumny przypomina próbę

odczytania pisma ręcznego z kartki przyklejonej do szyby po drugiej stronie akwarium z rekinami. Wszystko jest powykrzywiane i trudne do odcyfrowania.

Na szczęście jeśli ja nie dostrzegam aniołów, one też nie powinny widzieć mnie. Obchodzę jeden z filarów, aby spojrzeć na pomieszczenie z innego miejsca. Zmuszam się, aby przez chwilę zapomnieć o ofiarach. Nie pomogę nikomu, jeśli dam się złapać.

Po drugiej stronie piwnicy jakiś anioł ruga służącego. „Szuflady miały dotrzeć w zeszłym tygodniu!”. Ma na sobie biały kitel, opięty na skrzydłach.

Człowiek stoi za wielką stalową szafą postawioną na wózku z platformą. Mebel składa się z trzech rzędów szuflad. W każdej mógłby się zmieścić człowiek. Wolę nawet nie myśleć, jakie jest ich przeznaczenie.

„Wybraliście najgorszą noc na dostawę”. Anioł wskazuje niedbale ręką przeciwległą ścianę piwnicy. „Postaw gdzieś tam. Trzeba je wszystkie odpowiednio zabezpieczyć, żeby się nie powywracały. Zwłoki leżą tu”. Wskazuje na pobliską ścianę. „Z powodu twojej opieszałości musiałem rozłożyć je na podłodze. Kiedy skończysz ustawiać szafę, powkładaj ciała do szuflad”.

Służący wygląda na przerażonego, ale anioł nie zwraca na to uwagi. Mężczyzna popycha szafę ku ścianie, tymczasem anioł oddala się w przeciwnym kierunku.

„Najciekawsza noc od kilku stuleci, a ten idiota musiał akurat teraz dostarczyć meble”, mruczy pod nosem anioł, zmierzając ku ścianie po mojej lewej stronie.

Przesuwam się stopniowo, aby mnie nie zauważył. Przechodzi przez dwuskrzydłowe drzwi i znika.

Ruszam powoli do przodu, sprawdzając, czy w pomieszczeniu nie znajduje się ktoś jeszcze. Poza mężczyznę

wkładającym zwłoki do szuflad nie ma nikogo. Zastanawiam się, czy ujawnić swoją obecność i poprosić go o pomoc. Mogłabym w ten sposób oszczędzić mnóstwo czasu i kłopotów.

Istnieje jednak ryzyko, że mężczyzna postanowiłby przypodobać się aniołom i zdradził obecność intruza. Niezdolna do podjęcia decyzji przyglądam się, jak wyprowadza pustą lawetę przez dwuskrzydłowe drzwi po drugiej stronie piwnicy.

Kiedy znika, pomieszczenie wypełniają odgłosy bulgotania dobiegające z jednego ze zbiorników. Mój umysł krzyczy: „Pośpiesz się! Pośpiesz się! Pośpiesz się!”. Muszę odnaleźć Paige przed atakiem ruchu oporu.

Ale przecież nie pozwolę, aby ci ludzie zostali wyssani przez potwory.

Przemykam między zbiornikami, szukając czegoś, co pozwoliłoby mi wyciągnąć ofiary. Na przeciwległej stronie pomieszczenia natykam się na niebieską drabinę. Nada się idealnie. Zdejmę pokrywy i wyciągnę wszystkich.

Wsuwam miecz z powrotem do pochwy, aby mieć wolne ręce. Podbiegam do drabiny, ale po mojej prawej stronie wyrasta nowa ściana kolorów. Wypełnione cieczą filary zniekształcają obraz i mam wrażenie, jakbym widziała wielką kulę ciał z setkami wystających rąk i stóp oraz potwornie wykrzywionymi twarzami.

Ruszam ostrożnie w tamtą stronę. Złudzenie optyczne wywołuje we mnie poczucie, jakby moje kroki śledziły setki ruchomych oczu.

Wychodzę zza ostatniego filaru. Dopiero teraz widzę, co to jest.

Czuję ucisk w piersi, mój oddech zamiera na kilka sekund, stopy wrastają w podłogę. Stoję nieruchomo, oniemiała.

ROZDZIAŁ 37

Początkowo mózg odmawia zaakceptowania tego, co znajduje się przed moimi oczami. Próbuje zinterpretować widok jako stertę porzuconych lalek – plastikowe figurki stworzone przez rzemieślnika z poważnymi zaburzeniami w kontrolowaniu gniewu. Niestety iluzja nie działa i jestem zmuszona dopuścić do świadomości rzeczywisty obraz.

Pod białą ścianą leży stos dzieci.

Niektóre stoją sztywno przy ścianie wciśnięte między inne dzieci. W niektórych miejscach nawet w pięciu rzędach. Inne siedzą oparte plecami o ścianę i nogi innych. Jeszcze inne leżą na plecach albo na brzuchu, poukładane rzędami jak sęgi drewna.

Widzę kilkulatki, dziesięciolatki i dwunastolatki. Wszystkie są nagie – odarte ze wszystkiego, co mogłoby je ochronić. Na ciele mają charakterystyczną pozostałość po sekcji zwłok, czyli szwy w kształcie litery Y biegnące od klatki piersiowej w stronę krocza.

Większość ma również szwy na rączkach, nóżkach, gardłach i krocach. U kilku dostrzegam je na twarzach. Oczy niektórych dzieci są szeroko otwarte, innych zamknięte. Białka wokół tęczówek przybrały gdzieś żółtą lub czerwoną barwę. Kilkoro dzieci ma puste oczodoły, inne powieki zaszyte szerokim, niezdarnym ścięciem.

Przegrywam walkę z żołądkiem. Pożywny obiad, który wcześniej zjadłam, podchodzi mi po raz kolejny do gardła. Muszę zdecydowanie przełknąć ślinę, aby go zatrzymać. Mam poczucie, jakby mój oddech był zbyt gorący. Chłodne powietrze

drażni skórę.

Chcę – muszę – zamknąć oczy, aby wymazać ze świadomości ten widok. Nie potrafię tego zrobić. Rozglądam się, przesuwając wzrokiem po wszystkich okaleczonych dzieciach, szukając lisiej twarzyczki mojej siostry. Wpadam w drżenie, którego nie potrafię opanować.

– Paige – mówię łamiącym się głosem.

Z ledwością wypowiadam jej imię, ale natychmiast powtarzam je po raz kolejny i po raz kolejny, jakbym próbowała się przemóc. Chwiejnym krokiem podchodzę do okaleczonych ciał, niezdolna do zatrzymania się w miejscu, niezdolna do odwrócenia wzroku.

Błagam, żeby jej tu nie było. Błagam! Błagam! Wszystko tylko nie to!

– Paige. – W moim głosie słychać przerażenie, a także nutkę nadziei, że jej tu nie znajdę.

Coś porusza się w stercie pozszywanych ciał.

Zataczam się do tyłu. Z moich nóg odpływa resztką krwi.

Ze sterty ciał stacza się chłopiec i ląduje twarzą na podłodze.

Dwa ciała niżej dostrzegam wysuwającą się na oślep rączkę. Po kilku chwilach błądzenia znajduje niepewne oparcie na ramieniu chłopca. Ciała leżące wyżej kołyszą się coraz mocniej, aż wreszcie zsuwają się na posadzkę.

Wreszcie mogę dostrzec właściciela wysuniętej rączki. To mała dziewczynka o nieproporcjonalnie chudych nóżkach. Jej twarz skrywa zasłona brązowych włosów. Nieznośnie powoli pełźnie w moją stronę.

Nad pupą ma poziome rozcięcie, które przecina inne biegnące wzdłuż kręgosłupa. Duże, nierówne szwy przytrzymują poranione, postrzępione płaty skóry. Szwy widać również na

rękach i nogach. Czerwonofioletowe okolice ran i siniaki silnie kontrastują z trupioblądą karnacją.

Stoję sparaliżowana z przerażenia. Najchętniej zamknęłabym oczy, udając, że to wszystko nieprawda, ale jak zahipnotyzowana śledzę żmudną drogę dziewczynki pełną przez stos ciał. Przesuwa się do przodu rękami, nogi wloką się za nią jak balast.

Mija cała wieczność, zanim unosi główkę. Posklejane w strąki włosy zsuwają się z twarzy.

To moja siostrzyczka.

Odnajduje mnie udręczonymi oczami. Wielkimi oczami jak na tak szczupłą twarzyczkę. Na mój widok jej oczy zachodzą łzami.

Padam na kolana, niemal nie rejestrując zderzenia z betonem.

Szwy biegną od jej uszu do ust, jakby ktoś uniósł skórę z górnej części twarzy, a potem ją przyszył. Cała twarz jest nabrzmiąta i pokryta siniakami.

– Paige... – Głos mi się załamuje.

Podpełzam do przodu i biorę ją w ramiona. W dotyku jest równie zimna jak betonowa podłoga.

Kuli się w moich objęciach, jak to robiła jeszcze jako niemowlę. Próbuję unieść ją całą na kolanach, ale jest za duża. Nawet jej oddech, który czuję na policzku, jest mroźny jak arktyczna bryza. Przez głowę przebiega mi szalona myśl, że ktoś odsączył z niej krew i już na zawsze pozostanie zimna.

Po policzkach spływają mi łzy. Jednoczymy się w cierpieniu.

ROZDZIAŁ 38

Wzruszające – stwierdza chłodny głos za moimi plecami.

W naszą stronę zmierza anioł. Na jego twarzy maluje się chłodna obojętność. Rekin mierzący wzrokiem parę zapłakanych dziewczynek.

– Pierwszy raz któreś z was włąmało się do środka, zamiast uciec na zewnątrz.

Za jego plecami mężczyzna wpycha przez dwuskrzydłowe drzwi wózek z kolejną szafką. Na nasz widok reaguje ludzkimi emocjami: zaskoczeniem, niepokojem, strachem.

Zanim zdążę cokolwiek powiedzieć albo zrobić, anioł unosi wzrok ku sufitowi i przekrzywia głowę. Przypomina psa nasłuchującego dobiegających z oddali odgłosów, których nikt inny nie może usłyszeć.

Obejmuję mocniej wymizerowane ciało siostry, jakbym chciała ją ochronić w ten sposób przed wszystkimi potworami świata. Dopiero wtedy wyduszam z siebie pierwsze słowa. Nawet dość opanowanym głosem.

– Dlaczego to robicie? – pytam szeptem, zmuszając się do otworzenia ust.

Za plecami anioła mężczyzna potrząsa ostrzegawczo głową. Niemal kuli się za szafą z szufladami.

– Nie muszę ci niczego wyjaśniać, mało – oświadcza anioł. – Odłóż okaz na swoje miejsce.

Okaz?

Krew zaczyna gotować mi się w żyłach. Serce domaga się krwi. Drżące dłonie najchętniej pochwyciłyby anioła za gardło, aby nigdy więcej nie mógł się odezwać.

Ku własnemu zdumieniu udaje mi się opanować nerwy.

Posyłam mu mordercze spojrzenie. Niestety tylko tyle.

Moim celem jest oswobodzenie siostry, a nie zaspokajanie przelotnych pragnień.

Wstaję, trzymając Paige w ramionach, i ruszam chwiejnym krokiem w stronę anioła.

– Wychodzimy – oświadczam w pełni świadoma, że ten numer nie przejdzie.

Anioł odkłada notatnik i zagraża nam drogę.

– A kto wam pozwolił? – pyta cicho. W jego głosie pobrzmiewa groźba. I pewność siebie.

Znów niespodziewanie unosi głowę, nasłuchując odległych dźwięków. Marszczy gładkie czoło.

Biorę dwa głębokie oddechy, starając się odpędzić gniew i strach. Delikatnie układam Paige pod stołem.

I rzucam się na anioła.

Atakuję z całą furią. Bez kalkulowania, bez zastanowienia, bez planu. Tylko dzika, potworna furia.

To niewiele, biorąc pod uwagę moc anioła – nawet słabeusza. Przewagę daje mi element zaskoczenia.

Impet mojego ciosu odrzuca go na stół do sekcji. Jak to możliwe, że te jego ażurowe kości nie pękły?

Wyrywam miecz z pochwy. Anioły dysponują znacznie większą siłą od ludzi, ale w starciu na Ziemi tracą część przewagi. Żaden anioł umiejący przyzwoicie latać nie zostanie zesłany do pracy w piwnicy, skąd z powodu braku okien nie mógłby wyfrunąć. Istnieje spora szansa, że mój przeciwnik nie potrafi się szybko wzbić w powietrze.

Zanim odzyskuje równowagę, wyprowadzam cios mieczem. Celuję w szyję.

A przynajmniej próbuję.

Jest zwinniejszy, niż sądziłam. Chwyta mnie za nadgarstek i uderza nim w krawędź stołu.

Potworny ból.

Miecz wylatuje z otwartej dłoni. Brzęczy na betonowej podłodze, zatrzymując się poza zasięgiem moich rąk.

Anioł wstaje nieśpiesznie, ja chwytam leżący na tacy skalpel. W mojej dłoni wydaje się lekki i bezużyteczny. Swoje szanse na zwycięstwo czy choćby zranienie anioła oceniam na bliskie zero.

Co tylko dodatkowo mnie wkurza.

Ciskam w niego skalpelem. Udaje mi się go lekko drasnąć w szyję. Z rany tryska krew, plamiąc biały kitel.

Chwytam krzesło i rzucam w niego, zanim zdąży się pozbierać.

Odręca je, jakby to była kula papieru.

Ledwie zauważam, kiedy zrywa się do ataku. Przygniata mnie do betonowej podłogi i zaczyna dusić. Nie tylko pozbawia mnie dopływu tlenu do płuc, ale także do mózgu.

Pięć sekund. Tyle mi zostało do utraty przytomności.

Wpycham ręce klinem między jego łapska i uderzam go w przedramiona.

Ten manewr powinien mnie uwolnić od duszących dłoni. Na treningu zawsze się to udawało.

Anioł nawet odrobinę nie rozluźnia uścisku. W panice nie wziąłem pod uwagę jego nadludzkiej siły.

W ostatniej, desperackiej próbie łączę dłonie, splatając palce. Przyciągam je do piersi, po czym z całej siły uderzam go w zgięcie ręki.

Łokieć odskakuje dosłownie na moment.

I zaraz wraca na miejsce.

Zmarnowałam szansę.

Instynktownie, jak amator, wbijam paznokcie w jego dłonie. Nie reaguje. Równie dobrze mogłabym mieć na szyi stalowe zaciski.

W uszach słyszę przeraźliwe, szaleńcze bicie serca. Tracę świadomość.

Anioł ma chłodne, obojętne oblicze. Jego twarz przesłaniają ciemne plamki. Rozumiem, że tracę wzrok. Gaśnie we mnie nadzieja.

Wszystko się rozmywa.

Ogarnia mnie mrok.

ROZDZIAŁ 39

Coś uderza w anioła. Widzę zarys włosów i zębów, słyszę warczenie.

Ciepła ciecz ochlapuje moją sukienkę.

Uścisk na gardle nagle znika. Podobnie jak ciężar przygniatającego mnie ciała.

Biorę łapczywy, bolesny oddech. Zwijam się w kłębek, próbując opanować kaszel. Do płuc napływa cudownie świeże powietrze.

Sukienka jest okrwawiona.

Do mojej świadomości docierają dzikie chrząknięcia i pomruki. A także odgłos torsji.

Wymiotuje mężczyzna, zgięty wpół za szafą z szufladami. Mimo to nie odrywa wzroku od czegoś, co znajduje się za moimi plecami. Oczy otworzył tak szeroko, że wydają się bardziej białe niż brązowe. Wpatruje się w miejsce, z którego dobiegają dzikie odgłosy. Stamtąd trysnęła krew, którą przesiąkło moje ubranie.

Wiem, że muszę spojrzeć w tamtą stronę, ale jakoś nie mam ochoty.

W końcu odwracam głowę. W pierwszej chwili mam kłopot z ogarnięciem tego, co widzę. Przy takiej ilości szokujących elementów zdezorientowany mózg przeskakuje z jednego na drugi.

Kitel anioła przesiąkł krwią. Obok na podłodze leżą małe kawałki podrygującego mięsa. Przypominają rozrzuconą wątróbkę.

Kawał mięsa został wyrwany z policzka anioła, którym wstrząsają tak silne drgawki, jakby dręczył go jakiś straszliwy

senny koszmar. Może tak właśnie jest. Może ja również śnię.

Nad aniołem stoi pochylona Paige. Drobnymi rączkami trzyma go za koszulę, przywierając do drgającego ciała. Włosy i ubranie ma zachlapane krwią. Jej twarz ocieka krwią.

Paige otwiera usta, odsłaniając dwa rzędy lśniących zębów. W pierwszej chwili mam wrażenie, że ktoś założył jej na zęby aparat korekcyjny. Tyle że to nie jest aparat korekcyjny.

Zamiast zębów ma ostre brzytwy.

Paige wpija się w gardło anioła i rozdziera je, szarpiąc gwałtownie głową na boki. Odsuwa się od zakrwawionej masy.

Wypluwa kawałek mięsa, który ląduje z płaskiem na podłodze obok reszty.

Krztusi się. Wyraźnie ją mdli, choć trudno stwierdzić, czy z obrzydzenia własnym postępowaniem czy od smaku mięsa. Do mojej świadomości wdziera się niemiłe wspomnienie pomniejszych demonów spluwających po ugryzieniu Raffego.

„Nie potrafiły znieść smaku anielskiego mięsa”. Ledwie ta myśl przenika do mojego umysłu, natychmiast ją z niego wyrzucam.

Mężczyzna ponownie wymiotuje. Żołądek podchodzi mi do gardła, najchętniej dołączyłabym do niego. Paige otwiera usta – niczym zwierzę jest gotowa do ponownego wgryzienia się w rozedrganą ofiarę.

– Paige?! – wołam cienkim, spanikowanym głosem. Ostatnią literę imienia wypowiadam wyższym tonem, jakby pytając.

Dziewczynka, która była kiedyś moją siostrą, nieruchomieje nad konającym aniołem i spogląda na mnie.

Szeroko otwarte oczy wyrażają niewinność dziecka. Na końcówkach długich rzęs wiszą kropelki krwi. Spogląda, jak zawsze, z uwagą i potulnością. Na jej twarzy nie dostrzegam ani

śladu dumy, brutalności, głodu, ani przerażenia tym, co zrobiła. Spogląda na mnie tak, jakbym oderwała ją od płatków z mlekiem.

Gardło mam obolałe od duszenia. Tłumię kolejny atak kaszlu, który na szczęście spycha zawartość żołądka w dół. Sytuację utrudniają odgłosy wymiotującego mężczyzny.

Paige schodzi z ciała anioła i staje o własnych siłach. Nie musi się nawet niczego przytrzymywać.

Ku mojemu zdumieniu robi dwa pełne gracji kroki w moją stronę.

Zatrzymuje się, jakby przypomniała sobie o kalectwie.

Nie mam odwagi nawet zaczerpnąć powietrza. Wpatruję się w nią, walcząc z instynktownym pragnieniem, aby podbiec i złapać ją, zanim upadnie.

Wyciąga przed siebie ręce, jakby prosiła, abym ją wzięła w ramiona. Ten sam gest wykonywała w dzieciństwie. Gdyby nie ociekająca krwią twarz i posiniaczone, pozszywane ciało, mogłabym pomyśleć, że stoi przede mną słodka, niewinna dziewczynka.

– Ryn-Ryn – mówi niemal płaczliwym głosem. Brzmi jak wystraszone dziecko, które wierzy, że starsza siostra potrafi odpędzić potwory kryjące się pod łóżkiem. Paige nie nazwała mnie Ryn-Ryn od czasu, gdy była malutka.

Patrzę na złowieszcze szwy na twarzy i ciele. Patrzę na czerwono-fioletowe siniaki.

To nie jej wina. Cokolwiek z nią zrobili, ona jest ofiarą, a nie potworem.

Gdzie już wcześniej to słyszałam?

Odżywa wspomnienie nadjeżdżonych dziewczynek wiszących na drzewie. Czy ci obłąkani ludzie nie mówili przypadkiem czegoś podobnego? Czyżby ich szalone słowa

zaczynały nabierać sensu?

Do mojego umysłu przesącza się stopniowo myśl, paraliżująca niczym jad skorpiona. Co bym zrobiła, gdyby się okazało, że Paige może jeść wyłącznie ludzkie mięso? Czy użyłabym innego człowieka jako przynęty? Czy wierzyłabym, że w ten sposób jej pomogę?

Myśl zbyt przerażająca, aby ją rozważać.

I całkowicie nieuzasadniona.

Nie mam powodu sądzić, że Paige może się odżywiać wyłącznie ludzkim mięsem. Paige nie jest pomniejszym demonem. Pozostała małą dziewczynką. Wegetarianką. Urodzoną humanistką. Nowym wcieleniem dalajlamy, na litość boską! Anioła zaatakowała wyłącznie w mojej obronie. I tyle.

Poza tym nie zaczęła go zjadać, tylko... trochę go obgryzła.

Kawałki mięsa nadal drgają na podłodze. Żołądek ponownie podchodzi mi do gardła.

Paige spogląda na mnie swoimi pogodnymi, brązowymi oczami zwieńczonymi sarnimi rzęsami. Koncentruję się na nich, świadomie ignorując krew kapiącą z brody i przerażające szwy biegnące od ust do uszu.

Za jej plecami aniołem wstrząsają silne drgawki. Ma wytrzeszczone oczy i przewraca białkami. Jego głowa uderza raz po raz o betonową podłogę. Dostał ataku. Zastanawiam się, czy przeżyje mimo odgryzionych kawałków ciała i utraty większości krwi. Jego organizm prawdopodobnie próbuje desperacko naprawić szkody. Czyżby ten potwór miał się wywinąć śmierci?

Unoszę się z podłogi, nie zważając na lepiące się dłonie. Gardło mnie pali, jestem zesztywniała i poobijana.

– Ryn-Ryn. – Paige wciąż trzyma przed sobą wyciągnięte w rozpaczliwym geście ręce, ale nie potrafię się przemóc i wziąć ją

w ramiona. Podchodzę chwiejnym krokiem do miecza i podnoszę go z podłogi. Wracam już nieco pewniejszym krokiem, przyzwyczajając się na powrót do możliwości swojego ciała.

Spoglądam na pozbawione wyrazu oczy anioła, na jego zakrwawione usta. Na podrygującą, uderzającą o podłogę głowę.

Wbijam ostrze w serce.

Nigdy wcześniej nikogo nie zabiłam. Przeraża mnie nie sam fakt, że pozbawiam kogoś życia, ale to jak niewielkiego to wymaga wysiłku.

Ostrze wchodzi w ciało jak w zgniły owoc. Nie doświadczam obecności duszy czy esencji życiowej ulatującej z martwej powłoki. Nie mam wyrzutów sumienia. Nie odczuwam szoku czy żalu z powodu odebrania komuś życia. Nie wstydzę się tego, kim się stałam. Moja świadomość rejestruje wyłącznie znieruchomienie drgającego ciała i opadającą powoli wraz z ostatnim wydechem klatkę piersiową.

– Dobry Boże!

Spoglądam w stronę, z której dobiegł głos. Widzę innego anioła. Wystarcza mi jeszcze czasu, aby dostrzec plamy krwi na jego białym kitlu i rękawiczkach, kiedy do piwnicy wchodzi dwa kolejne anioły. One również mają zakrwawione fartuchy i rękawiczki.

O mały włos nie rozpoznałabym Laylah, ponieważ spięła złote włosy w kok. Co ona tu robi? Miała przecież przeprowadzić operację przyszczenia skrzydeł Raffego.

Dlaczego anioły patrzą na mnie, a nie na moją obryzganą krwią siostrzyczkę? Dopiero po chwili uświadamiam sobie, że w rękach trzymam miecz, który wciąż tkwi w ciele anioła. Z całą pewnością rozpoznają prawdziwą naturę miecza, a musi istnieć co najmniej tuzin reguł zakazujących ludziom posługiwania się

bronią aniołów.

Desperacko próbuję wymyślić sposób na wywinięcie się śmierci. Zanim którekolwiek z nich ma okazję do rzucenia pod moim adresem oskarżeń, wszystkie jednocześnie zadzierają głowy. Musiały usłyszeć coś, czego nie rejestrują moje zmysły. Wymieniają nerwowe spojrzenia. Bynajmniej nie dodaje mi to otuchy.

W końcu i ja to czuję. Najpierw dudnienie, później drzenie.

Czyżby minęła już godzina?

Anioły ponownie spoglądają na mnie, po czym odwracają się i wypadają przez dwuskrzydłowe drzwi, z których korzystał mężczyzna przywożący szafy z szufladami.

Nie zdawałam sobie sprawy, że mogę być jeszcze bardziej podenerwowana niż chwilę wcześniej.

Ruch oporu rozpoczął atak.

ROZDZIAŁ 40

Musimy się wydostać na zewnątrz, zanim hotel się zawali. Ale przecież nie mogę pozwolić, żeby skorpionowate anioły wyssały tych wszystkich ludzi. Przenoszenie drabiny od zbiornika do zbiornika i wyciąganie kolejnych sparaliżowanych osób zajęłoby mi wiele godzin.

Wyciągam miecz z martwego anioła. Podbiegam do szklanych kolumn, trzymając go, jakby to był kij bejsbolowy.

Wykonuję zamach i uderzam w pierwszą. Chcę przede wszystkim wyładować frustrację i spodziewam się, że ostrze odbije się od szyby.

Zanim zdążę zareagować, cienka szyba pęka. Płyn oraz szkło rozbryzgują się na betonowej podłodze.

Muszę przyznać, że wymachiwanie mieczem zaczyna mnie coraz bardziej kręcić.

Płód skorpiona wypuszcza ofiarę i wydaje przeraźliwy pisk. Po wylądowaniu na ziemi zaczyna się wić i trzepotać. Odłamki szkła ranią go, krwawi. Kobieta, jego ofiara, opada na dno roztrzaskanego zbiornika. Szklistymi oczami patrzy nieruchomo przed siebie.

Nie mam pojęcia, czy żyje ani czy po ustąpieniu paraliżu spowodowanego trucizną jej stan się poprawi. Teraz nie mogę nic więcej dla niej zrobić, jeżeli chcę pomóc wszystkim. Mam nadzieję, że przynajmniej niektórzy zdołają dojść do siebie i samodzielnie wydostać się z budynku, zanim się zawali. Sama nigdy nie wciągnęłabym ich po schodach.

Podbiegam do pozostałych zbiorników z ludźmi i po kolei je rozwalam. Strumienie wody i kawałki szkła rozpryskują się na

podłodze. Pomieszczenie wypełnia się piskami upadających płodów skorpionów.

Większość potworów w zbiornikach budzi się i zaczyna wierzgać. Kilka bardziej rozwiniętych reaguje agresywnie, uderzając ogonem w ściany szklanych więzień. Patrzą na mnie przez pokryte żyłami membrany powiek. Rozumieją, że teraz one są ofiarami, a ja drapieżnikiem.

W głębi serca nieprzerwanie toczę ze sobą walkę, rozważając, czy nie uciec bez Paige. Nie jest już chyba moją siostrą, prawda? I niewątpliwie potrafi sobie radzić sama.

– Ryn-Ryn?! – woła Paige.

Woła takim głosem, jakby nie była pewna, czy się nią zaopiekuję. Poczucie winy chwyta mnie stalowym uściskiem za gardło. Wstydzę się, że myśl o porzuceniu Paige przyszła mi do głowy.

– Tak, skarbie – odpowiadam możliwie uspokajającym głosem. – Musimy się stąd wydostać. Dobrze?

Budynek ponownie trzęsie się w posadach. Część zaszytych zwłok dzieci przewraca się. Główka małego chłopca uderza o posadzkę, a jego usta otwierają się, odsłaniając metalowe zęby.

Paige też wyglądała na martwą. Czy to możliwe, że chłopiec żyje?

W głowie świta mi dziwna myśl. Czy Raffe nie powtórzył kilka razy, że imiona mają moc?

A może Paige przebudziła się tylko dlatego, że zawołałam ją po imieniu? Przesuwam wzrokiem po ciałach opartych o ścianę, po lśniących zębach i długich paznokciach, po odbarwionych oczach. Czy gdyby te dzieci wciąż żyły, zdecydowałabym się je obudzić?

Odwracam się i uderzam mieczem w kolejny zbiornik. Szczerze mówiąc, cieszę się, że nie znam ich imion.

– Paige? – Nadchodzi matka. Cała scena przypomina fragment ze snu. Pod jej butami chrzęści roztrzaskane szkło, a ona lawiruje między potworami wijącymi się na posadzce. Ma minę, jakby z takimi widokami miała do czynienia na co dzień. Może faktycznie tak jest. Może w jej świecie to coś normalnego. Dostrzega potwory, wymija je, ale nie wygląda na zaskoczoną. Rozgląda się bystro i ostrożnie stawia kroki.

– Moje dziecko! – Podbiega do Paige i obejmuje ją bez wahania, mimo że to dziecko jest pokryte krwią i strzępami mięsa.

Matką wstrząsa głośny, przepełniony bólem szloch. Po raz pierwszy uświadamiam sobie, że musiała tak samo jak ja, o ile nie bardziej, niepokoić się o Paige. Nieprzypadkowo dotarła do gniazda, gdzie i ja przywędrowałam. Nawet jeśli jej miłość często przejawiała się w sposób niepojęty dla osób zdrowych psychicznie – a z ich perspektywy nawet niestosowny – nie ulega wątpliwości, że naprawdę kocha swoje dziecko.

Połykam łzy, widząc matkę w takim stanie. Jeszcze chwila i cała w nich utonę.

Mama ogląda dokładnie Paige. Krew. Szwy. Siniaki. Nie odzywa się, tylko gładzi córkę po włosach i skórze, wydając odgłosy pełne przerażenia i czułości.

Potem spogląda na mnie. Jej wzrok wyraża zdecydowane oskarżenie. Obwinia mnie o wszystko, co przydarzyło się Paige. Chcę powiedzieć, że to nie ja ją skrzywdziłam. Jak mogła coś takiego pomyśleć.

Nie odzywam się. Nie mogę. Potrafię jedynie odpowiedzieć spojrzeniem pełnym poczucia winy i wyrzutów sumienia.

W ten sam sposób matka patrzyła na mnie i tatę, kiedy przed laty znalazłam okaleczoną Paige. Nawet jeśli nie ja trzymałam nóż, którym rozkrojono moją siostrzyczkę,

znajdowała się pod moją opieką.

Po raz pierwszy dopuszczam myśl, że matka niekoniecznie odpowiada za złamany kręgosłup mojej siostry.

– Musimy się stąd wydostać – mówi, opiekuńczo obejmując Paige ramieniem. Jej głos brzmi wyraźnie i zdecydowanie.

Spoglądam na nią zdumiona. Odżywa we mnie nadzieja. Matka przemawia pewnym sobie głosem osoby gotowej i zdeterminowanej, aby doprowadzić swoje córki w bezpieczne miejsce.

Brzmi jak zdrowa psychicznie osoba.

Zaraz potem dodaje:

– Będą próbowali nas dopaść.

Nadzieja więdnie i umiera w moim sercu, zamieniając je w twardą bryłę. Nie muszę pytać, kogo ma na myśli. Odkąd pamiętam, matka uważa, że „oni” próbują nas dopaść. Jej wcześniejsza deklaracja nie miała nic wspólnego z wzięciem na siebie odpowiedzialności za córki.

Kiwam głową, przejmując brzemie opieki nad rodziną z powrotem na swoje barki.

ROZDZIAŁ 41

Mama prowadzi Paige w stronę wyjścia. Zatrzymują się, gdy w pewnej chwili za dwuskrzydłowymi drzwiami rozlega się głośny trzask. Wcześniej właśnie stamtąd wyszła trójka aniołów. Nieruchomieję z uniesionym mieczem.

Nie potrafię znaleźć sensownego powodu, dla którego powinnam marnować czas na sprawdzenie, co się tam wydarzyło, ale zaczyna we mnie wzbierać niepokój, który drażni mózg niczym igła próbująca unieść kawałek oderwanej skóry. Wydarzenia następowały po sobie tak szybko, że nie miałam czasu na rozważenie pewnej kwestii – czegoś potencjalnie istotnego, czegoś...

Krew.

Rękawiczki i kitle aniołów były wysmarowane krwią.

No i Laylah. To ona miała przeprowadzić operację Raffego.

Zza drzwi dobiega kolejny huk. Metal uderzający o metal, jak wpadające na siebie wózki.

Nie namyślając się dłużej, puszczam się pędem w tamtą stronę.

Kiedy zbliżam się do podwójnych drzwi, wpada przez nie ciało. Mam tylko sekundę na rozpoznanie Raffego, który z łoskotem przelatuje obok mnie.

Za nim przez drzwi wparowuje olbrzymi anioł.

Sposób, w jaki się porusza, coś mi przypomina. Nawet jeśli kiedyś miał przystojną twarz, teraz wykrzywia ją nienawistne spojrzenie.

Zza jego pleców wystają piękne śnieżnobiałe skrzydła. U podstawy są pokryte krwią, a do reszty ciała przytwierdzone

szwami. Mimo że ślady krwi znajdują się na plecach, to i brzuch anioła został obwiązany bandażem.

Skrzydła wydają mi się znajome.

Na jednym dostrzegam ubytek powstały wskutek odcięcia kilku piór nożyczkami. Identyczny jak nacięcia, które wykonałam na skrzydłach Raffego.

Mój umysł próbuje odrzucić oczywisty wniosek.

Olbrzymi anioł zagradza mojej rodzinie drogę do drzwi, którymi weszliśmy do piwnicy. Mama zamiera w przerażeniu. Oścień drży w jej wyciągniętej ręce. Wygląda, jakby składała go w ofierze aniołowi albo mu groziła.

Niski huk przetacza się przez sufit, zaraz po nim kolejny, a po nim jeszcze jeden. Każdy silniejszy od poprzedniego. Anioły musiały już wcześniej usłyszeć te odgłosy. Teraz nie mam wątpliwości: rozpoczął się atak.

Jak oszalała macham ręką, dając matce znak, aby uciekała przez drzwi, z których korzystał wcześniej dostawca mebli. W końcu domyśla się, o co mi chodzi, i znika pośpiesznie, ciągnąc Paige.

Olbrzym na szczęście całkowicie je ignoruje. Całą uwagę koncentruje na Raffem.

Ten leży na podłodze. Jego twarzą i torsem wstrząsają skurcze bólu. Wygina plecy w łuk, jakby unikał dotyku betonowej podłogi. Spod niego wyłania się para wielkich, nietoperzowych skrzydeł, rozłożonych na posadzce niczym czarna peleryna.

Z wyglądu są podobne do skórzanej błony rozpiętej na szkielecie przypominającym konstrukcję służącą do zadawania tortur. Wzdłuż krawędzi biegną rzędy ostrych haczyków. Najmniejsze przypominają haczyki wędkarskie z zadziorkami, najdłuższe, znajdujące się na krawędziach, kojarzą mi się z

kosami.

Plecy Raffego ociekają świeżą krwią. Z wysiłkiem przewraca się na brzuch i odpycha rękami od podłogi. Wstaje, a zwiotczałe skrzydła opadają ku ziemi, jakby jeszcze nad nimi nie panował. Odrzuca jedno do tyłu takim gestem, jakim ja mogłabym odgarnąć włosy z twarzy. Ręka powraca zakrwawiona, a przedramię pokryte nowymi ranami w miejscach, gdzie zawadziło o haczyki.

– Ostrożnie, archaniele – mówi olbrzym, krocząc w stronę Raffego. Słowo „archanioł” wypowiada jadowitym tonem.

Rozpoznaję ten głos. Należy do Mrocznego Anioła, który odciął Raffemu skrzydła w nocy, kiedy się po raz pierwszy spotkaliśmy. Przechodzi obok, nie zaszczycając mnie spojrzeniem, jakbym była meblem.

– Czemu służą te zabawy, Belialu? Dlaczego nie zabiłeś mnie na stole operacyjnym? Dlaczego zadałeś sobie trud, żeby przyszyć mi skrzydła? – Raffe zatacza się do przodu. Operacja musiała się zakończyć dosłownie chwilę przed wyjściem pozostałych aniołów.

Nie trzeba być geniuszem, aby stwierdzić, że olbrzym był operowany pierwszy. Miał więcej czasu od Raffego na odzyskanie sił, niemniej mogę się założyć, że daleko mu jeszcze do pełni mocy.

Unoszę miecz, starając się nie zwrócić na siebie jego uwagi.

– Gdyby to ode mnie zależało, chętnie bym cię uśmiercił – wyjaśnia Belial. – Ale w sprawę wmieszała się ta małostkowa anielska polityka. Wiesz, jak to jest.

– Minęło sporo czasu. – Raffe chwieje się na nogach.

– I minie go jeszcze więcej, skoro już dostałeś nowe skrzydła. – Belial uśmiecha się szeroko, ale jego twarz mimo

wszystko wyraża okrucieństwo. – Kobiety i dzieci będą uciekały z krzykiem na twój widok. Podobnie anioły.

Odwraca się w stronę wyjścia, głaszcząc swoje nowe skrzydła.

– Uciekaj, ja tymczasem idę się pochwalić nowym nabytkiem. Na dole nikt nie ma piór. Wszyscy będą piekielnie zazdrośni.

Raffe pochyla głowę i rusza na Beliala niczym byk.

Biorąc pod uwagę, ile stracił krwi, jestem zdumiona, że może chodzić, a co dopiero biegać. Naciera na przeciwnika, ale ten łapie go za głowę swoim wielkim ramieniem i ciska na blaszany wózek.

Raffe pada razem z nim na ziemię. Policzki, kark i ramiona pokrywają się świeżymi ranami – podczas upadku skrzydła obijają się o jego ciało w niekontrolowany sposób.

Podbiegam do Raffego i podaję mu miecz.

Na twarzy Beliala dostrzegam niepewność, a jego ruchy stają się nagle ostrożniejsze.

W chwili gdy wypuszczam rękojeść, czubek miecza opada na ziemię, jakby ważył tonę.

Raffe trzyma miecz z takim wysiłkiem, jakby musiał użyć wszystkich sił do utrzymania rękojeści w górze. W moich rękach miecz był lekki jak piórko.

Raffe wygląda jak porzucony kochanek.

Skonsternowany wpatruje się w swój miecz. Raz jeszcze próbuje go unieść, ale bez skutku. Na jego twarzy niedowierzenie miesza się z poczuciem krzywdy. Nigdy wcześniej w mojej obecności nie okazał tylu emocji, a kiedy widzę, jak bardzo cierpi, mam ochotę zrobić komuś krzywdę.

Belial pierwszy otrząsa się z szoku.

– Własne ostrze się ciebie wyrzekło. Wyczuwa moje

skrzydła. Nie jesteś już Rafaelem.

Chichocze, a szczerść tego rozbawienia sprawia, że jego głos jest jeszcze mroczniejszy.

– Jakież to smutne. Przywódca bez podwładnych. Anioł z odciętymi skrzydłami. Wojownik bez miecza. – Belial krąży szyderczo wokół Raffego, niczym rekin wokół ofiary. – Nic ci nie pozostało.

– Ja mu pozostałam! – wołam. Kątem oka widzę, że moja deklaracja wstrząsnęła Raffem.

Belial tak naprawdę dopiero teraz dostrzega moją obecność.

– Znalazłeś sobie zwierzątko, archaniele? Kiedy? – Jego głos wyraża zdumienie, jakby Belial znał wszystkich towarzyszy Raffego.

– Nie jestem niczym zwierzątkiem!

– Poznałem ją dziś w gnieździe – mówi Raffe. – Łazi za mną cały wieczór. Nic dla mnie nie znaczy.

Belial parska śmiechem.

– Zabawne... Nie pytałem, czy coś dla ciebie znaczy. – Mierzy mnie wzrokiem, analizując każdy szczegół. – Wymizierowana, ale użyteczna. – Rusza w moją stronę wolnym krokiem.

Raffe podaje mi rękojeść miecza.

– Uciekaj.

Waham się. Nie wiem, ile jeszcze ciosów wytrzyma.

– Uciekaj! – Raffe zagradza Belialowi drogę.

Rzucam się do ucieczki. Chowam się za zbiornikiem i obserwuję rozwój wydarzeń.

– Widzę, że nawiązujemy przyjaźnie – mówi Belial. – I to z córą człowieczą. Cóż za rozkoszna ironia losu. Czyżby to nie był koniec niespodzianek? – Sprawia wrażenie szczerze uradowanego. – Już wkrótce zostaniesz pełnoprawnym

członkiem mojego klanu. Zawsze wiedziałem, że tak się stanie. Będzie z ciebie przedni arcydemon. – Uśmiech znika z jego twarzy. – Szkoda tylko, że nie chcę, żebyś był moim szefem.

Chwyta Raffego mocnymi ramionami, ale natychmiast odskakuje. Poranione ręce i klatka piersiowa krwawią – to zasługa nowych skrzydeł Raffego. Demon najwyraźniej nie zdążył się jeszcze przyzwyczaić do nowych skrzydeł przeciwnika.

Niezrażony łapie Raffego za szyję i unosi. Twarz Raffego nabiega krwią, żyły wyskakują mu na skroniach. Belial go dosłownie zgniata.

Głośne „bum” wstrząsa budynkiem nad naszymi głowami. Przez drzwi prowadzące do garażu wlatują kawałki betonu. Kilka pozostałych filarów pęka, a znajdujące się w środku potwory miotają się w panice.

Ruszam biegiem w stronę Beliala.

Miecz leży mi pewnie w dłoniach. Odchylam go do ciosu i przeżywam kolejny szok.

Miecz koryguje swoją pozycję.

Mogłabym przysiąc, że niejako kierowany własną wolą odchyła się, unosząc moje łokcie. Jest gotów do walki. Jest spragniony krwi. Mrugam ze zdumienia, niemal tracąc impet, ale choć stopy stanęły jak wmurowane, wyprowadzam cios, bo prowadzone przez miecz ramię zakreśla elegancki łuk.

To nie ja władam mieczem, to miecz włada mną.

Wykonuję zamach w tej samej chwili, w której Raffe uderza Beliala kolczastymi skrzydłami. Ostrze rozcina ciało na plecach i wbija się w kręgosłup.

Skrzydła Raffego rozdzierają policzki demona i rozcinają przedramiona. Belial z krzykiem puszcza gardło Raffego.

Ten pada na ziemię, ciężko dysząc.

Belial zatacza się do tyłu. Gdyby nie operacja, być może starczyłoby mu sił na odparcie naszego połączonego ataku. A może by nie starczyło. Zabandażowany brzuch to pewnie pozostałość po ranie, którą Raffe zadał mu kilka dni wcześniej. A jeśli mówił prawdę na temat mieczy aniołów, rany Beliala szybko się nie zagoją.

Miecz wykonuje kolejny zamach, wyraźnie zachęcając mnie do ataku. Belial gapi się na mnie w oszołomieniu, równie zdumiony jak anioły, które były świadkami śmierci kolegi. Miecz anioła nie powinien trafić w ręce człowieczej dziewczyny. To się po prostu nie zdarza.

Raffe podrywa się z ziemi i atakuje Beliala.

Z podziwem obserwuję, jak wyprowadza kolejne ciosy z taką prędkością, że niemal zlewają się w jeden płynny ruch. Atakom towarzyszy ogromna fala emocji. Po raz pierwszy Raffe nie próbuje skrywać frustracji i gniewu ani tęsknoty za utraconymi skrzydłami.

Demon chwieje się pod ciosami. Raffe chwytą za swoje stare skrzydła. Szwy zaczynają pękać, krew zalewa niegdyś śnieżnobiałe pióra. Jest zdeterminowany, aby odzyskać skrzydła, nawet gdyby je miał, szew po szwie, wyrwać z ciała Beliala.

Ściskam mocniej w dłoniach miecz. W sumie należy teraz do mnie. Jeżeli zamierza odrzucać Raffego tak długo, jak ten będzie miał nowe skrzydła, nikt poza mną nie potrafi się nim posługiwać.

Ruszam w stronę Raffego i Beliala. Zamierzam odciąć skrzydła temu ostatniemu.

Coś nagle chwytą mnie za kostkę i ciągnie w przeciwną stronę. Coś oślizgłego, coś o stalowym uścisku.

Stopy nie mogą znaleźć oparcia na mokrej podłodze. Upadam na beton. Miecz wyskakuje mi z dłoni. Płuca kurczą się

tak silnie pod wpływem ataku, że prawie tracę przytomność.

Udaje mi się odwrócić głowę, aby zobaczyć, co mnie pochwyciło.

Żałuję, że to zrobiłam.

ROZDZIAŁ 42

Za moimi plecami umięśniony płód skorpiona otwiera paszczę do krzyku, odsłaniając kilka rzędów piraniowych zębów.

Pod częściowo rozwiniętą skórą widać żyły i cienie mięśni. Stwór leży na brzuchu, jakby przypełził z roztrzaskanego zbiornika specjalnie, aby mnie dorwać.

Zza jego pleców unosi się ogon zakończony kolcem. Jest wycelowany w moją twarz.

Przez głowę przebiega mi myśl o Paige i matce. Uciekających gdzieś w ciemnościach. Samotnych. Przerażonych. Zdumionych, że je opuściłam.

– Nie! – Okrzyk wydobywa się z moich ust, kiedy nienaturalnie wykręcam ciało, aby uniknąć kolca. Przelatuje minimetry od mojej twarzy.

Zanim zdążę wziąć oddech, ogon podrywa się w górę i ponownie opada. Tym razem nie zdążyłam się przygotować.

– Nie! – ryczy Raffe.

Kolec wbija mi się w szyję. Ciałem wstrząsa spazm.

Przez chwilę mam poczucie, jakby ktoś wbijał w moje ciało nieprawdopodobnie długą igłę.

Dopiero później nadchodzi prawdziwe cierpienie.

Palący ból rozprzestrzenia się z boku szyi. Mam wrażenie, że coś rozrywa mnie od środka. Łapię powietrze urywanymi wdechami. Skórę oblewa pot.

Z gardła dobywa się przepełniony udręką krzyk. Nogi zaczynają wierzgać jak oszalałe.

Potwór wciąż na mnie naciera. Zbliża się z rozchylonymi

ustami, gotowy do śmiertelnego pocałunku.

Nasze spojrzenia się spotykają. Wierzy, że wyssanie moich wnętrzności dostarczy mu energii potrzebnej do przetrwania poza sztuczną macicą. Ta desperacja uwidacznia się w sile uścisku, w naprzemiennie otwierających się i zamykających ustach, przypominających usta wyrzuconej na brzeg ryby, i w zamykających się powiekach, jakby chronił na wpół rozwinięte oczy przed jaskrawym światłem.

Trucizna rozprzestrzenia się ku klatce piersiowej i niższym partiom ciała. Próbuje strącić z siebie skorpionowatego anioła, ale stać mnie tylko na lekkie szturchnięcie.

Moje mięśnie zaczynają tężeć.

Niespodziewanie coś wyrywa kolec z mojego ciała. Mam poczucie, jakby rozrywano mi szyję.

Wstrząsa mną kolejny krzyk, ale nie potrafię go z siebie wydać. Usta otwierają się tylko odrobinę. Mięśnie twarzy lekko drgają, zamiast wykrzywić się w agonii. Krzyk przybiera postać słabego bulgotania.

Straciłam panowanie nad twarzą.

Raffe chwyta ogon w dłonie i ściąga ze mnie odrażającą istotę. Wyje, a ja zdaję sobie sprawę, że musiał przez cały czas krzyczeć.

Chwyta płód skorpiona, wywija nim kilka razy w powietrzu jak lassem i ciska w stronę zbiorników z innymi skorpionami.

Potwór przelatuje przez trzy filary, roztrzaskując je. W pomieszczeniu rozlegają się kolejne piski poronionych potworów.

Raffe przyklęka u mego boku. Zszokowany. I osobliwie wstrząśnięty. Wpatruje się we mnie, jakby nie dowierzał własnym oczom. Jakby nie chciał uwierzyć w to, co widzi.

Czy wyglądam aż tak źle?

Umieram?

Próbuję dotknąć szyi, aby sprawdzić, czy obficie krwawi, ale nie potrafię podnieść tak wysoko ręki. Widzę, że opada na podłogę po przebyciu jednej trzeciej drogi, rozdygotana z wysiłku. W końcu zupełnie wiotczeje. Raffe przygasa, kiedy to widzi.

Próbuję mu wyjaśnić, że jad paraliżuje i spowalnia oddychanie, ale z moich ust wydobywa się tylko mamrotanie, którego sama nie rozumiem. Język wydaje się zbyt masywny, a usta zbyt nabrzmiące, aby dało się nimi poruszyć. Inne ofiary skorpionów nie były opuchnięte, przyjmuję zatem, że i ja tak nie wyglądam. Mimo to mój język wydaje się niezdarny i ciężki.

– Ciii – mówi łagodnie. – Jestem przy tobie.

Bierze mnie w ramiona, a ja próbuję skoncentrować uwagę na cieple jego ciała. Moje wnętrze wydaje się rozedrgane z bólu, ale na zewnątrz jestem sztywna. Paraliż obejmuje stopniowo plecy i nogi. Nie wystarcza mi determinacji, aby utrzymać głowę w górze. Opada na jego ramię.

Wyraz jego twarzy przeraża mnie bardziej niż paraliż. Raffe po raz pierwszy nie kryje emocji. Zupełnie, jakby nie miało znaczenia, że je zobaczę.

Na jego obliczu mieszają się szok i żal. Próbuję ogarnąć umysłem fakt, że Raffe rozpacza. Z mojego powodu.

„W sumie niespecjalnie mnie lubisz, zapomniałeś?”, chcę powiedzieć, ale dźwięki wydobywające się z moich ust przypominają pierwsze próby gaworzenia niemowlęcia.

– Ciii... – Gładzi mnie opuszkami palców po policzku. – Nic nie mów. Jestem przy tobie. – Spogląda na mnie udręczonym wzrokiem, jakby pragnął mi coś powiedzieć, ale było już za późno.

Chciałabym pogłaskać go po twarzy i zapewnić, że

wszystko będzie w porządku. Że wszystko się ułoży.
Jakżebym chciała, żeby się tak stało.

ROZDZIAŁ 43

Ciii... – mówi Raffe, kołysząc mnie na rękach.

Na światło otaczające jego głowę pada jakiś cień.

Za plecami Raffego wyrasta ciemna sylwetka Beliala.

Jedno z nowych skrzydeł jest niemal całkowicie oderwane i wisi na kilku szwach. Z twarzą wykrzywioną z wściekłości unosi coś przypominającego lodówkę. W podobny sposób Kain musiał unieść kamień nad głową Abła.

Próbuję krzyknąć. Próbuję ostrzec Raffego grymasem twarzy.

Wychodzi z tego szepczący wydech.

– Belialu!

Demon odwraca się, aby zobaczyć, kto zawołał jego imię. Raffe również się odwraca, wciąż trzymając mnie opiekuńczo w ramionach.

W drzwiach stoi Polityk. Rozpoznaję go, mimo że nie towarzyszy mu para przerażonych kobiet.

– Natychmiast to odłóż! – Nad przyjazną twarzą Polityka góruje zmarszczone czoło. Mierzy wzrokiem olbrzymiego anioła.

Belial ciężko oddycha. Wciąż trzyma lodówkę nad głową. Trudno wyczuć, czy posłucha rozkazu.

– Miałeś szansę, aby go zabić w terenie – mówi Polityk, wkraczając do pomieszczenia. – Ale pozwoliłeś, aby zawróciła ci w głowie para pięknych skrzydeł, mam rację? I chcesz zabić go teraz, kiedy zdążył się już pokazać kilku osobom, a po gnieździe krążą pogłoski o jego powrocie? Upadłeś na głowę?

Belial ciska lodówką w daleki kąt. Przez chwilę wydawało

się, jakby miał ochotę trafić nią w Polityka.

– To on mnie zaatakował! – Oszalały Belial wskazuje palcem na Raffego.

– Miałbym to gdzieś, nawet gdyby ci wlał kwas w spodnie. Powiedziałem wyraźnie, żebyś go nie tykał. Jeżeli umrze teraz, jego podwładni zrobią z niego męczennika. Masz pojęcie, jak trudno prowadzi się kampanię przeciwko aniołowi męczennikowi? Już zawsze opowiadaliby niestworzone historie, że na pewno by się sprzeciwił temu czy tamtemu zarządzeniu.

– A co mnie obchodzi polityka aniołów?

– Obchodzi cię, ponieważ ja mówię, że cię obchodzi. – Polityk poprawia mankiety. – Ale po co w ogóle zawracam sobie tym głowę? Nigdy nie będziesz niczym więcej niż zwykłym demonem. Zwyczajnie nie jesteś zdolny do ogarnięcia umysłem polityki aniołów.

– Ogarniam politykę aniołów, Urielu. – Belial szczerzy zęby jak warczący pies. – Zrobiłeś z niego pariasa. Wszystko, w co kiedykolwiek wierzył, wszystko, co kiedykolwiek powiedział, stanie się majaczeniem upadłego anioła ze skrzydłami demona. Rozumiem to lepiej, niż mógłbyś przypuszczać. Przeżyłem to na własnej skórze, pamiętasz? Po prostu nie obchodzi mnie, czy odniesiesz z tego jakąś korzyść.

Uriel krzyżuje spojrzenie z Belialem, mimo że musi w tym celu zadrzeć głowę, i mówi spokojnie:

– Po prostu wykonaj polecenie. Dostałeś skrzydła jako zapłatę za swoje usługi. A teraz się stąd wynoś.

Budynkiem wstrząsa kolejna eksplozja.

Tracę resztki woli do walki. Wiotczeję w ramionach Raffego. Głowa mi opadła, oczy mam otwarte, wzrok nieobecny, oddech niewyczuwalny.

Wyglądam na martwą.

– NIE! – Raffe chwytając mnie mocno, jakby chciał powstrzymać duszę przed uleceniem z ciała.

W moim polu widzenia pojawia się odwrócony do góry nogami obraz drzwi. Sączy się przez nie dym.

Choć ból zagłusza ciepło dotyku Raffego, czuję jego uścisk i kołysanie się naszych ciał, kiedy powtarza raz za razem: „Nie!”.

Jego objęcia przynoszą mi ulgę i nieco łagodzą ból.

– Kogo on tak oplakuje? – pyta Uriel.

– Swoją córę człowieczą – wyjaśnia Belial.

– No chyba żartujesz – mówi Uriel rozkosznie zgorszonym głosem. – Nie może być. Po wszystkich ostrzeżeniach, aby się trzymać od nich z daleka? Po wszystkich krucjatach przeciwko ich wynaturzonemu potomstwu?

Uriel zbliża się do Raffego.

– Spójrz tylko na siebie, Raffe. Wielki archanioł na kolanach i z parą skrzydeł demona. Trzymający w ramionach okaleczoną córę człowieczą. – Chichocze. – Ech, Bóg musi mnie jednak kochać. Co się stało, Raffe? Zaczęła ci na Ziemi doskwierać samotność? Stulecia spędzane z dala od wszystkich, jeśli nie liczyć *nefilim*, na których tak szlachetnie polowałeś.

Raffe nie zwraca na niego uwagi, tylko głaszcze mnie po włosach i kołysze, jakby usypiał dziecko.

– Jak długo się opierałeś? – pyta Uriel. – Jak długo odpychałeś ją od siebie? Powtarzałeś, że nie znaczy więcej niż jakiekolwiek inne zwierzę? Och, Raffe... czyżby umarła w przekonaniu, że nic cię nie obchodziła? Jakże to tragiczne. Musisz być zdruzgotany.

Raffe podnosi wzrok, w którym kryje się pragnienie mordy.

– Nie. Wypowiadaj. Się. Na. Jej. Temat.

Uriel odruchowo robi krok do tyłu.

Budynek ponownie się trzęsie. Pył sypie się na konające skorpiony. Raffe układa mnie delikatnie na betonowej podłodze.

– Nic tu po nas – mówi szybko Uriel do Beliala. – Możesz go zabić, kiedy inni zobaczą go w nowej postaci: Upadłego Anioła Rafaela. – Ramiona trzyma sztywno, władczo, ale pośpiesznie kieruje się w stronę wyjścia. Demon idzie za nim. Naderwane skrzydło wlecze się po zasypanej pyłem podłodze. Serce mi się kraje, gdy widzę, jaki los spotkał śnieżnobiałe skrzydła Raffego.

On nieśpiesznie odsuwa kosmyki włosów, które przylepiły mi się do czoła, jakby to miało teraz jakiekolwiek znaczenie.

Zaraz potem rusza za nimi. Z krzykiem wypada przez drzwi i z prędkością błyskawicy wbiega po schodach. W oddali słysząc odgłos kroków.

Drzwi na szczycie schodów zatrząskują się.

Raffe musi walić w nie pięścią. Huk odbija się echem od drzwi i ścian. Rozlega się trzask, coś spada z łoskotem po schodach. Raffe ryczy z wściekłości, jakby próbował przebić się przez ścianę. Miota się niczym wściekły pies na łańcuchu. Co go powstrzymuje? Dlaczego za nimi nie pobiegł?

Schodzi po schodach i staje w drzwiach, ciężko dysząc. Obrzuca spojrzeniem moje ciało leżące na betonowej podłodze, po czym rzuca się na zbiornik ze skorpionem.

Szkło pęka. Woda tryska na wszystkie strony.

Słyszę odgłosy ciał uderzających o posadzkę i piski potworów odrywanych od ofiar. Nie potrafię określić, które hałasy dobiegają z wyższych pięter, a za które odpowiada szalejący po laboratorium Raffe.

Kiedy wszystko, co dało się roztrzaskać, zostało już roztrzaskane, Raffe staje pośrodku gruzowiska, ciężko dysząc. Szuka wzrokiem czegoś, co mógłby zniszczyć.

Spogląda pod nogi, po czym odrzuca kopniakiem roztrzaskany kawał szyby i jakiś sprzęt laboratoryjny. Pochyla się, chwytając coś w dłoń i przeciąga ten przedmiot po ziemi w moją stronę.

To jego miecz. Przewraca mnie na bok i wsuwa ostrze do pochwy, którą wciąż mam przywiązaną do pleców. Spodziewam się, że ciężar miecza mnie przygniecie, ale jest ledwie wyczuwalny.

Bierze mnie w ramiona i podnosi. Ból przestał narastać, ale pozostaję sparaliżowana. Głowa i ręce zwisają mi bezwładnie jak u trupa.

Raffe przedziera się przez gruzowisko w stronę drzwi. Wchodzimy na schody i zmierzamy w stronę, skąd dobiegają odgłosy eksplozji.

ROZDZIAŁ 44

Początkowo Raffe idzie tak chwiejnym krokiem, jakby w każdej chwili miał się wywrócić. Nie potrafię ocenić, czy to wynik utraty sił po operacji czy spadek adrenaliny po zdemolowaniu laboratorium.

Rany na szyi i uchu przestały krwawić. Jego organizm regeneruje się na moich oczach. Z każdym krokiem powinien odzyskiwać siły, niemniej jego oddech wciąż jest ciężki i nierówny.

W pewnej chwili opiera się o ścianę przy schodach i przyciąga mnie do siebie.

– Dlaczego nie uciekłaś, kiedy ci kazałem? – szepcze mi przez włosy. – Od początku wiedziałem, że lojalność cię zgubi. Nie przyszło mi tylko do głowy, że będzie to lojalność wobec mnie.

Kolejna eksplozja wstrząsa schodami. Ruszamy dalej.

Przechodzi nad powyginaną balustradą, która leży na stopniach. Została wyrwana ze ściany. Mur po obu stronach jest pokruszony i usiany nierównymi otworami.

W końcu docieramy na szczyt schodów. Raffe opiera się o drzwi i odpycha je plecami. Wychodzimy na parter budynku.

Dokoła toczy się bitwa.

Jedni strzelają, inni chowają się przed pociskami.

Po jednej stronie holu anioły zdzierają z siebie fraki, nabierają rozpędu, dobiegają do drzwi wejściowych i zaraz za nimi podrywają się w powietrze. Jeden na trzy spada od razu na ziemię z przestrzelonymi i krwawiącymi skrzydłami. Pociski dosięgają celu. Sytuacja przypomina zabawę na strzelnicy,

ponieważ po tej stronie budynku znajduje się tylko to jedno duże wyjście.

Rozlega się kolejny huk eksplozji. Z sufitu spadają kawałki marmuru i lamp.

Pył i odłamki sypią nam się na głowy. Kule dziurawią ściany budynku.

Ludzie uciekają we wszystkich kierunkach. Wiele kobiet biegnie w szpilkach, ślizgając się i potykając na odłamkach szkła. Mogłabym przysiąc, że ludzie, którzy chwilę wcześniej biegli w jedną stronę, teraz uciekają w przeciwną. Przeskakują nad nieruchomymi ciałami ludzi i aniołów.

Raffe jest znacznie lepiej widoczny, odkąd rozłożył swoje nowe skrzydła, osłaniając nas przed spadającymi odłamkami. Mimo panującej dokoła paniki przebiegający ludzie zatrzymują na nas wzrok.

Kilku aniołów wojowników przystaje na chwilę, aby nam się przyjrzeć. Są wstrząśnięci, kiedy rozpoznają Raffego. Jakkolwiek wygląda kampania, którą Uriel prowadzi przeciwko niemu, wyraźnie przynosi skutek i odbija się wyraźnym wzrostem poparcia w sondażach. Raffe i ja służymy za wielki demoniczny plakat wyborczy. Czuję, jak ogarnia mnie niepokój o los Raffego – jeśli lub kiedy wydostaniemy się z tego chaosu.

Szukam wzrokiem matki i Paige, ale trudno cokolwiek dostrzec w tym zamieszaniu, zwłaszcza że wciąż nie mogę poruszać oczami.

Kilka aniołów, które postanowiły pozostać w budynku, oddala się teraz pośpiesznie od drzwi wejściowych. Prawdopodobnie zdążają ku galerii z windami, gdzie będą mogły wzlecieć na wyższe piętra. Z pewną satysfakcją obserwuję, jak cały ten bal przebierańców kończy się na moich oczach, jak pozaziemskie istoty zdzierają z siebie szykowne

przebrania i uciekają gdzie pieprz rośnie.

Wejście do hotelu rozsypuje się od wybuchu szrapnela.

Wszystkie odgłosy robią się przygłuszone. Podłogę zasypują odłamki szkła.

Chciałabym podbiec do drzwi i krzyknąć, że w środku znajdują się ludzie. Wstrzymajcie ogień i pozwólcie nam wyjść na zewnątrz! W telewizji policja zawsze pozwala opuścić budynek zakładnikom uwolnionym przez porywaczy. Ale nawet gdybym nie była sparaliżowana, bojownicy ruchu oporu nie wstrzymaliby ataku, aby pozwolić nam uciec. Czasy, gdy stawano na głowie, aby ocalić życie każdego człowieka, skończyły się kilka tygodni temu. Ludzkie życie całkowicie straciło na wartości. Przed nami na podłodze anioły leżą przemieszane z ludźmi niczym sterta szmacianych lalek.

Zmierzamy ku centralnej części budynku. Wszyscy omijają nas szerokim łukiem.

W holu z windami zalegają porzucone marynarki i rozerwane koszule. Aniołom musi się łatwiej latać bez krępujących ubrań, nawet jeśli uszyto je na wymiar.

W górze kłębią się anioły. Majestatycznie zataczane spirale ustąpiły miejsca bezładnemu trzepotaniu skrzydeł.

Po ścianie wyłożonej fragmentami luster przebiegają nasze strzaskane odbicia, co wprowadza dodatkowe zamieszanie. Raffe ze skrzydłami demona i martwą dziewczyną w ramionach dominuje wizualnie nad otoczeniem, sunąc przez pandemonium.

Choć mam poczucie, jakby coś rozszarpało mi gardło, z ledwością dostrzegam czerwone znamię pozostałe po kolcu. Nie wygląda gorzej niż miejsce po ukąszeniu jakiegoś paskudnego owada.

W otaczającym nas chaosie zaczynam dostrzegać pewną prawidłowość. Większość aniołów ucieka w jednym kierunku, a

większość ludzi w przeciwnym. My dołączamy do strumienia ludzi. Tłum rozstępuje się przed nami niczym rozsuwany zamek błyskawiczny.

Wpadamy przez dwuskrzydłowe drzwi do wielkiej kuchni zastawionej stalowymi blatami i szafkami. W powietrzu unoszą się kłęby czarnego dymu. Płomienie ognia liżą ściany przy piecykach.

Od dymu piecze mnie w gardle, do oczu napływają łzy. To wyjątkowa tortura nie móc odkaszląć ani zamrużyć. Ale równocześnie sygnał, że ból ustępuje, skoro dopuszcza do świadomości takie doznania.

Po drugiej stronie kuchni strumień ludzi wylewa się na zewnątrz przez wejście dla dostawców. Kilka osób uskakuje pod ściany, przepuszczając nas przodem.

Raffe zachowuje milczenie. Nie widzę jego miny, ale ludzie reagują tak, jakby zobaczyli samego diabła.

Budynkiem wstrząsa kolejny wybuch. Ściany się kołyszają. Za naszymi plecami rozlegają się krzyki. Ktoś woła: „Wychodźcie! Wychodźcie! Zaraz wybuchnie gaz!”.

Wypadamy przez drzwi na chłodne, nocne powietrze.

Krzyki i odgłosy eksplozji nabierają mocy, gdy wkraczamy na pole bitwy. Wszystkimi zmysłami odbieram terkot karabinów maszynowych. Moje płuca wypełnia gryzący swąd przegrzanej broni i prochu strzelniczego.

Przed nami stoi konwój ciężarówek otoczony przez grupę cywilów i żołnierzy. Za nimi, w oddali, dostrzegam urywki apokalipsy.

Odkąd anioły wzbiły się w powietrze, bitwa przybrała inny obrót. Żołnierze nadal rzucają granaty z wycofujących się ciężarówek, ale budynek stoi już w płomieniach, więc eksplozje raczej zwiększają zamieszanie, niż powodują dodatkowe szkody.

Żołnierze ostrzeliwują latających przeciwników z karabinów maszynowych, ale w ten sposób zdradzają swoją pozycję i sami padają celem ataków. Grupka aniołów unosi jedną z ciężarówek i upuszcza ją na inne pojazdy, które próbowały pośpiesznie odjechać.

Ludzie uciekają we wszystkie strony, na nogach i samochodami. Anioły nurkują i rozrywają na strzępy losowo wybranych żołnierzy i cywilów.

Raffe nie zmienia tempa marszu i zmierza w stronę ludzi otaczających ciężarówkę.

Jaki ma plan? Żeby tylko jakiś ogarnięty szaleńcem bitewnym żołnierz ochotnik nie ostrzelał nas z karabinu maszynowego tylko dlatego, że zobaczył coś niepokojącego.

Żołnierze upychają cywilów do dużych ciężarówek wojskowych. Bojownicy ruchu oporu w mundurach maskujących przyklękli na platformach z karabinami wycelowanymi w powietrze. Strzelają w kierunku krążących w górze aniołów. Jeden przestaje wykrzykiwać rozkazy i patrzy w naszą stronę. Jego sylwetkę omiata światło reflektorów ciężarówki, dzięki czemu przez moment widzę jego twarz. To Abi, przywódca ruchu oporu.

Strzelanina i okrzyki cichną równie nagle jak rozmowy na imprezie, kiedy ktoś przychodzi w towarzystwie umundurowanego policjanta. Wszyscy nieruchomieją. Ich twarze rozświecila blask ognia – akurat w tym momencie przez okna i drzwi znajdującej się za naszymi plecami kuchni wystrzeliwują płomienie.

– Co u diabła...? – mówi jeden z żołnierzy. W jego głosie słyszę przerażenie.

Inny żołnierz robi znak krzyża, całkowicie nieświadomy ironiczności tego gestu u człowieka walczącego z aniołami.

Trzeci unosi karabin. Celuje prosto w nas.

Żołnierze na platformach, wyraźnie wystraszeni i podenerwowani, kierują w naszą stronę lufy karabinów maszynowych.

– Wstrzymać ogień – mówi Abi. Omiatają go światła kolejnej ciężarówki. Na jego twarzy ciekawość walczy z napięciem. Tej ciekawości zawdzięczamy życie, ale zdaję sobie sprawę, że w końcu ktoś zacznie strzelać.

Raffe zmierza w ich stronę. Chcę krzyknąć, żeby się zatrzymał, że przez niego zginiemy, ale oczywiście nie mogę. On uważa mnie za martwą, a własnym bezpieczeństwem najwyraźniej przestał się przejmować.

Rozlega się histeryczny krzyk. Z jakiegoś powodu kojarzy mi się z moją matką.

Po chwili ją dostrzegam. No oczywiście! To jest moja matka. Na jej rozświetlonej czerwonymi płomieniami twarzy jak na dłoni mogę zobaczyć przerażenie. Krzyczy non stop, jakby nie zamierzała nigdy przestać.

Mogę sobie tylko wyobrazić, jak to wszystko wygląda z jej perspektywy. Raffe otoczył się skrzydłami i przypomina demonicznego nietoperza przybywającego prosto z piekła. Blask ognia z pewnością uwydatnia ostre końcówki skrzydeł. Jego twarz otaczają migające cienie złowrogich płomieni wydobywających się z płonącego za jego plecami budynku oraz wznoszące się ku niebu kłęby czarnego dymu. Nie mam wątpliwości, że jawi się jako mroczna, złowroga istota.

Matka nie wie, że rozłożone skrzydła mają nas chronić przed odłamkami. Musi uważać Raffego za swojego Prześladowcę. Jej najstraszliwszy koszmar stał się rzeczywistością. Z płomieni wyłonił się diabeł, niosąc na rękach jej martwą córkę.

Rozpoznała mnie pewnie po ubraniu i dlatego zaczęła od razu krzyczeć. A może już wielokrotnie przeżywała tę scenę w wyobraźni i teraz nie ma wątpliwości, że to ja znajduję się w objęciach demona. Jej przerażenie jest tak autentyczne, tak głębokie, że aż się cała w środku kulę.

Żołnierz celujący do nas z karabinu porusza się nerwowo. Trudno powiedzieć, jak długo wytrzyma on i pozostali. Jeśli zaczną strzelać, nie będę nawet w stanie zamknąć oczu.

Raffe klęka i kładzie mnie na asfalcie. Odgarnia włosy na jedną stronę i przepuszcza je sobie przez palce. Opadają powolną kaskadą na ramię. Jego głowę otacza aureola płomieni, twarz jest pogrążona w cieniu. Przesuwa palcami po moich ustach w powolnym, delikatnym geście.

Potem odsuwa się z wysiłkiem, jakby sprzeciwiały się temu wszystkie mięśnie.

Chcę poprosić, aby nie odchodził. Powiedzieć, że wciąż żyję. Leżę jednak nieruchomo. Mogę tylko obserwować, jak wstaje.

Znika z mojego pola widzenia.

Zostaje po nim puste niebo wypełnione odbłaskami płomieni.

ROZDZIAŁ 45

Gdzieś w mieście wyje pies. Ten głuchy dźwięk powinien zginąć w bitewnym zgiełku, utonąć w moim strachu i cierpieniu. A jednak umysł wydobywa go spomiędzy innych i pozwala mu je zdominować.

Leżę sparaliżowana na zimnym chodniku i jedyne, co mi przychodzi do głowy, to że nigdy nie słyszałam dźwięku wyrażającego tak wielką samotność.

Matka biegnie z krzykiem. Przypada do mnie, łkając histerycznie. Sądzi, że nie żyję, ale nadal się boi. Boi się o moją duszę. Chwilę wcześniej widziała przecież, jak demon niesie moje zwłoki.

Stojący nieopodal ludzie zaczynają rozmawiać wystraszonymi głosami.

- Co to u licha było?
- Dziewczyna nie żyje?
- Czy on ją zabił?
- Mogłeś go zastrzelić!
- Skąd mogłem wiedzieć, że ona nie żyje.
- Myślicie, że to był diabeł?
- Co on, do cholery, robił?

Odniósł moje ciało do ludzi.

Mógł zostać zastrzelony. Mógł zostać zaatakowany przez inne anioły. Gdybym faktycznie umarła, powinien był zostawić mnie w piwnicy, gdzie zostałabym pogrzebana pod gruzami hotelu. Powinien był ścigać Beliala i odebrać mu swoje skrzydła. Powinien był udaremnić plany Uriela i nie pokazywać się innym aniołom.

Tymczasem on dostarczył mnie rodzinie.

– To ona. Penryn. – W polu widzenia pojawia się Dee-Dum. Jest wysmarowany sadzą. Wygląda na wyczerpanego i smutnego.

W zasięgu wzroku pojawia się Abi. Spogląda na mnie przez chwilę z powagą.

– Zbieramy się – mówi zmęczonym głosem. – Ruchy! Ruchy! – krzyczy w stronę grupy. – Wywieźmy ich stąd.

Wszyscy przechodzący ludzie gapią się na mnie. Potem wsiadają na ciężarówki.

Łkająca matka przyciska mnie jeszcze mocniej do piersi.

– Proszę, pomóżcie mi ją zanieść na ciężarówkę – zawodzi.

Abi przystaje i spogląda na nią ze współczuciem.

– Przykro mi z powodu pani córki, ale obawiam się, że nie mamy miejsca na... Obawiam się, że będziemy zmuszeni ją tu zostawić. – Odwraca się i woła w kierunku swoich ludzi: – Niech ktoś pomoże jej wejść na ciężarówkę.

Podchodzi do nas żołnierz.

– Nie! – krzyczy matka, kiedy odciąga ją ode mnie. Zawodzi i wije się w jego ramionach.

Akurat kiedy żołnierz wydaje się dawać za wygraną, unoszę się w powietrze. Ktoś mnie podnosi. Głowa opada do tyłu i przez chwilę widzę twarz osoby, która mnie trzyma.

To mała Paige.

Z tej perspektywy dostrzegam nierówne szwy biegnące wzdłuż szczęki w kierunku ucha. Inny ciąg szwów ciągnie się od gardła do ramienia tuż nad kołnierzem wielkiego bladożółtego swetra mamy. W przeszłości to ja wielokrotnie przenosiłam ją na rękach. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zamienimy się

rolami. Paige idzie w normalnym tempie, co jest zdumiewające, biorąc pod uwagę mój ciężar.

Tłum milknie. Wszyscy na nas patrzą.

Paige sama układa mnie na platformie ciężarówki. Stojący tam żołnierz ściska w dłoniach karabin i cofa się o kilka kroków. Ludzie siedzący już w ciężarówce przywierają do siebie niczym gromada wystraszonych zwierząt.

Paige stęka z wysiłku, wsiadając na ciężarówkę. Nikt jej nie pomaga. Pochyla się, aby mnie podnieść.

Spogląda na mnie z delikatnym uśmiechem, który przeradza się w grymas – szeroko otwarte usta rozsuwają szwy. Między ostrymi jak brzytwa zębami dostrzegam kawałki surowego mięsa.

Żałuję, że nie mogę zamknąć oczu.

Siostrzyczka układa mnie na ławce po drugiej stronie platformy. Ludzie usuwają nam się z drogi. W zasięgu wzroku pojawia się matka. Siada i kładzie sobie moją głowę na kolanach. Nadal płacze, ale nie histerycznie. Paige siada po drugiej stronie.

Abi musi się znajdować gdzieś w pobliżu, ponieważ wszyscy zwracają głowy w jednym kierunku, jakby czekali na jego werdykt. Pozwolą mi zostać?

– Jedziemy – zarządza Abi. – I tak zmarnowaliśmy już mnóstwo czasu. Wsadźcie tych ludzi na ciężarówkę! Musimy odjechać, zanim ono eksploduje!

Ono? Gniazdo?

Ciężarówka wypełnia się ludźmi. Trzymają się w pewnej odległości od nas, więc nie jedziemy w ścisku.

Pośród krzyków rozlegają się wystrzały. Wszyscy chwytają się barierek, przygotowani do podróży wyboistą drogą. Ciężarówka szarpie do przodu i zaczyna lawirować między

porzuconymi samochodami, oddalając się od gniazda.

Moja głowa podskakuje na udzie matki, kiedy przejeżdżamy przez jakiś wybój. Zwłoki? Strumienie pocisków wystrzeliwanych w niebo z karabinów maszynowych nie słabną ani na chwilę. Mam nadzieję, że ten chaotyczny deszcz kul nie trafi Raffego – gdziekolwiek się teraz znajduje.

Niedługo po naszym odjeździe inna duża ciężarówka, stojąca cała w płomieniach, wbija się w budynek hotelu.

Pierwsze piętro eksploduje kulą ognia.

Odłamki szkła i betonu rozpryskują się we wszystkie strony. Z płomieni, dymu i odłamków wystrzeliwiają ciała ludzi i aniołów. Zupełnie jakby ktoś wrzucił granat w mrowisko.

Majestatyczny budynek chwieje się, niejako oszołomiony, w posadach.

Okna niższych pięter rozświetlają płomienie. Lęk ściska mi serce na myśl, że Raffe mógł wrócić do gniazda. Nie widziałam, w którą stronę poszedł. Pozostaje tylko nadzieja, że jest bezpieczny.

Chwilę później gniazdo przestaje istnieć.

Hotel zapada się w sobie, wznecając rozchodzące się w zwolnionym tempie kłęby pyłu. Towarzyszący temu pomruk brzmi jak niekończące się trzęsienie ziemi. Wszyscy wpatrują się w katastrofę z otwartymi ustami.

Stada aniołów obserwują to wszystko z powietrza.

Pierzchają na wszystkie strony dopiero, gdy chmura pyłu wystrzeliwuje w górę niczym grzyb atomowy. Fasada hotelu obsuwa się na resztę gruzowiska, zaraz potem zalega przerażająca cisza.

Anioły rozlatują się dwójkami i trójkami w różne strony spowitego dymem nieba.

Wszyscy dookoła wiwatują. Niektórzy płaczą, inni krzyczą,

podskakują, klaszczą. Nieznajomi, którzy jeszcze niedawno mierzyliby do siebie na ulicy z pistoletów, teraz padają sobie w objęcia.

Przeprowadziliśmy kontratak.

Wypowiedzieliśmy wojnę istotom, które były pewne, że zmiotą nas bez walki z powierzchni Ziemi. Nieważne, że są niebiańskie, nieważne, że są potężne – to jest nasz dom i będziemy o niego walczyć.

Zwycięstwo bynajmniej nie jest pełne. Mam świadomość, że wiele aniołów uciekło z lekkimi obrażeniami. Kilka pewnie zginęło, ale reszta szybko się zregeneruje.

Obserwując świętujących ludzi, można by pomyśleć, że wygraliśmy wojnę. Teraz rozumiem, co miał na myśli Abi, mówiąc, że celem ataku nie jest zwycięstwo nad aniołami. Chodziło o zjednoczenie ludzi pod jednym sztandarem.

Do tej pory nikt, a z pewnością nie ja, nie wierzył choćby w teoretyczną możliwość przeciwstawienia się aniołom. Sądziliśmy, że wojna się zakończyła. Abi i jego ruch oporu pokazali nam, że to dopiero początek.

Po raz pierwszy w życiu jestem dumna z bycia człowiekiem. Owszem, mamy mnóstwo wad. Ulegamy słabościom, jesteśmy zagubieni, brutalni i zmagamy się z wieloma problemami.

Nieważne, i tak cieszę się, że jestem córą człowieczą.

ROZDZIAŁ 46

Niebo błyszczy czerwienią krwi i czernią popiołów, nadając surrealistyczny wygląd zrujnowanemu miastu. Żołnierze przestali strzelać, ale nadal rozglądają się po niebie, jakby spodziewali się ataku armii demonów. Gdzieś daleko na ulicach echem odbijają się strzały z karabinu maszynowego.

Lawirujemy między porzuconymi samochodami. Pasażerowie rozmawiają przyciszonymi głosami, choć z ożywieniem. Są strasznie nabuzowani, sprawiają wrażenie gotowych zmierzyć się w pojedynkę z całym legionem aniołów.

Nadal trzymają się po swojej stronie ciężarówki. Całe szczęście, że są tak rozentuzjasmowani i szczęśliwi, bo inaczej spaliliby nas na stosie. Nieustannie na nas popatrują. Trudno powiedzieć, czy bardziej ciekawi ich moja matka, która wpadła w trans i przemawia różnymi językami, moja siostra z jej przerażającymi szwami i nieobecnym spojrzeniem, czy też martwe ciało, czyli ja.

Ból ustępuje. Zaczynam czuć się tak, jakbym została potrącona przez samochód osobowy, który nie zatrzymał się przed znakiem STOP, a nie przez wielką ciężarówkę na autostradzie. Powoli odzyskuję kontrolę nad oczami. Podejrzewam, że niektóre mięśnie również się rozluźniają, ale oczami najłatwiej mi poruszyć – jeżeli poruszeniem nazwiemy drgnięcie o ułamek centymetra. To jednak oznacza, że skutki trucizny ustępują i prawdopodobnie wydobreją.

Jedziemy opustoszałymi ulicami. Opuściliśmy okolicę gniazda i mijamy zrujnowane dzielnice. Kilometr po kilometrze przesuwamy się wzdłuż szkieletów spalonych samochodów i

budynków. Moje włosy powiewają na wietrze wokół twarzy. Jedziemy przez spopielony i skruszony szkielet naszego świata.

Od czasu do czasu przystajemy, wtapiając się w mrowie porzuconych samochodów. W pewnym momencie Abi ucisza wszystkich. Wstrzymujemy oddech w nadziei, że pozostaniemy niewidoczni. Zakładam, że na niebie dostrzeżono anioły i dlatego się przyczailiśmy.

Kiedy myślę, że zagrożenie minęło, ktoś z tyłu ciężarówki krzyczy: „Uwaga!”.

Wskazuje w górę. Wszyscy zadzierają głowy.

Na tle poranionego nieba widać samotną sylwetkę krążącego nad nami anioła.

Nie, to nie anioł.

Dostrzegam zakrzywione, połyskujące, metalowe końcówki jego skrzydeł. Nie przypomina ptaka, a raczej wielkiego nietoperza.

Serce bije mi mocniej, poruszone pragnieniem wykrzyczenia jego imienia. Czy to możliwe?

Zatacza kręgi, zniżając lot z każdym okrążeniem. Kręgi są szerokie i powolne, niemal wymuszone.

Ja wiem, że spokojnie obserwuje naszą ciężarówkę i ma pokojowe zamiary. Inni, pobudzeni wzrostem adrenaliny, widzą w tym zachowaniu atak nieprzyjaciela.

Unoszą karabiny i celują w niebo.

Chcę krzyknąć, aby przestali. Chcę im uświadomić, że nie wszystkie anioły na nas polują. Chcę się na nich rzucić, aby spudłowali. Mogę tylko obserwować, jak celują i strzelają.

Leniwe spirale zamieniają się w uniki. Anioł znajduje się na tyle blisko, że widzę jego ciemne włosy. Odkąd przestał się poruszać lotem ślizgowym, jego ruchy wydają się niezgrabne. Jakby dopiero uczył się posługiwać skrzydłami.

To Raffe. Przeżył.

I lata!

Najchętniej zacząłabym podskakiwać, wymachiwać rękami i wykrzykiwać jego imię. Chciałabym dodać mu otuchy. Moje serce wzlatuje ku niemu, choć jest spętane lękiem, że Raffe trafiony kulą runie z nieba.

Żołnierze nie mają dostatecznej wprawy w strzelaniu z karabinów, aby trafić w tak odległy ruchomy cel. Raffe odlatuje nietknięty.

Moja twarz drga lekko pod wpływem przepełniającej mnie radości.

ROZDZIAŁ 47

Paraliż ustępuje całkowicie dopiero godzinę później. W tym czasie matka siedzi pochylona i modli się z zaciśniętymi dłońmi. Pograżona w rozpacz wydaje z siebie niskie, gardłowe dźwięki w niezrozumiałym języku. Zniekształcone słowa niewątpliwie brzmią niepokojąco, ale wyśpiewuje je w kojącej tonacji. Nikt lepiej nie potrafi jednocześnie budzić przerażenia i działać uspokajająco – jak na szaloną matkę przystało.

Czuję, że stopniowo odzyskuję władanie nad ciałem, ale leżę nieruchomo do czasu, gdy będę mogła samodzielnie usiąść. Dużo wcześniej zaczynam mrugać i normalnie oddychać, ale nikt nie zwraca na to uwagi. Nie zapominajmy, że u moich stóp siedzi moja siostra, pokryta szwami i znieruchomiła niczym robot, a nad głową mam rozmodloną matkę, więc trudno, aby nieruchome ciało mogło kogokolwiek zaniepokoić.

Zaczyna świtać.

Nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak wielkim zwycięstwem jest przeżycie kolejnego dnia. Odnalazłam siostrę. Raffe unosi się w powietrzu. Wszystko inne ma drugorzędne znaczenie.

To mi na razie wystarczy.

PODZIĘKOWANIA

Specjalne wyrazy wdzięczności należą się wspaniałym czytelnikom wstępnej wersji tekstu, Nyli Adams, Jessice Lynch Alfaro, Ericowi Schaible, Adrianowi Khactu i Travisowi Heermannowi, za ich znakomite i trafne uwagi, które uczyniły tę opowieść o klasę lepszą. Mojemu pierwszemu redaktorowi, Robertowi Gryphonowi, którego zaangażowanie w pracę nad książką było dla mnie prawdziwym źródłem inspiracji; Johnowi Skotnikowi za rozwiązanie kilku dodatkowych problemów w czasie adiustacji, a wybitnemu fotografikowi Peterowi Adamsowi za zrobienie pięknych zdjęć autorce.

Dziękuję również mojemu agentowi, Stevenowi Axelrodowi, i zespołowi wydawniczemu: Larry'emu Kirshbaumowi, Timowi Ditlowowi, Amy Hosford, Margery Cuyler, Anahid Hamparian, Dianie Blough i Deborah Bass za ich ciężką pracę, wsparcie i wielki entuzjazm przy przygotowaniu „Angelfall” do publikacji dla szerszego grona czytelników.

Uściski i podziękowania dla Lee, który zawsze robi świetną robotę i sprowadza mnie na ziemię. I oczywiście serdeczny uścisk i podziękowanie dla Aarona, którego artystyczny patronat i zachęty pomogły mi w pokonaniu wszystkich przeszkód. Wreszcie ogromne wyrazy wdzięczności dla pierwszych czytelników i zwolenników „Angelfall”, którzy zapoczątkowali cały ten szum wokół książki. Jesteście niezwykli, cudowni, i jestem Wam wdzięczna na wieki.

O AUTORCE

Susan Ee jadła *meze* na starym mieście w Jerozolimie, surfowała po ciepłych wodach u wybrzeży Kostaryki i zaprezentowała nakręconą przez siebie krótkometrażówkę na jednym z ważnych festiwali filmowych. Od dziecka uwielbia science fiction, fantasy i horrory, zwłaszcza takie ze szczyptą romansu. Pracowała jako prawniczka, ale uwielbia pisać, ponieważ w ten sposób może puścić wodze swojej nieokiełznanej wyobraźni.